open eyes economy summit 2019

Solidarni w rozwoju:

Gdańsk – Polska – Europa – Świat

open eyes economy summit 2019

Solidarni w rozwoju:

Gdańsk – Polska – Europa – Świat

WYDAWCA
Fundacja Gospodarki
i Administracji Publicznej

ul. ks. bp. W. Bandurskiego 58/11
31-515 Kraków
tel.: 12 423 76 05
www.fundacjagap.pl
© Fundacja GAP

Niniejsza publikacja
odzwierciedla wyłącznie poglądy Autorów.

PATRONAT
Urząd Miejski w Gdańsku

REDAKCJA JĘZYKOWA I KOREKTA
Anna Chrabąszcz, Marcin Kukiełka

PROJEKT OKŁADKI
Alicja Pietrzyk

SKŁAD
Anatol Witkowski

ZDJĘCIE PAWŁA ADAMOWICZA NA S. 22
Karol Stańczak

DRUK
Poligrafia Salezjańska
ul. Michała Bałuckiego 8
30-305 Kraków

ISBN: 978-83-953363-5-5
Kraków 2019

Spis treści

9 **SŁOWO OD ALEKSANDRY DULKIEWICZ**

11 **WSTĘP**

13 ZAŁOŻENIA PROGRAMOWE GDAŃSKIEGO KONGRESU „SOLIDARNI W ROZWOJU: GDAŃSK – POLSKA – EUROPA – ŚWIAT”

21 PAWEŁ ADAMOWICZ
GDAŃSK JAKO WSPÓLNOTA.
GDAŃSK JAKO WYZWANIE

37 O PAWLE ADAMOWICZU, O GDAŃSKU, O POLSCE, O EUROPIE

39 **PIOTR AUGUSTYNIAK**
Wojna patriotyzmów

43 **RAFAŁ DUTKIEWICZ**
Jak budować szczęśliwe społeczeństwo?

47 **DARIUSZ FILAR**
Łączyć, przyciągać, wspierać
51 **TADEUSZ GADACZ**
Solidarność i odpowiedzialność
57 **MARCIN GERWIN**
Z Gdańska w Polskę i w świat – panele obywatelskie
61 **ALEKSANDER HALL**
Żałuję, że nie mogę już podyskutować z Pawłem o Polsce
65 **KATARZYNA HALL**
Zwiększać szanse edukacyjne
69 **HUBERT IZDEBSKI**
Otwartość, solidarność i demokracja deliberatywna
73 **JACEK KOŁTAN**
Przemiana i polityka
79 **JACEK KOTARBIŃSKI**
Tożsamość, wielokulturowość, odpowiedzialne społeczeństwo
85 **EWA ŁĘTOWSKA**
Fundament dłuższego trwania
89 **RAFAŁ MATYJA**
Samorząd jako fundament
93 **ROMAN NOWOSIELSKI**
Mieliśmy idealnego kandydata
97 **CEZARY OBRACHT-PRONDZYŃSKI**
O Gdańsku, tożsamości i obywatelskich obowiązkach
103 **MARIA POPRZĘCKA**
Prezydent Paweł Adamowicz o edukacji
107 **PAULA RETTINGER-WIETOSZKO**
Potrzeba wrażliwości
111 **ADAM DANIEL ROTFELD**
Jakiej Polski chcemy?
115 **KUBA SIENKIEWICZ**
Różnorodność a kreatywność i pomyślność
119 **DOROTA SOBIENIECKA-KAŃSKA**
Gdańsk – miasto otwarte na ludzi

123 **EWA SOWIŃSKA**
Patriotyzm po gdańsku
127 **KRYSTYNA STARCZEWSKA**
O przyszłości polskiej edukacji
131 **JAN SZOMBURG**
Do czego zobowiązuje nas śmierć Pawła Adamowicza?
135 **ADAM SZOSTKIEWICZ**
Otwarty Gdańsk, otwarta Rzeczpospolita
137 **ALEKSANDRA SZYMAŃSKA**
O mieście, o kulturze
141 **PIOTR VOELKEL**
Gdy myślę o sensie śmierci Pawła Adamowicza
145 **HENRYK WUJEC**
Nasza historia i wizja polskiej demokracji
149 **KUBA WYGNAŃSKI**
Gdańsk – miasto szczególne
153 **MATEUSZ ZMYŚLONY**
Nieważne, ile człowiek ma lat, gdy odchodzi, ważne, ile po sobie zostawia…

155 ESEJE – O SOLIDARNOŚCI SPOŁECZNEJ, SPRAWIEDLIWOŚCI MIĘDZYPOKOLENIOWEJ I TERYTORIALNEJ ORAZ PRAWIE DO JAKOŚCI ŻYCIA I ROZWOJU

157 **KUBA WYGNAŃSKI**
O solidarności – jak ją rozumieć, jak praktykować
179 **CEZARY OBRACHT-PRONDZYŃSKI**
Solidarność terytorialna i międzypokoleniowa: test dla demokracji i wyzwanie rozwojowe
193 **JERZY HAUSNER, HUBERT IZDEBSKI**
Prawo do jakości życia i rozwoju

Pamięci Pawła Bogdana Adamowicza

Osiem miesięcy minęło od chwili śmierci prezydenta Pawła Adamowicza, a wciąż trudno mi myśleć o nim w czasie przeszłym. Każde miejskie wydarzenie w tym roku jest tym pierwszym, w którym nie uczestniczy, choć był przecież zawsze, dwadzieścia lat to prawdziwy szmat czasu. Gdańsk za jego prezydentury przeszedł gwałtowny rozwój ekonomiczny i społeczny. Widzę, że dla wielu ludzi pozostaje punktem odniesienia. Na dziesiątki sposobów opowiadamy o naszym „teraz", wspominając go jako inicjatora, pomysłodawcę, sprzymierzeńca…

Im więcej czasu mija od tego tragicznego styczniowego wieczoru, tym wyraźniej rysuje się dla mnie perspektywa, którą podczas pożegnania i uroczystości pogrzebowych oddawało nabożne trwanie w ciszy. W powojennej historii Gdańska – miasta, gdzie niemal całkowicie powstała nowa społeczność, odbudowując domy po tych, którzy odeszli – mamy dwa bardzo silne mity. Mit Grudnia '70, znaczony krwią robotników, naprzeciw których władza wysłała milicję i wojsko. I mit Sierpnia '80, zwycięstwa dialogu nad siłą, narodzin jednej z najsilniejszych z więzi społecznych, więzi solidarności, pisanej małą i wielką literą. Bardzo często jako młoda dziewczyna słyszałam opowieści o żałobie miasta sprzed pięćdziesięciu lat i ożywczej dobrej energii, jaka otworzyła i połączyła ludzi w sierpniu czterdzieści lat temu. Trochę zazdrościłam tego doświadczenia wspólnoty, archetypu, do którego można się odwołać w złych czasach. Śmierć i pożegnanie prezydenta Pawła Adamowicza – jakkolwiek były straszne i bolesne – a teraz recepcja jego wizji i dokonań stają się właśnie mitem dla mojego pokolenia.

Można narzekać, że po śmierci prezydenta cisza trwała zbyt krótko, że życie wróciło do utartych kolein, że sączymy wzajemnie jad, że nie mamy dla siebie szacunku, że niszczymy wspólnotę, że partykularne interesy przedkładamy nad dobro wspólne… Że, że, oni nie my… Nie chcę używać liczby mnogiej, stawiam na „ja", wierząc, że to, co dobre, zaczyna się w życiu człowieka od pojedynczych, osobistych wyborów, od małych zmian na lepsze, od brania odpowiedzialności za siebie i innych. Każdy, kto obserwował Pawła Adamowicza, wie, że sam dokonał wielkiej zmiany na polu osobistych poglądów i polityki miejskiej, często bez sojuszników i wbrew sprzeciwom czy czysto politycznemu interesowi. Lektura tekstów opublikowanych w tym tomie dotyka wielu tych kwestii.

Naszymi codziennymi wyborami decydujemy o naszych wspólnotach: lokalnych, globalnych, o Polsce… Siebie i Państwa zapraszam do myślenia i zmiany. Inaczej to życie i śmierć nie będą miały sensu.

Aleksandra Dulkiewicz
Prezydent Gdańska

Wstęp

Pomysł zorganizowania w Gdańsku międzynarodowego kongresu, który byłby związany z ruchem Open Eyes Economy pojawił się w rozmowie z Pawłem Adamowiczem. Spotkaliśmy się na forum miast, które odbywało się Poznaniu. Prezydenta Adamowicza zainteresowało to, co mówiłem o koncepcji Miasta-Idei. Z radością przyjąłem jego zaproszenie do spotkania się w Gdańsku. Rozmawialiśmy zaniepokojeni tym, co się wokół nas dzieje w Polsce, w Europie, w świecie. Prezydent przedstawiał mi swoją wizję rozwoju ukochanego Gdańska, swoją determinację położenia silnego akcentu w tej i następnej kadencji na spójność społeczną. Wielokrotnie przywoływał doświadczenie Solidarności. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu – i tak doszliśmy do wniosku, że po wyborach samorządowych, jeszcze w 2019 roku zorganizujemy ten Kongres, który zyskał nazwę „Solidarni w rozwoju: Gdańsk – Polska – Europa – Świat". W toku kolejnych spotkań zostały ustalone podstawowe kwestie merytoryczne i organizacyjne. Porozumieliśmy się też co do składu Rady Programowej. Spotkała się z udziałem Pawła Adamowicza tylko raz. Następne jej posiedzenie miało się odbyć w drugiej połowie stycznia, po jego powrocie ze spotkania z rodziną w USA.

Prezydentowi Adamowiczowi ogromnie zależało, aby z Gdańska, Miasta Wolności i Solidarności popłynął mocny głos upominający się o prawa słabszych, o solidarność i rozwój. Dlatego prosił, aby prace Rady Programowej dotyczyły też przygotowania mocnej deklaracji – gdańskiego manifestu.

Trzeba było wielu miesięcy, aby minął szok wywołany zbrodnią, która przerwała życie i plany Pawła Adamowicza. Mając na uwadze to zadanie, które nam powierzył, członkowie Rady postanowili, że zostanie przygotowana publikacja, która będzie nie tylko zapowiedzią Kongresu, który odbędzie się 29–30 maja 2020 roku w Europejskim Centrum Solidarności, ale także otwartym zaproszeniem dla wszystkich, którzy chcą wspomóc prace nad ideą „Solidarni w rozwoju", którzy chcą w ten i w każdy inny dobry sposób wyrazić swój szacunek i przywiązanie do Pawła Adamowicza i jego idei Gdańska.

Stąd bierze się układ publikacji. W jej pierwszej części znajduje się wypracowany z udziałem Pawła Adamowicza podstawowy dokument programowy Kongresu. Kolejną część stanowią wybrane – przez Profesora Cezarego Obrachta-Prondzyńskiego – fragmenty dwóch książek autorstwa Pawła Adamowicza, które najmocniej nawiązują do profilu Kongresu. Potem zamieszczamy wypowiedzi zaproszonych osób, które odniosły się do myśli i tez zawartych w tych książkach. Całość zamykają trzy teksty programowe, które łącznie odnoszą się do trzech głównych osi Kongresu: sprawiedliwości społecznej, solidarności międzypokoleniowej i terytorialnej oraz prawa do jakości życia i rozwoju. Napisali je Kuba Wygnański, Cezary Obracht-Prondzyński, Hubert Izdebski i Jerzy Hausner.

Jerzy Hausner

Założenia programowe gdańskiego kongresu „Solidarni w rozwoju: Gdańsk – Polska – Europa – Świat”

Dla przyszłości, w której ma być zachowana wolność i demokracja potrzebujemy gospodarki rynkowej, działającej jednak na innych zasadach niż obecnie. Ta myśl przyświeca Open Eyes Economy (OEE) – ruchowi zainicjowanemu w Krakowie w środowisku Uniwersytetu Ekonomicznego. Działania ruchu OEE zmierzają do tego, aby zaangażować w dyskurs jak największą liczbę przedstawicieli różnych grup zawodowych i społecznych. Taka twórcza różnorodność jest podstawą do wywołania potrzebnych zmian, co wymaga włączenia ludzi do debaty o charakterze zarówno konceptualnym, jak i praktycznym.

Potrzebna zmiana musi się dokonać przede wszystkim w podstawowych środowiskach społecznych i w głównych organizacjach zbiorowej aktywności – w przedsiębiorstwach, miastach, wspólnotach lokalnych, instytucjach kultury, szkołach, w szczególności w uniwersytetach. To miałoby prowadzić do wyłonienia nowego ładu aksjonormatywnego, w którym wartości instrumentalne nie będą rugować egzystencjalnych.

Ład aksjonormatywny nie jest wytworem jednostek. Wyłania się w następstwie „etycznego dyskursu", w którym uczestniczą różni autonomiczni względem siebie aktorzy, prezentujący różne perspektywy poznawcze, racje, kompetencje i wrażliwości. Efektem tego dyskursu może być przyjęcie określonych uregulowań normatywnych, w tym prawnych, kodeksowych. Także zmiany etosów regionalnych, zawodowych, środowiskowych. Ale nie kończy to sprawy. Dyskurs musi być stale kontynuowany, choćby tylko dlatego, że ludzkość kreuje i sięga po coraz bardziej zaawansowane

technologie. Cywilizacyjnie się przeobrażamy i musi temu towarzyszyć kulturowa przemiana. W przeciwnym razie doszłoby do samozniszczenia ludzkości.

Gdy refleksja aksjologiczna i dyskurs etyczny zanikają, rodzi się tyrania, która narzuca swoją perspektywę aksjologiczną. Pod jej „rządami" stopniowo, ale konsekwentnie dokonuje się „deaksjologizacja" życia społecznego: wartości instrumentalne wypierają wartości egzystencjalne.

Coraz więcej głosów wskazuje na to, że jednym z krytycznych problemów systemu kapitalistycznego jest rozerwanie związku między rynkiem i wartościami. Głosy te dotyczą współczesnej gospodarki rynkowej, ale także teorii ekonomii. Rynek „wyzwalający się" z wartości narzuca tę samą logikę innym obszarom życia społecznego. To oznacza, że jeśli „nie opłaca się" bazować na wartościach w działalności gospodarczej, to tego samego (w imię „opłacalności") żąda się także od aktorów obecnych w polu kultury, edukacji itd. Wówczas jedynym uzasadnieniem aktywności społecznej jest efektywność mierzona skalą korzyści finansowych. To zaś unieważnia mnóstwo innych fundamentalnych dla ludzi odniesień, takich jak np. poczucie, że jest się potrzebnym, że coś ma sens, że kogoś wspieramy.

Zasadnicze pytanie polega na tym, czy zerwanie więzi między rynkiem i wartościami jest nieuchronne oraz wynika z natury rynku, czy też to następstwo określonego modelu gospodarki rynkowej, w którym nie ma granic komercjalizacji dóbr i relacji społecznych. Współczesna gospodarka rynkowa jest w dominującej mierze transakcyjna i oportunistyczna: jest do skrajności wyrachowana i do skrajności wyzbyta empatii. Brakuje w niej odpowiedzialności i solidarności. Te nie rozwiną się, jeśli nie dokonamy przejścia do innego modelu gospodarki rynkowej – relacyjnego i prorozwojowego.

Chcemy, aby Gdańsk, w którym wyłonił się ruch Solidarności, który walnie przyczynił się do upadku systemu komunistycznego i zjednoczenia podzielonej Europy, stał się miejscem debaty o solidarności i rozwoju, w każdym z możliwych wymiarów terytorialnych – lokalnym, regionalnym, krajowym, międzynarodowym i globalnym. Chcemy, aby tu w Gdańsku formowane były idee i propozycje działań, które przyczynią

się do godzenia gospodarki rynkowej i solidarności społecznej, które umożliwiać będą czynienie ze spójności społecznej rozwojowej siły.

Wielkim problemem współczesności staje się „pogodzenie": (i) gospodarki rynkowej, (ii) solidarności społecznej, (iii) kultury obywatelskiej i (iv) cyfrowej rewolucji. To cztery wierzchołki „kwadratury przyszłości". Da się ją rozwiązać poprzez urzeczywistnienie koncepcji „solidarnego rozwoju", odwołującej się do następujących zasad:

1. Dostęp jednostek i grup społecznych do ważnych dla ich rozwoju zasobów jest nie tylko fundamentem rozwoju, ale także demokratycznego porządku.
2. Dostęp jednostek i grup do kluczowych zasobów powinien zostać uznany za prawo – prawo do rozwoju.
3. W tym kontekście trzeba sytuować prawo do miasta, interpretowane jako prawo dostępu do zasobów oraz do wykorzystywania potencjału twórczego mieszkańców w rozwoju miasta.
4. Szerszy, rozwojowy obieg gospodarczy napędzają nie tylko transakcje, ale przede wszystkim trwałe relacje, w które wchodzą uczestnicy gospodarowania. Dzięki temu stają się współwytwórcami wartości ekonomicznych.
5. Produktywność w makrospołecznej skali wynika m.in. ze zbiorowego uświadomienia sobie istnienia rozwojowej okrężności oraz wypracowania mechanizmów i narzędzi jej podtrzymywania. Brak takiej świadomości powoduje, że nie potrafimy rozpoznać negatywnych konsekwencji obiegu gospodarczego i im zapobiegać. Nie zostaną zatem uruchomione odpowiednie siły sprawcze, które je neutralizują.
6. Jakość życia jest istotną i niezbędną kategorią odniesienia w myśleniu o okrężności rozwojowej. I kategorią, która ma ogarnąć daną społeczność, a nie tylko poszczególne jednostki.
7. Oddziaływanie na poziom jakości życia mieszkańców musi brać pod uwagę ich rzeczywiste potrzeby, ale także zmieniające się warunki ich zaspokajania. A one powodują, że potrzeby ludzi ewoluują, zmienia się też stopniowo ich struktura. Koncentrowanie się na potrzebach jednego rodzaju prowadzi do deprywacji innych, co staje się źródłem stresu i życiowego dyskomfortu.
8. Aby alternatywne reguły gry ekonomicznej i siły je pobudzające mogły się w ogóle wyłonić, przestrzeń działalności gospodarczej musi być w jakiejś

mierze przestrzenią wolną, czyli wspólną w tym sensie, że dostępną dla aktywności każdego aktora. Oznacza to, że nie może ona zostać w pełni sprywatyzowana i zawłaszczona.

9. Im większe znaczenie dla rozwoju jednostki i społeczności mają dane dobra, tym bardziej ich indywidualnemu, prywatnemu korzystaniu z nich musi towarzyszyć ich wspólnotowa pula. Bez takiej puli, prędzej czy później, znacząca część jednostek zostanie wyłączona z korzystania z tych dóbr, co będzie blokować ich indywidualny rozwój, ale także rozwój społeczności.
10. Nowe kompetencje – niezbędne do opanowywania gwałtownie zachodzących zmian technologicznych – muszą wynikać z powiązania różnego rodzaju wiedzy. Nie tylko tej dotyczącej oddziaływania na obiekty (technicznej) oraz oddziaływania na systemy społeczne (społecznej), ale także tej wiedzy, która jest pochodną dyskursu aksjonormatywnego (modalnej).
11. Niezbywalną składową procesu kształcenia jest wyzwalanie wyobraźni jego wszystkich uczestników i ich rozwojowych aspiracji, w czym szczególnie pomocna jest edukacja kulturalna służąca rozbudzaniu potrzeby własnej ekspresji twórczej.
12. W każdym społeczeństwie niezbędny jest jakiś poziom inwestycji publicznych, bez których utrzymanie i podnoszenie jakości życia obywateli nie jest możliwe. I jeśli nie osiągają tej niezbędnej skali, znacząca część potencjału rozwojowego ulega anihilacji.
13. Wzrost gospodarczy, który prowadzi do pogłębiania nierówności społecznych jest nieakceptowalny.
14. Z punktu widzenia produktywności współczesna gospodarka jest w coraz większym stopniu gospodarką jałowego obiegu – jest ekonomią rozrostu, a nie rozwoju, w której więcej zasobów marnujemy i niszczymy niż wytwarzamy.

Te tezy ukazują główne nurty tematyczne Kongresu, dla których kluczowe będą następujące zagadnienia:

- relacje między efektywnością ekonomiczną, produktywnością gospodarczą i spójnością społeczną,
- jakość życia jako kategoria rozwojowej okrężności,
- prawo do rozwoju, w tym prawo do miasta, oraz dostęp jednostek i grup do zasobów,

- dobra wspólne i indywidualne prawa własności,
- uwspólnianie wiedzy i rola uniwersytetów, nowe kompetencje w warunkach gospodarki cyfrowej,
- kształtowanie imaginarium ekonomicznego i rozwojowego oraz rola dyskursu aksjonormatywnego.

Zagadnienia te będą omawiane w trzech podstawowych blokach tematycznych:

1. Solidarność społeczna.
2. Sprawiedliwość międzypokoleniowa i terytorialna.
3. Prawo do jakości życia i rozwoju.

Rada Programowa Kongresu

1. Prof. dr hab. Jerzy Hausner – Przewodniczący
2. Prof. dr hab. Cezary Obracht-Prondzyński – Wiceprzewodniczący
3. Kuba Wygnański – Wiceprzewodniczący
4. Piotr Ciechowicz
5. Wojciech Duda
6. Aleksandra Dulkiewicz
7. Prof. dr hab. Dariusz Filar
8. Jacek Kotarbiński
9. Patrycja Medowska
10. Paweł Orłowski
11. Paula Rettinger-Wietoszko
12. Marta Siciarek
13. Dorota Sobieniecka-Kańska
14. Ewa Sowińska
15. dr Barbara Stepnowska
16. Paweł Tyszer
17. Tomasz Wojtas
18. Mateusz Zmyślony

Paweł Adamowicz

Gdańsk jako wspólnota.
Gdańsk jako wyzwanie



Paweł Bogdan Adamowicz (1965–2019)
Prezydent Gdańska

I

Współczesne polskie społeczeństwo jest głęboko nieinkluzywne. Nie jesteśmy otwarci na różne przejawy odmienności. Często wykluczamy osoby z zaburzeniami psychicznymi, osoby bezdomne, przedstawicieli mniejszości religijnych, osoby homoseksualne, osoby innego koloru skóry. Jesteśmy społeczeństwem o niskim poziomie zaufania do siebie samych. Trzeba przyznać, że nie bez powodu Polska nie przyjmuje symbolicznej grupy siedmiu tysięcy uchodźców – brakuje społecznego poparcia dla tego humanitarnego aktu. Reżim Kaczyńskiego nie tylko prowokuje wśród Polaków strach poprzez totalną propagandę antyuchodźczą, lecz także odwołuje się do mentalności przeważającej części naszego społeczeństwa. W jakimś sensie to nasza homogeniczność etniczna pozwala tak łatwo rozniecić w nas lęk. Sprawa uchodźców jest niechcianym lustrem, w którym my, Polacy, możemy się przejrzeć…

W tym kryzysowym momencie współczesności kluczowa jest odpowiedzialność lokalnych liderów: miejskich, powiatowych, wojewódzkich. Liderów politycznych i społecznych, ale także religijnych, którzy odpowiedzialni są za wzmacnianie w ludziach tego, co dobre, wzmacnianie tego, co łączy nas z innymi, a nie rozbudzanie lęków i fobii. Pamiętajmy, strach sączony przez polityków i część mediów zatruwa dusze Polaków. Strach wypiera nadzieję i działa błyskawicznie, blokując inne emocje. Trzeba obnażać kłamstwa i manipulacje demagogicznych polityków,

którzy karmią się ludzkimi lękami wypływającymi z różnych źródeł. Ci „handlarze strachu" potrafią nawet wzbudzić lęk irracjonalny, jakim jest obawa przed muzułmanami, którzy w ogóle do Polski nie trafili. (…)

Warto wciąż przypominać wkład w życie naszych miast, w polską kulturę, naukę i gospodarkę wielu pokoleń obcych – Żydów, Niemców, Czechów, Austriaków, Tatarów, Ormian, Rosjan, Flamandów, którzy stali się Polakami. W Gdańsku od wielu lat wydajemy miejski kalendarz – ten na rok 2018 przypomina wieloetniczność i wielokulturowość Gdańska, przedstawiając konkretne postaci historyczne. Po raz pierwszy też zaznaczyliśmy w gdańskim kalendarzu nie tylko katolickie dni świąteczne. Kropla drąży skałę…

Potrzebne nam zatem duże zaangażowanie miast polskich w walkę z wykluczeniem społecznym, dyskryminacją i nierównościami, potrzebna jest dbałość o każdego mieszkańca i każdą mieszkankę. Zestaw narzędzi pracy społeczników, radnych, burmistrzów i prezydentów jest znany – więcej proaktywnej edukacji i polityki społecznej oraz codziennego zaangażowania obywatelskiego.

Chcemy budować szczęśliwe społeczeństwo, które nie będzie nikogo odrzucać, w którym wszyscy będą czuli się u siebie. Takie społeczeństwo opiera się na prostych wartościach: demokracji, praworządności, wolności wypowiedzi, wolności wyznania, równości kobiet i mężczyzn oraz sprawiedliwości. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 30–32)

II

Jako społeczeństwo stoimy dzisiaj – ale zapewne staniemy i jutro – przed niewyobrażalnie brzemiennym w skutki, trudnym egzaminem z politycznej dojrzałości. Wprawdzie do polskich drzwi nie puka jeszcze tłum zdesperowanych uchodźców, ale wraz z gorącym sporem o pomoc dla nich stają przed nami dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze – jakiej właściwie chcemy Polski w XXI wieku, w pełnym konfliktów i zagrożeń świecie? Kim chcemy być i kim będziemy jako społeczeństwo za dziesięć, piętnaście lat? Jaką prawdę o świecie zostawimy swoim dzieciom

i wnukom? Po drugie – czy w przesyconym nienawiścią głosie debaty publicznej potrafimy poważnie rozmawiać o przyszłości Polski? Ja wiem, jakiej chcę Polski i jakiego Gdańska – przestrzeni etycznej, przestrzeni empatii, wrażliwości, otwartości i sąsiedzkiej solidarności. Pragnę, by w czasach niepokojów i wędrówek ludów mój kraj pozostał – mówiąc słowami księdza profesora Józefa Tischnera – wspólnym przyjaznym domem, a nie zamienił się we wspólną polityczną kryjówkę. Nie można ulegać złudzeniom podsuwanym przez ksenofobiczne media, że Polska pozostanie „oazą świętego spokoju". Cena tego złudzenia będzie wysoka, nie tylko w utrwaleniu w społeczeństwie moralnej bezduszności wobec tragedii bliźnich, lecz także w narastającej nieufności, podejrzliwości wobec obcych, agresji wobec każdej inności, innej opinii, innej orientacji światopoglądowej. Takie nastroje i postawy podważają fundamenty demokracji, podważają sens dialogu, nie pozwalają na budowanie jedności w różnorodności, zagrażają wspólnocie i ją niszczą.

Można i trzeba chronić podstawy narodowej tożsamości, dbając o bezpieczeństwo Polaków, ale nie sprzeniewierzając się jednocześnie podstawowym zasadom moralnym, pielęgnując empatię, wrażliwość i solidarność, za którymi musi pójść postawa gotowości do pomocy i nawet poświęcenia części swego dobrobytu dla potrzebujących. Także obcych, także uchodźców, także wyznawców innych religii. Nie tylko swoich. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 47)

III

Do naprawy demokracji potrzebni są zaangażowani obywatele, którzy nie są „jednodniowymi suwerenami", ale sprawują kontrolę nad rządzącymi w sposób ciągły i systematyczny. Ekspresja obywatelska nie może się ograniczać do wyborów, czyli prostej procedury sankcjonowania władz i ogólnych kierunków polityki. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 61)

Jestem prezydentem Gdańska, miasta wolności i solidarności. A historia, dokonania naszego miasta, jego ideowa misja stawia przed każdym prezydentem – nie zawaham się użyć tego określenia – imperatyw moralny

twardej obrony tych podstawowych wartości, ilekroć są zagrożone. Samorząd terytorialny w Polsce, odrodzony w 1990 roku dzięki rewolucji Solidarności i rządowi Tadeusza Mazowieckiego, jest nie tylko częścią administracji publicznej, jest fundamentem polskiej demokracji. Polki i Polacy mieszkają, rodzą się i umierają, chodzą do szkół w konkretnej gminie, mieście, jednostce samorządu terytorialnego. Nie ma gminy Polska! Jest gmina Warszawa, gmina Gdańsk, gmina Kraków czy Wrocław. Każdy wójt, burmistrz, prezydent, obejmując swój urząd, uroczyście ślubuje, że dochowa wierności prawu, a powierzony mu urząd sprawować będzie tylko dla dobra publicznego i pomyślności mieszkańców gminy. Dochowanie wierności prawu oznacza strzeżenie Konstytucji RP z 1997 roku jako najwyższego prawa i źródła wszystkich praw. Dobrem publicznym są niezawisłe sądy i trybunały. Gminy, czyli jednostki samorządu terytorialnego, mają osobowość prawną i samodzielność. I właśnie niezależność i samodzielność gminy Gdańsk czy którejkolwiek innej spośród 2478 gmin w Polsce podlega ochronie sądowej. Żadnemu prezydentowi, wójtowi czy radnemu nie może być obojętne, czy sądownictwo w Polsce będzie niezależne, czy podległe partyjnemu aparatowi ministra Ziobry. (*Gdańsk jako wspólnota,* s. 73–74)

Mam do siebie pretensje, ponieważ w ciągu dwudziestu lat sprawowania urzędu prezydenta mogłem zaprosić do współpracy świadomych nauczycieli i dyrektorów szkół i wcześniej, i więcej zrobić dla przyswojenia i upowszechnienia wśród młodego pokolenia zasad demokratycznego państwa prawa. Takie pytanie powinien sobie zadać każdy wójt, burmistrz i prezydent: co zrobiłeś dla ochrony i upowszechnienia ducha Konstytucji RP? Ile czasu i środków poświęciłeś w czasie jednej tylko kadencji na wychowywanie młodego pokolenia w swojej gminie w duchu wolności i poszanowania demokracji? Co zaoferowałeś dorosłym członkom gminnej wspólnoty? Owszem, to dobrze, gdy nauczyciel, nie tylko na lekcjach wiedzy o społeczeństwie, ciekawie i przystępnie tłumaczy zasady i mechanizmy demokracji. Ale czy to wystarczy? Święto samorządu terytorialnego (27 maja) czy Międzynarodowy Dzień Demokracji (16 września), ale też 4 czerwca – rocznica przełomowych wyborów do Sejmu i Senatu w 1989 roku – to dobry pretekst, by rozmawiać o demokracji we własnej gminie

i w Polsce, by uwrażliwiać lokalną społeczność na sprawy demokracji. Oczywiście przy założeniu, że wójt, burmistrz, prezydent, starosta i marszałek województwa czują się demokratami, mają sprecyzowane poglądy społecznopolityczne, których nie boją się głosić i bronić.

Demokracja potrzebuje gorących, przekonanych, autentycznych wyznawców i praktyków. Demokracja potrzebuje swojego rytuału i niekiedy patosu. Brońmy się jednak przed sprowadzeniem mówienia o demokracji do frazesów, tak jak to się często dzieje, gdy mówimy o patriotyzmie. Szkoła, rynek miasta, ratusz, biblioteka, kino, remiza strażacka – to wszystko odpowiednie miejsca, by celebrować święto samorządu, dziękować mieszkańcom – wyborcom i podatnikom – za zaangażowanie w sprawy publiczne. To dobry moment, aby wyróżnić i nagrodzić społeczników miejskich, zaangażowanych nauczycieli, czy też rozstrzygnąć lokalny konkurs wiedzy samorządowej wśród młodzieży i dorosłych. Osobnym wyzwaniem jest wsparcie merytoryczne, szkoleniowe nauczycieli WOS i animatorów samorządów szkolnych. Ci nauczyciele muszą czuć, że wójt, burmistrz, prezydent w propagowaniu świadomości demokratycznej widzi priorytet, a biblioteki szkolne i publiczne zostały zaopatrzone w odpowiednią literaturę przedmiotu. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 79–80)

IV

Powracam do tych wydarzeń – Parady w Gdańsku i Marszu w Warszawie – by zrozumieć źródła tak różnych manifestacji polskiego patriotyzmu. Oczywiście w takich chwilach sięgam od razu po lekturę sprzed lat, a mianowicie – po głośny esej Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*. Tekst z 1981 roku, opublikowany w drugim obiegu, potem był wielokrotnie wznawiany, także w wolnej Polsce. Można go bez trudu znaleźć w sieci. Czytałem go kilka razy, zawsze z tym samym przekonaniem, że opisuje istotę sporu wokół polskości, który – co tu dużo mówić – najsilniej dzisiaj dzieli naszą wspólnotę. Naturalnie zacznę od prostej obserwacji, że patriotyzmu nie sposób zadekretować i zamknąć w jednej formule

(na przykład Polak-katolik). Nie wolno zatem mylić jego słownikowej definicji, wedle której patriotyzm to miłość ojczyzny (słowo „patriotyzm" odwołuje się do łacińskiego słowa *patria* – ojczyzna), z miłością do narodu, a więc pojęciem, za którym stoją różne polskie tradycje polityczne, od romantycznych wzorów po koncepcje integralnego nacjonalizmu. Tak czy inaczej, istota problemu zawsze tkwi w charakterze więzi, która łączy wspólnotę. Lipski pisał o patriotyzmie opartym na chrześcijańskiej miłości bliźniego. Taki patriotyzm przeciwstawiał szowinizmowi, megalomanii narodowej, egoizmowi narodowemu i ksenofobii. (…)

Kluczem do zrozumienia intencji Lipskiego jest, w moim odczuciu, przekonanie o naszej moralnej odpowiedzialności za użytki, jakie z historii czynimy w teraźniejszości. Czytając *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* u progu wolnej Polski, naturalnie myślałem o naszej gdańskiej tożsamości, o narosłych wokół gdańskości „mitach i fałszywych mniemaniach", a więc o tym skomplikowanym splocie polskim i niemieckim, o naszej republice miejskiej będącej perłą w Koronie Rzeczpospolitej Obojga Narodów, ale także o Wolnym Mieście 1920–1939, które stało się w minionych dekadach literackim kosmosem Güntera Grassa oraz Pawła Huelle i Stefana Chwina, wreszcie – o gdańskich „grudniach" i „sierpniach", i o naszej w tym wszystkim roli i odpowiedzialności.

Patrząc wstecz na burzliwe fale gdańskich debat, które przecież rozpoczęły się od razu po odzyskaniu niepodległości, wiem, że osiągnęliśmy niemało. Wiem również, że tamte debaty wokół gdańskiej tożsamości uszlachetniły nasz patriotyzm. Być może kłopot z wersją patriotyzmu, który praktykujemy w Gdańsku, polega na tym, że nie jest to wyłącznie zagadnienie historyczne, jakiś zamknięty rozdział dziejów naszego miasta i kraju. W tej dziedzinie nic nie przebrzmiało, a to z tej racji, że problem ma również naturę społeczną. Większość rodaków czuje się przede wszystkim Polakami w sensie etnicznym. Taka etniczno-językowa tożsamość zdaje się im najważniejsza. Tymczasem gdańskość, którą przeżywamy, otwiera nas na całkiem nowe pojęcie wspólnoty i patriotyzmu.

Wielu powie: o co tyle hałasu, inni – że koniec końców chodzi tu o jakiś rodzaj patriotyzmu lokalnego, a jeszcze inni – że w doświadczeniu gdańskim można po prostu dostrzec fragment losu Polski. Jest w tym

jakaś prawda, ale spór polega na tym, że gdański patriotyzm, o którym cały czas mówię, nie tyle traci swój narodowy charakter, co go dopełnia: gdańskość wzbogaca polskość, a ta dopełnia się w europejskości. Można to również wyrazić tak: patriotyzm, który wiążemy z Gdańskiem, pozostaje narodowy, ale wchłania w siebie inne doświadczenia i inne narodowo ukonstytuowane wspólnoty. Zapewne nasz przypadek nie jest niczym wyjątkowym. Taki musiał być przypadek Lwowa i Wilna przed wojną. Najpewniej jest to przypadek wszystkich pograniczy, o ile przez pogranicze będziemy rozumieć miejsce, gdzie spotykają się różne języki, wyznania i kultury. (…) (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 122–124)

Kiedy przeglądam gdański „kalendarz pamięci", zauważam teraz to, co przez lata nie wywoływało we mnie głębszej refleksji, a mianowicie, że absolutną dominantą naszego przekazu pamięci jest patriotyzm wojenny (określenie profesora Bogdana Wojciszke). Zbrodnia katyńska, wybuch i zakończenie wojny, powstanie warszawskie… Wyjątkami są rocznice podpisania Konstytucji 3 maja i porozumień sierpniowych '80. Czy taka dominacja wojennego patriotyzmu w pedagogice narodowej odpowiada wyzwaniom, przed jakimi my, Polacy, stoimy pod koniec drugiego dziesięciolecia XXI wieku? Czy tak silne propagowanie wojennego patriotyzmu nie jest już anachroniczne? Można też inaczej zapytać, odwołując się do tego samego problemu: czy takie zawężenie patriotyzmu nie zwalnia nas czasem z praktykowania patriotyzmu dnia codziennego, nie spycha do komfortowej, biernej celebry poprzez na przykład noszenie koszulki ze znakiem „Polski walczącej"? Trzeba jasno stwierdzić, że krew przelewa się w czasie wojny. Na szczęście od z górą siedemdziesięciu lat w naszej części Europy panuje pokój (to najdłuższy okres w nowożytnych dziejach). Dzięki Bogu! Nie doceniamy tego.

W Polsce wielu ludzi narzeka na Unię Europejską, kpi z urzędników Komisji Europejskiej. Liderzy opinii publicznej nie chcą – z ignorancji czy z niepamięci – wytłumaczyć rodakom, że nigdy w dziejach Europy jej mieszkańcy, w tym Polacy, nie byli tak bezpieczni, tak zasobni, jak są dzisiaj.

Gdyby nadeszła wojna, na pewno wielu z nas natychmiast stanęłoby do obrony zagrożonego kraju. Ale panuje pokój i nie ma potrzeby chwytania

za broń. Jaki zatem powinien być patriotyzm czasu pokoju? (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 128–129)

Stoimy więc przed ważnym wyborem: nie tylko jak, lecz także jaki kształtować patriotyzm? Potrzebujemy patriotyzmu otwartego, inkluzywnego, który będzie sprzyjał budowie społeczeństwa obywatelskiego, społeczeństwa włączającego wszystkich w budowę wspólnego polskiego domu bez względu na światopogląd, wyznawaną religię, kolor skóry, płeć, orientację seksualną. Chcemy patriotyzmu budowanego „od dołu", od lokalnych wspólnot, zakorzenionego tu i teraz, wśród sąsiadów, na osiedlu i w dzielnicy, na wsi i w mieście, rosnącego we wspólnoty regionalne aż do wspólnoty ogólnokrajowej, obywatelskiej i konstytucyjnej. Chcielibyśmy, po norwidowsku, by „rósł obywatel w Polaku". Odłóżmy na bok wzór polskości przekonanej o swojej wyższości w stosunku do innych, zamkniętej w obwarowanej twierdzy, nieufnej do obcych, mającej zawsze sąsiadów za wrogów.

Potrzebujemy patriotyzmu otwartego na (przyjazną nam) Europę. Powinniśmy poczuwać się do odpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość Europy, nie tylko z wdzięczności za ogromną pomoc finansową, którą otrzymaliśmy, stawiając nasz kraj na nogi po latach komunistycznej opresji, i którą chcemy jeszcze dostać. Wspólna Europa to wartość nie do przecenienia – jest gwarantem pokoju i bezpieczeństwa Polski. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 133)

V

Integralna koncepcja rozwoju miasta zakłada komplementarność edukacji na wszystkich jej poziomach oraz polityki zatrudnienia i rozwoju społeczno-gospodarczego. System edukacji powinien się opierać na rozwijaniu cech, które stanowią podstawę rozwoju zarówno społeczeństwa obywatelskiego, jak i opartego na wiedzy – otwartość, tolerancja, aktywność obywatelska, zakorzenienie, identyfikacja z regionem w połączeniu z pracowitością dadzą młodym ludziom szansę odnalezienia się w dynamicznie zmieniającym się świecie XXI wieku. (*Gdańsk jako wyzwanie*, s. 111)

Przyszłość edukacji w Polsce powinna być stałym tematem debaty publicznej. Rodzice, nauczyciele, burmistrzowie i samorząd terytorialny, organizacje społeczne i pracodawcy, prodemokratyczne i proeuropejskie ugrupowania polityczne powinny rozpocząć systematyczną dyskusję nad przyszłym kształtem polskiej edukacji.

Wszyscy wiemy, że wiedza jest jednym z kluczowych czynników determinujących rozwój każdego kraju. Bez odblokowania sparaliżowanej przez błędy reformy edukacji samorządowej nie będziemy mieli szans na osiągnięcie trwałej przewagi wśród europejskich krajów. Potrzebujemy Polaków, którzy potrafią tworzyć rozwiązania i współpracować dla realizacji wspólnych celów, dla których naturalną drogą będzie ciągły rozwój. Większość naszych dzieci, a już na pewno wnuków, będzie musiała wielokrotnie zmienić zawód.

Jeśli nasze dzieci i wnuki nie wyniosą z polskiej szkoły kompetencji adaptacyjnych, nawyku i umiejętności efektywnego uczenia się, zdolności do współpracy w różnorodnym środowisku, to zasilą szeregi nieproduktywnej części społeczeństwa, która będzie utrzymywana przez grupę aktywną zawodowo, zmniejszającą się z powodu starzenia się społeczeństwa. (…)

Trzeba szukać sojuszników w działaniach na rzecz kreatywnej szkoły wśród otwartych i zaangażowanych rodziców. Niestety w Polsce nie ma tradycji samoorganizacji rodziców. Wielka szkoda. Bo przecież rodzic przez co najmniej piętnaście lat kształcenia swego dziecka związany jest ze szkołą. To piętnaście lat szans na aktywność dla dobra polskiej, gdańskiej szkoły. Trzeba więc inspirować powstanie organizacji zrzeszającej rodziców w danej gminie, powiecie czy mieście. Szkoła powinna być miejscem kształcenia pierwszych obywatelskich nawyków, postaw i zaangażowania uczennic i uczniów. Autentyczny, a nie fasadowy, stworzony i kierowany przez dyrekcję, samorząd szkolny może być szkolnym inkubatorem obywatelskości.

Wspieranie kreatywności nie należy do mocnych stron systemów oświatowych. Wyzwaniem dla polskiej edukacji jest wyzwolenie swobody twórczej, otwartość na różnorodność, zgoda na ryzyko i poszukiwania. Celem powinno być przekierowanie całego systemu edukacji

na pielęgnowanie naturalnej kreatywności uczniów, co przyniosłoby społeczeństwu i gospodarce wiele korzyści. (…)

W roku 2018 Gdańsk przeznaczy na edukację i wychowanie kwotę 965 milionów złotych, co stanowi 27,4% całego budżetu miasta. Po latach osobistych samorządowych doświadczeń zauważam, że mimo wzrastających co roku wydatków na edukację, mimo dużych nakładów finansowych na infrastrukturę szkolną, nowe budynki, nowe boiska, mimo rozwoju oferty i jakości dodatkowych zajęć szkolnych, a także mimo ogromnego zaangażowania nauczycieli, samorządowców i rodziców, te ogromne dodatkowe sumy przeznaczane, oprócz subwencji oświatowej, na edukację nie przekładają się w oczekiwanym stopniu na szczęście naszych dzieci.

A teraz jeszcze decyzje rządzącego obozu PiS nie tylko zniweczyły kilkanaście lat ofiarnej pracy na rzecz gimnazjów, ale co gorsza, podważyły zaufanie do stabilnych reguł, jakimi państwo powinno się kierować. Ta „reforma" przejdzie do historii polskiej edukacji jako przykład najwyższej arogancji i niegospodarności. Gdańsk przez trzy lata zmarnuje 35 milionów złotych na nieprzemyślane, niemądre pomysły rządzącego PiS. Zamiast wybudować siedem przedszkoli modułowych dla stu dzieci każde, a więc stworzyć siedemset nowych miejsc w przedszkolach, Gdańsk musi zmarnować te pieniądze na likwidację gimnazjów.

Chciałbym bardzo, aby w dialogu między rodzicami a samorządem terytorialnym, między nauczycielami a światłymi związkowcami, między prodemokratycznymi ugrupowaniami politycznymi a organizacjami społecznymi udało się wypracować kształt przyszłej polskiej edukacji na miarę XXI wieku, edukacji dbającej o przyszłość szczęśliwych polskich dzieci. Bo edukacja to klucz do dobrobytu, do szczęśliwego, obywatelskiego, otwartego, darzącego się szacunkiem społeczeństwa. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 235–237)

VI

Gdańsk to wyjątkowe miasto. W niezwykły sposób potrafił zawsze wpływać na swoich obywateli. Często nieświadomi przyczyn, gdańszczanie

postępują zgodnie z kodem kulturowym miasta, czerpią z jego *genius loci*. Czy to jedynie mit, jak sugerują niektórzy badacze? Czy to sprawa wyjątkowej konstrukcji miasta – miasta dżdżownicy, miasta podróży, rozlanego pomiędzy szarobłękitnym morzem, rzekami, kanałami, wyspami i zielonymi wzgórzami? Czy to sprawa wiatru, który uwalnia przestrzeń? Czy to sprawa swoistej baśniowości zabudowy miasta? To, co historyczne, jest wszak nowo zbudowane, ale przez to staje się bliższe mieszkańcom. Gdańszczanie mówią z dumą: nasze miasto! Artyści mówią: buntujmy się przeciw tym, którzy w swoim samozadowoleniu nie chcą dostrzegać, że nie ma miasta raz zdefiniowanego, czytajmy je i krytykujmy – to my je teraz definiujemy. Uprawiamy sztukę tworzenia naszego miasta!

To z takich postaw wyrosła sztuka krytyczna, ruch Totartu, yass i nowa muzyka, niezwykła literatura. Artyści, kolektywy, aktywiści skrupulatnie obserwują i oceniają każdą decyzję, każdą ingerencję w tkankę miasta. To środowisko, które podobnie jak w latach osiemdziesiątych XX wieku, chce przypływu i przepływu nowych idei. Ani krzty pokory. To dobrze. Istotą demokracji jest bowiem ścieranie się opinii, debata i poszukiwanie wspólnych rozwiązań. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 248)

Wolność jest najważniejszą wartością dla gdańszczan. Wolność kultury stanowi więc jedną z podstawowych idei w założeniach kreacji silnej marki kulturalnej Gdańska. Marki opartej na budowaniu oferty charakteryzującej się bardzo wysoką jakością artystyczną, kierowanej do szerokiego grona odbiorców, nawiązującej do wartości wolności słowa, myśli czy przekonań, zakładającej powszechny udział, a nie możliwość wykluczenia. Szczególnie teraz, w dobie nasilających się tendencji autorytarnych i nacjonalistycznych w Polsce, w Europie i na świecie, idea szerzenia wolności i otwartości zdaje się nabierać nowego, wielowymiarowego znaczenia, nie tylko w skali realizacji artystycznej czy w działaniach w sferze kultury. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 260)

VII

Gdański Model na rzecz Równego Traktowania został ostatecznie przyjęty przez Radę Miasta po długiej, gorącej dyskusji. W ten sposób zakończyła się ponadroczna praca dużego grona ekspertów, pracowników urzędu, radnych miasta oraz reprezentantów wielu grup społecznych.

Punktem wyjścia do pracy nad modelem było uświadomienie, że w Gdańsku ceni się różnorodność. Gdańsk jest miastem otwartym i chce stać się jeszcze bardziej przyjazny dla każdego, kto szuka domu, potrzebuje bezpieczeństwa i szacunku. Gdańszczanie są ludźmi serdecznymi, odpowiedzialnymi za swoje miasto, dumnymi ze swojej tożsamości i wielokulturowego dziedzictwa. (…)

Otwartość oraz gotowość do zmian i podejmowania nowych wyzwań to wartości, bez których rozwój społeczny miasta nie byłby możliwy. Potrzebna jest odwaga liderów, niekiedy idących pod prąd pasywnej mentalności, pielęgnującej lęki i społeczne stereotypy. Gdańsk jest miastem nie tylko otwartym na zmiany, lecz także gotowym do wdrażania innowacyjnej, zdeinstytucjonalizowanej polityki społecznej. (…)

Rozwiązywanie problemów społecznych to jeden z najważniejszych celów miasta. Pomimo znaczącego rozwoju gospodarczego, rozbudowy infrastruktury i systematycznie rosnącej jakości życia, ciągle mamy w Gdańsku do czynienia z ubóstwem (około 17 tysięcy osób) i wykluczeniem społecznym. Wyzwaniem najbliższej dekady będzie zwiększenie dostępu do usług publicznych, podniesienie ich jakości, sprofilowanie pod kątem konkretnych potrzeb. Dzisiaj wiemy, że trzeba będzie nasilić działania związane ze starzeniem się mieszkańców, niską, mimo wielu pozytywnych zmian, aktywnością seniorów, zjawiskiem długotrwałego bezrobocia i bierności zawodowej, wykluczeniem mieszkaniowym i bezdomnością, a także rosnącymi wskaźnikami zaburzeń psychicznych i samobójstw. Nowym wyzwaniem jest proces integracji imigrantów mieszkających w Gdańsku. W najbliższych latach powinniśmy jeszcze więcej uwagi poświęcić kwestiom budowania polityk społecznych: priorytetom, nowym wyzwaniom i skali finansowania. Musimy jednak ciągle monitorować rozkład wydatków z budżetu miasta, uwzględniając przy

tym niepewność dotyczącą stabilności dochodów w najbliższych latach z powodu zmiany cyklu koniunktury gospodarczej oraz braku skłonności rządu do zmiany sposobu finansowania samorządu terytorialnego. Będziemy coraz częściej – jako społeczeństwo – stawać przed dylematem typu: kolejny remont i rozbudowa układu drogowego czy budowa domu pomocy społecznej?

Czy potrafimy zdobyć się na solidarność? Międzyludzką, międzypokoleniową? Tworzenie otwartej i włączającej miejskiej społeczności wymaga poważnej i systematycznej debaty na temat priorytetów i pierwszeństwa w finansowaniu przy ogólnospołecznej świadomości ograniczonych zasobów. (*Gdańsk jako wspólnota*, s. 262–272)

VIII

Instytucje demokracji przedstawicielskiej w Europie przechodzą długotrwały kryzys. Upraszczając nieco, można określić główne kierunki tego kryzysu. Według teoretyków i praktyków polityki demokracja pojmowana jest jako swoisty system norm, mający zapewnić pokojową grę o władzę. Niektórzy przyrównują zasady gry demokratycznej do zasad gry rynkowej. Tak więc w polityce, jak na rynku, są tacy, który chcą coś sprzedać (politycy z projektami politycznymi), i tacy, którzy mogą to kupić (wyborcy), jeśli zostaną odpowiednio zachęceni. Im więcej politycy sprzedadzą (im więcej dostaną głosów), tym większą zdobędą władzę, a tym samym większą możliwość realizacji swoich celów.

Obywatele – wyborcy, rozdrobnieni i podzieleni na grupy terytorialne lub zawodowe – niechętnie godzą się na zmiany, wyrzeczenia na rzecz przyszłości i przyszłych pokoleń, czy choćby na czasowe zawieszenie swoich przywilejów. Czy jedynym i podstawowym kryterium demokracji przedstawicielskiej jest zaspokajanie (głównie konsumpcyjnych) interesów jednostkowych i grupowych? Oznaczałoby to, że czynnik dystrybucji dochodów stałby się swego rodzaju złotym cielcem demokracji i cała polityka zostałaby zredukowana do tego, która grupa społeczna zdoła najwięcej wyrwać. W takim ujęciu zachłan-

ność i egoistyczne interesy kłócą się z istotą demokracji – interesem publicznym.

Wielu słusznie kwestionuje sprowadzenie polityki demokratycznej do prostej agregacji indywidualnych interesów i gry o głosy. Teoretycy i praktycy sądzą, że coś takiego, jak interes publiczny, rzeczywiście istnieje, że trzeba zachować etos społecznego zobowiązania. Ważny cel polityki to uzgodnienie owego interesu. Określenie, na czym on polega, nie może w demokracji dokonywać się odgórnie – wymaga demokratycznej debaty, którą określa się mianem deliberatywnej. Jakie są warunki tej debaty? Po pierwsze, jej uczestnicy muszą uznać, że są sobie równi, i odnosić się do siebie z szacunkiem. Po drugie, muszą przedstawiać swoje stanowisko w sposób zrozumiały dla innych, tak aby ci ostatni mogli w nim dostrzec wspólny sens. Szacunek dla uczestników debaty oznacza również uważne słuchanie, co mają do powiedzenia inni. Po trzecie, uczestnicy powinni dążyć do uzgodnienia stanowisk i usuwania występujących między nimi rozbieżności w drodze analizy różnic i tego, co jest im wspólne. Analiza argumentów za i przeciw, ważenie ich, powoduje, że wyjściowe stanowiska uczestników debaty ulegają przekształceniu i uwzględniają punkt widzenia innych. (*Gdańsk jako wyzwanie*, s. 67–68)

O Pawle Adamowiczu, o Gdańsku, o Polsce, o Europie

Piotr Augustyniak

Wojna patriotyzmów

Paweł Adamowicz był bez wątpienia patriotą. Zarazem polskim i gdańskim. Patriotą gorącym i szczerym.

Jednocześnie Adamowicz był znienawidzony przez tych, którzy najwięcej dziś krzyczą o patriotyzmie, jego wzmacnianiu i jego krzewieniu. Dla nich nie był miłośnikiem, ale wrogiem ojczyzny. Nie tylko nie był patriotą, ale był wzorcowym, modelowym przykładem antypatrioty.

Ta dziwna sytuacja, w której patriota szkalowany jest jako antypatriota bierze się stąd, że patriotyzm można bardzo różnie rozumieć. W sytuacji Adamowicza i jego wrogów mamy do czynienia z dwoma wykluczającymi się rozumieniami patriotyzmu. Z jednej strony, jest patriotyzm otwartości, tolerancji, inkluzywności, którego hasło można streścić tak: Polska jest naszym wspólnym domem. Wszyscy, którzy czują się jego domownikami mają do tego prawo, niezależnie od tego, w co wierzą, jak kochają, o czym marzą itd. Z drugiej strony, mamy patriotyzm skupiający się na pojęciu „narodu". Tu Polska jest domem tylko dla „prawdziwych Polaków", tzn. takich, którzy wierzą w to, co dyktuje ukształtowana przez historię tożsamość narodowa; kochają tak, jak tożsamość ta pozwala kochać; marzą o tym, o czym w świetle tej tożsamości marzyć wypada itd.

Powiedzieć, że między tymi dwoma patriotyzmami nie ma zgody to niemal nic nie powiedzieć. Konflikt pomiędzy nimi jest bowiem radykalny. Oba wzajemnie sobie przeczą i się wykluczają. Drugi, gdy nastaje, brutalnie atakuje pierwszy, oskarżając go o antypolskość. Pierwszy, gdy bierze górę, marginalizuje drugi jako nacjonalistyczną skrajność.

I tu pojawia się rzecz zadziwiająca. Otóż historia III RP była historią współistnienia obu tych patriotyzmów. Współistnienia postaw i projektów wykluczających się. Jako taka III RP była społeczno-polityczną realnością o charakterze aporetycznym. Była immanentną sprzecznością, której trwały byt z przyczyn logiczno-formalnych jest niemożliwy, mogła więc istnieć tylko jako – nienaturalnie przeciągający się w czasie – moment zawahania *vel* zatrzymania przed nieuchronnym wybuchem gwałtownego, unicestwiającego ją konfliktu.

Współistnienie obu tych patriotyzmów nie oznaczało, że III RP była podzielona na dwie, skrajnie odmienne części. Była raczej przestrzenią lawirowania pomiędzy jednym a drugim, wytyczania kompromisowych ścieżek gdzieś pomiędzy nimi. Nieważne czy bliżej jednego, czy drugiego. Jako taka była więc III RP przestrzenią fałszywej świadomości, której wydawało się, że możliwa jest polska trzecia droga w formie syntezy obu skrajności – cudownego pojednania ognia i wody.

W III RP mainstreamowa prawica nie głosiła nacjonalistycznej ksenofobii, podobnie jak liberalno-lewicowe elity nie opowiadały się po stronie radykalnie pojętej, inkluzywnej otwartości. Dziś natomiast – na gruzach III RP, na których przyszło nam żyć – sytuacja jest taka, że prawica jawnie opowiedziała się za tym, czym dotąd nie była, lecz ku czemu nieświadomie ciążyła, uwalniając się w ten sposób od swojej fałszywej świadomości. Tymczasem przeważająca część liberalno-lewicowych elit, skonsternowana tą prawicową radykalizacją, nadal chce lawirować, pozostając nadal zakładniczką tej samej fałszywej świadomości, z której uwolniła się prawica. Tłumaczy to aż nazbyt jasno, dlaczego prawica jest cały czas o krok „do przodu", dlaczego permanentnie ma inicjatywę, przeważa i dyktuje reguły gry. Jest to przewaga świadomości, która wyzbyła się złudzeń i opowiedziała się po jednej ze stron konfliktu wykluczających się „wartości", nad świadomością tkwiącą w koncyliacyjno-kompromisowych złudzeniach odnośnie możliwości ich pojednania.

I tu dochodzimy do fenomenu Pawła Adamowicza. Był on jednym z niewielu, a może nawet jedynym politykiem naszej strony, który jasno i dobitnie stanął po stronie patriotyzmu otwartości i inkluzywności. Przeciwstawiając prawicowemu wzmożeniu nie anachroniczne lawirowanie,

ale jasne, odważne, wizjonerskie opowiedzenie się po naprawdę przeciwnej stronie: nie reaktywnie polemicznej, jak to się mówi „antypisowskiej", ale pozytywnej i afirmatywnej, proludzkiej i prospołecznej.

I dlatego śmierć Pawła Adamowicza nie była przypadkowa, bo nieprzypadkowa była skrajnie nienawistna nagonka na niego, która sprowokowała tragiczny czyn szaleńca. Powtórzę: nie była to śmierć jednego z wielu opozycyjnych polityków, ale śmierć bodaj jedynego w naszym kraju działacza społecznego, który miał odwagę marzyć o społeczeństwie bezwarunkowej otwartości i wzajemnej, przyjaznej koegzystencji różnych odmienności – o świecie bez przemocy i nienawiści. Adamowicz miał odwagę nie tylko marzyć, ale śmiało iść za swoim marzeniem.

Jacques Derrida uzasadnił przekonująco, że niemożliwa jest absolutna gościnność. Bezwarunkowe przyjęcie Innego jako Innego oznacza bowiem całkowite samozakwestionowanie, a w efekcie samozniesienie przyjmującego. W naszym przypadku oznaczałoby to m.in. uznanie ksenofobicznego nacjonalizmu jako równoprawnej z innymi postawy światopoglądowej. Co z konieczności dopuszczałoby (tolerowałoby) przemocową uzurpację z jego strony. A więc w efekcie – dyktat ksenofobicznej przemocy, unicestwiający otwartość, która go przyjęła.

Jednak bezwarunkowa gościnność – choć niemożliwa do pełnego urzeczywistnienia – powinna stać się ideą regulatywną naszych działań. Czymś, co wyznacza kierunek naszych postaw, wyborów i zachowań – czymś skłaniającym nas do wysiłku otwartości na wszelką inność, o ile nie jest ona innością nakierowaną na niszczenie tego, co inne od niej. Tak pojęty patriotyzm, sam w sobie nastawiony na kompromis i koncyliacyjne porozumienie, ma i musi mieć siłę do stanowczego sprzeciwu – do nazwania czarnego czarnym, a białego białym. Wszelako bez chęci odwetu i poniżenia. I tak właśnie, jak mi się wydaje, starał się postępować i takim być Paweł Adamowicz. A jeśli mu się to czasami nie udawało, to powinno nas to tym bardziej mobilizować, żeby samemu tego próbować…

Nie ulegajmy złudzeniu, że możliwy jest kompromis pomiędzy patriotyzmem otwartości i patriotyzmem ksenofobii. Wszelki kompromis

będzie możliwy dopiero wtedy, gdy zwycięży ten pierwszy. A oznacza to, że również dopiero wtedy możliwe stanie się otwarcie na narodową dumę. W Polsce otwartości, w Polsce-wspólnym-domu można będzie być dumnym z narodowej przynależności i tożsamości. Nie będzie można tylko jednego – żyć wrogością do tych, którzy tej dumy nie podzielają.

Rafał Dutkiewicz

Jak budować szczęśliwe społeczeństwo?

Kilka lat temu inicjowaliśmy, Paweł Adamowicz i ja, napisanie i podpisanie listu dotyczącego uchodźców. List ten, list otwarty, adresowany do władz Polski, podpisało 11 prezydentów dużych polskich miast. W reakcji na nasze stanowisko Młodzież Wszechpolska wystawiła nam „polityczne akty zgonu". Co dzisiaj, kiedy wspominamy Pawła, brzmi doprawdy zastraszająco.

List nasz nie był listem w żadnym sensie radykalnym – zawierał jedynie postulat zachowywania postawy otwartej oraz mówił o potrzebie sformułowania polityki migracyjnej.

Kształtowanie społeczeństwa otwartego i wyzbytego ksenofobii miało w wypadku Pawła Adamowicza korzenie chrześcijańskie. Tak właśnie rozumiał Paweł naszą religię (pisząc naszą, mam na myśli jego i siebie). Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na nim postawa Ojca Świętego Franciszka dotycząca uchodźców.

Polski (polityczny i społeczny) opór wobec przyjmowania uchodźców wystawia nam fatalne świadectwo. A wstrzemięźliwa postawa jednego rządu oraz agresywna wobec tego tematu postawa następnego wytworzyła pewien zupełnie niepotrzebny dystans pomiędzy Polską a Unią Europejską, której jesteśmy przecież członkiem.

I Paweł, i ja uważaliśmy, że miasta powinny się przygotować do kwestii migracyjnych, powinny to jednak uczynić we współpracy z rządem polskim, aby nasze zachowania miały charakter możliwie jednolity. Nie doczekaliśmy się reakcji rządu.

Kwestie migracyjne mają w Polsce znaczenie gospodarcze i demograficzne. Przypomnijmy, że we Wrocławiu mieszka obecnie niemal 200 tys. obcokrajowców, w tym ponad 100 tys. obywateli ukraińskich. Ich obecność jest absolutnie konieczna i bezcenna z punktu widzenia naszej, dynamicznie rosnącej gospodarki.

Przypomnijmy także, że jesteśmy społeczeństwem szybko się kurczącym i starzejącym. Prognoza „Polska 2050" pokazuje, że w 2050 roku będzie nas o 3 mln mniej, a jedna trzecia społeczeństwa będzie miała powyżej 65 lat.

Wracając do myśli Pawła Adamowicza i do naszych rozmów o polityce i o rozwoju społecznym, chcę powiedzieć, że Pawła fascynowały kwestie demokracji. Dużą wagę przywiązywał do demokracji deliberatywnej. Słusznie uważał, że rozwiązywanie problemów powinno być powierzane ekspertom, jednak poprzedzone możliwie szeroką i pogłębioną dyskusją, społeczną rozmową.

Wielokrotnie rozmawialiśmy także o tym, że podstawą demokracji są rządy prawa. Polityczna operacja przeprowadzona w Polsce przez „Prawo i Sprawiedliwość" – sprowadzająca się do podporządkowania systemu prawnego partii rządzącej – naruszyła polską konstytucję. Niezależność i niezawisłość systemu prawnego oraz jego reprezentantów są wartością samą w sobie i stanowią jedną z największych ludzkich zdobyczy cywilizacyjnych, politycznych oraz moralnych. Naruszenie tego podstawowego elementu w strukturze państwowej jest w rzeczy samej zamachem na demokrację jako taką. Ponownie trzeba powiedzieć, że jest kolejnym elementem dystansującym nas od Unii Europejskiej.

Retoryka Pawła Adamowicza chętnie posługuje się pojęciami wolności, demokracji, otwartości i tolerancji. Jego teksty oraz wypowiedzi nigdy nie miały charakteru tromtadracji. Paweł poszukiwał czystego znaczenia owych słów i – częstokroć bardzo emocjonalnie – demonstrował przywiązanie do nich jako do wartości, a także do wszystkich wartości związanych z miłowaniem bliźnich. To nie oznacza jednak, że nie potrafił być krytyczny czy nawet ostry w swych wypowiedziach.

Pojęciem i przestrzenią, która była dla niego zawsze najważniejsza był, rzecz jasna nie licząc rodziny, Gdańsk. Widać to także w tekstach, które mi

przesłano z prośbą o komentarz. Filtr gdański, jeśli tak mogę powiedzieć, był nałożony na Pawłowe myślenie i postrzeganie świata.

Ciekawe, że z tak lokalnego spojrzenia wyrastają refleksje ogólne, uniwersalne. Trafne. To znaczy celnie i prawdziwie opisujące problemy oraz wyzwania stojące przed Gdańskiem, Polską, Europą. Oraz sukcesy: Gdańska, Polski i Europy.

Osiem stron tekstu, który mi przesłano opowiada o powiązanych z sobą sferach: wolności, demokracji, wychowania, edukacji, tolerancji i otwartości.

Kiedy niosłem trumnę Pawła myślałem głównie o tym, aby się nie potknąć. Odmawiałem też modlitwę. Wracałem również myślami do naszej ostatniej rozmowy, podczas której trochę się posprzeczaliśmy. Dyskutując nad tym, jak powstrzymać tych, którzy niszczą Polskę. Paweł myślał i pisał o tym, jak Gdańsk i Polskę budować, ulepszać. Jak „… budować szczęśliwe społeczeństwo, w którym wszyscy będą czuli się u siebie".

Sposób myślenia Pawła Adamowicza cechowało zatem wybitne zanurzenie w sprawy gdańskie, ukochanie postaw obywatelskich i mocna tendencja decentralizacyjna. Zgadzaliśmy się co do tego, że partia rządząca obecnie (kiedy piszę te słowa, czyli w lipcu 2019 roku) w Polsce szkodzi naszemu krajowi. Ja byłem zwolennikiem silnego politycznego zaangażowania, Paweł był skłonny uważać, że to zadanie partii opozycyjnych, które należy wspierać.

Obu bliska nam była idea samorządowego Senatu. Chodzi w niej o to, że dziś samorządy zajmujące się większością spraw obywateli nie mają praktycznie żadnego wpływu na sposób tworzenia prawa w Polsce. Izba wyższa złożona z przedstawicieli samorządów szczebla lokalnego, ale i wojewódzkiego mogłaby zapewnić spełnienie tego postulatu. Wydaje się jednak, że brak woli i determinacji politycznej do tego rodzaju zmiany ustrojowej nie doprowadzi.

I jeszcze jedna refleksja. Przez Europę płynie fala populizmu i nacjonalizmu. Fala ta objęła także Polskę. „Pracujący człowiek poci się, a niemyty, zepsuty pot cuchnie". Nacjonalizmy są takim właśnie nieobmywanym, cuchnącym potem społeczeństw. Dlatego już od dłuższego czasu wołam: *Take a shower Europe! Be our clean, clear and bright future!*

Dodam, że atakując nacjonalizmy, nie zwracam się przeciw narodom. Siła narodowych związków wyobrażeniowych jest w historii ludzkości tak znacząca, że nawet lewicujący filozofowie, tacy jak Habermas są skłonni mówić o tym, że gdyby nie powstały państwa narodowe, to należałoby je wymyślić. Wspólnotowość jednak zatacza coraz szersze kręgi. Naród jest wspólnotowym piętrem w rozwoju człowieka i ludzkości. To, co narodowe potrzebuje tego, co międzynarodowe – naród współcześnie i w przyszłej dziedzinie spełni się jedynie ponadnarodowo, w naszym wypadku w ramach Wspólnoty Europejskiej.

Dawno już temu w Polsce wprowadzono stan wojenny. Byłem zrozpaczony. Profesor Stomma powiedział mi wówczas, że to, co obserwujemy to „bóle porodowe nowej Europy". Miał rację. Mam wrażenie, że przeżywamy dziś coś podobnego. Bóle porodowe nowej rzeczywistości. To, co się urodzi powinno być jednak zdrowe. Na tym polega nasze zadanie. Polska musi ponownie stać się państwem prawa, zaś buszujące na naszym kontynencie nacjonalizmy i populizmy niech się staną wczorajsze.

Rośnie się, na ogół, w rodzinie. I w różnych kręgach wspólnotowych, wśród których wspólnota narodowa jest szczególnie ważna. To, co narodowe musi być jednak widziane szerzej i bardzo otwarcie. Jako służące człowiekowi. I wszystkim ludziom.

Dariusz Filar

Łączyć, przyciągać, wspierać

Od 2015 roku, a zatem od co najmniej czterech lat – chociaż korzenie zjawiska sięgają głębiej w przeszłość – obserwujemy zabiegi rządzących Polską, które mają na celu wywoływanie i systematyczne pogłębianie podziałów w społeczeństwie. „Najgorszy sort Polaków", o którego istnieniu dowiedzieliśmy się w grudniu 2015 roku, jako pojęcie pozwalające identyfikować tych, co nieodwracalnie obciążeni są genem zdrady i separować ich od rodaków lepszej jakości, utracił już początkową siłę oddziaływania. Ale przecież nieustannie pojawiają się nowe kliny wbijane w społeczną świadomość. Można na przykład wyodrębnić zbiorowość tych, którzy Ojczyznę kochają tak mocno, jak słuchacze pewnej rozgłośni radiowej z siedzibą w Toruniu i wynieść ich ponad tych, dla których takie natężenie patriotyzmu pozostaje niedostępne. Można schlebiać krzepkim wyznawcom stadionowego i zarazem narodowego machismo, a ze wstrętem odwracać się plecami do seksualnych mniejszości. Można wreszcie w karnych szeregach tych, którzy wspierają program rządzącej partii, widzieć rycerskie czy może nawet anielskie hufce gotowe do tego, by „odrzucić wielką ofensywę zła" (czyli tych wszystkich, do których partyjny program nie przemawia).

Postrzeganie natury polityki jako splotu nieprzerwanie podgrzewanych konfliktów stanowi dokładne przeciwieństwo tego, co widział w niej Paweł Adamowicz. Stąd intensywny i długotrwały atak, jaki w okresie poprzedzającym zamach z 13 stycznia 2019 roku prowadziły wobec niego media zależne od PiS – z Telewizją Polską na czele – nie był wynikiem zwykłej

konkurencji międzypartyjnej. Nie był tym bardziej, że w 2015 roku prezydent Gdańska zawiesił swoje członkostwo w Platformie Obywatelskiej (które następnie wygasło), a w wyborach samorządowych występował z ramienia lokalnego Stowarzyszenia „Wszystko dla Gdańska". Bardziej szło w tej napaści o chęć uderzenia w odmienny system wartości, inny sposób kształtowania obywatelskiego współdziałania i wolne od etnicznego zasklepienia rozumienie patriotyzmu. Warto zatem głębiej przeanalizować powody, dla których prezydent Gdańska był solą w oku dla harcowników tzw. dobrej zmiany.

Ci, którzy Pawła Adamowicza znali bliżej i przez czas dłuższy – sam miałem okazję poznać się z nim w 1987 roku na spotkaniach Gdańskiego Klubu Myśli Politycznej im. Lecha Bądkowskiego – mogli zauważyć, że jego wizja polityki i sposobu jej uprawiania przeszła konsekwentną ewolucję i podlegała nieustannemu rozwojowi. Były to ewolucja i rozwój w całym tego słowa znaczeniu – proces spokojny, mocno osadzony na wartościach wyniesionych jeszcze z rodzinnego domu i polegający na starannym dobieraniu nowych komponentów do już istniejącej konstrukcji. Już jako dwudziestoparolatek, w początkach swojej politycznej działalności, Paweł Adamowicz zajmował znaczącą pozycję w dwóch partiach – najpierw od 1990 do 1993 roku w Kongresie Liberalno-Demokratycznym (krąg J. Lewandowskiego, D. Tuska, J.K. Bieleckiego), a później od 1994 do 1996 roku w Partii Konserwatywnej (krąg A. Halla, M. Płażyńskiego, A. Rybickiego, J. Karnowskiego, W. Walendziaka). Od 1992 roku należał do Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego; będąc potomkiem rodziny o korzeniach wileńskich, która osiadła w Gdańsku w 1946 roku, z ogromnym szacunkiem odnosił się do tradycji kaszubskiej i potrafił włączyć jej liczne elementy we własne postrzeganie spraw lokalnych. Rozważając ideowe i polityczne wybory Pawła Adamowicza, nie sposób pominąć faktu, że był praktykującym katolikiem i to takim, którego można określić jako człowieka wiary głębokiej – jego odwołania do nauczania Jana Pawła II nie były powierzchownymi ozdobnikami. Więź ze wspaniałym kapłanem, jakim był arcybiskup Tadeusz Gocłowski wynikała z duchowej wspólnoty, a przejęcie się nauczaniem papieża Franciszka cechował autentyzm. Kształtując swój polityczny profil, Paweł Adamowicz dokonał udanej

syntezy nurtów, z których czerpał. Liberalizm, konserwatyzm, kaszubskość i katolicyzm – poddane solidnemu przemyśleniu i dopasowane ze sobą w spójną całość – uczyniły go wyrazistym przedstawicielem otwartej na świat, nowoczesnej centro-prawicy. W Polsce, gdzie dominujący nurt prawicowości, jaki skupił się pod szyldami PiS i Zjednoczonej Prawicy, cechuje nacjonalizm, intelektualna płycizna i powierzchowna dewocyjność, czyli po prostu populizm, polityk, taki jak Paweł Adamowicz nie mógł uniknąć z tej strony wrogości i ataków. Tym bardziej, że przedstawicieli PiS bez trudu pokonywał w kolejnych wyborach na prezydenta Gdańska: w 2006 roku – A. Jaworskiego już w pierwszej turze, w 2010 roku – A. Jaworskiego ponownie w pierwszej turze, w 2014 roku – A. Jaworskiego w drugiej turze i w 2018 roku – K. Płażyńskiego w drugiej turze.

Sprawując przez dwa dziesięciolecia urząd prezydenta Gdańska, swoim relacjom z mieszkańcami miasta nadał Paweł Adamowicz trzy wymiary: łączył ich we wspólnotę, przyciągał do tej wspólnoty tych, którzy na jej obszar dopiero przybywali, by się tu osiedlić i udzielał wsparcia tym, którzy znaleźli się w potrzebie. Składały się na to i akty symboliczne, i bardzo konkretne, praktyczne rozwiązania. Zbiorowe zdjęcia gdańszczan w towarzystwie prezydenta od lat robione z różnych okazji na Długim Targu (2000 – na koniec stulecia; 2014 – z okazji Zjazdu Gdańszczan; 2017 – w 20. rocznicę uchwalenia Konstytucji RP; 2018 – w stulecie odzyskania niepodległości) należą oczywiście do sfery symbolicznej, ale dla dziesiątek tysięcy stanowiły udokumentowanie więzi z miastem. Zorganizowane w samym centrum miasta obchody Światowego Dnia Uchodźcy to także przede wszystkim symbolika, ale już opracowanie miejskiego modelu integracji imigrantów, utworzenie referatu ds. zatrudnienia cudzoziemców czy włączenie Gdańska w Międzynarodową Sieć Miast Przyjmujących Uchodźców (ICORN) to konkrety. I takich konkretów – łączących, przyciągających i wspierających mieszkańców – można w Gdańsku znaleźć wiele: to miliony złotych włożone w poprawę warunków w domach pomocy społecznej, rozwój budownictwa społecznego, stworzenie Inkubatora Przedsiębiorczości i Parku Naukowo-Technologicznego, budowa nowych przedszkoli w rozwojowych dzielnicach miasta, rewaloryzacja starych parków. Po burzliwej dyskusji w Radzie

Miasta już w czerwcu 2018 roku została podjęta uchwała o Gdańskim Modelu na rzecz Równego Traktowania.

Zamach na Pawła Adamowicza nastąpił tuż po wygłoszeniu przezeń pięknych słów, w których oddał hołd dobroci, szczodrości i solidarności mieszkańców jego ukochanego miasta. Słowa, jakie tuż po zamachu wykrzykiwał morderca nie pozostawiały wątpliwości, że jego rozchwiana psychika została ukierunkowana przez nacjonalistyczną i populistyczną propagandę. Nie powstrzymało to jej realizatorów, by nowym celem ataków uczynić Aleksandrę Dulkiewicz, następczynię Pawła Adamowicza na stanowisku prezydenta Gdańska. A to, że atrakcja turystyczna, jaką jest prawie stuletni tramwaj wystarczy, by dzisiejszym gdańszczanom przypisać tęsknotę do niemieckości, gloryfikowanie historii nazizmu i obciążanie Polski odpowiedzialnością za wybuch II wojny światowej (tak to widziano w lipcu 2019 roku w TVP Info), stanowi dowód, jak silna jest determinacja populistów w dążeniu do zatrucia świadomości Polaków.

Tadeusz Gadacz

Solidarność i odpowiedzialność

Co łączy Kraków z Gdańskiem? Łączy te miasta rzeka Wisła, o której mówił kiedyś ks. Józef Tischner: „Niechaj woda w polskiej Wiśle stanie się czysta i niepodległa – taka, jaka jest woda w tatrzańskich Pięciu Polskich Stawach" (*Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*, 1992, s. 111). Przede wszystkim jednak łączy je solidarność. Pierwsze kazanie otwierające *Etykę solidarności* wygłosił ks. Tischner na wawelskim wzgórzu. Kontynuował je dalej w gdańskiej Oliwie. I tak solidarność połączyła Kraków z Gdańskiem. Ziarno rzucone w Krakowie zrodziło swe owoce w Gdańsku.

Mówił ks. Tischner na wawelskim wzgórzu: „Słowo solidarność przyłączyło się dziś do innych, najbardziej polskich słów, aby nadać nowy kształt naszym dniom. (…) Solidarność rodzi się z dobrej woli i budzi w ludziach dobrą wolę. Ona jest jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej (…) nie potrzebuje wroga lub przeciwnika, aby się umacniać i rozwijać. Ona się zwraca do wszystkich, a nie przeciw komukolwiek" (tamże, s. 11). Pisał pan prezydent Paweł Adamowicz: „Pamiętajmy, strach sączony przez polityków i część mediów zatruwa dusze Polaków. Strach wypiera nadzieję i działa błyskawicznie, blokując inne emocje. Trzeba obnażać kłamstwa i manipulacje demagogicznych polityków, którzy karmią się ludzkimi lękami wypływającymi z różnych źródeł. Ci „handlarze strachu" potrafią nawet wzbudzić lęk irracjonalny, jakim jest obawa przed muzułmanami, którzy w ogóle do Polski nie trafili". I dalej ks. Tischner: „Podstawą i źródłem solidarności jest to, o co każdemu człowiekowi

naprawdę chodzi. (…) Właśnie to, co trzeba zrobić, zespala i pobudza do czynu. Zespala głębiej i trwalej niż strach przed wrogami. Chcemy być narodem zespolonym, ale nie zespolonym strachem. Chcemy, aby nas jednoczył nasz najprostszy, ludzki obowiązek" (tamże, s. 11). Ten najprostszy obowiązek wypływa z solidarności sumień. „To zrozumiałe, by być solidarnym z człowiekiem, to zawsze móc liczyć na człowieka (…) Dla kogo jest zatem nasza solidarność? Jest przede wszystkim dla tych, których poranili inni ludzie i którzy cierpią cierpieniem możliwym do uniknięcia (…) Nie wyklucza to solidarności dla innych, dla wszystkich cierpiących. Ale solidarność dla cierpiących przez ludzi jest szczególnie żywa, mocna, spontaniczna" (tamże, s. 17). Prezydent Adamowicz był na to cierpienie szczególnie wyczulony. Sam chciał przyjmować uchodźców, by spełnić ten podstawowy akt ludzkiej solidarności. „Pragnę, by w czasach niepokojów i wędrówek ludów mój kraj pozostał – mówiąc słowami księdza profesora Józefa Tischnera – wspólnym przyjaznym domem, a nie zamienił się we wspólną polityczną kryjówkę. Nie można ulegać złudzeniom podsuwanym przez ksenofobiczne media, że Polska pozostanie „oazą świętego spokoju". Chciał ich przyjąć do Gdańska, miasta otwartego. Paweł Adamowicz był świadom, że Polskę spaja teraz już nie tylko Wisła, ale także Morze Śródziemne, przez które z narażeniem życia płyną do Europy uchodźcy szukający ludzkiej solidarności.

Prezydenta Adamowicza łączyło z księdzem Tischnerem także rozumienie polityki. Czytamy w *Etyce solidarności*: „Gdy polityka jest dobrą polityką, sama jest przepojona duchem solidarności. Czyż bowiem polityce nie o to winno chodzić, by tak zorganizować przestrzeń życia ludzkiego, aby człowiek nie zadawał ran drugiemu człowiekowi?" (tamże, s. 11).

Podobnie jak ks. Tischner był prezydent Adamowicz świadom, że nie ma solidarności bez edukacji i przestrzegania prawa. Odrębny fragment *Etyki solidarności* poświęcił ks. Tischner wychowaniu. „Trzeba powiedzieć tak: wychowują jedynie ci, którzy mają nadzieję. Do tego należy dodać: wychowują, kształtując nadzieję wychowanków. Wychowanie jest pracą około ducha – pracą według nadziei. Dopiero za nadzieją przychodzi miłość, buduje się wiara, kształtuje odpowiedni zmysł rzeczywistości" (tamże, s. 77). A prezydent Adamowicz z żalem stwierdził: „W roku 2018

Gdańsk przeznaczył na edukację i wychowanie kwotę 965 milionów złotych, co stanowi 27,4% całego budżetu miasta. Po latach osobistych samorządowych doświadczeń zauważam, że mimo wzrastających co roku wydatków na edukację, mimo dużych nakładów finansowych na infrastrukturę szkolną, nowe budynki, nowe boiska, mimo rozwoju oferty i jakości dodatkowych zajęć szkolnych, a także mimo ogromnego zaangażowania nauczycieli, samorządowców i rodziców, te ogromne dodatkowe sumy przeznaczane, oprócz subwencji oświatowej, na edukację nie przekładają się w oczekiwanym stopniu na szczęście naszych dzieci. A teraz jeszcze decyzje rządzącego obozu PiS nie tylko zniweczyły kilkanaście lat ofiarnej pracy na rzecz gimnazjów, ale co gorsza, podważyły zaufanie do stabilnych reguł, jakimi państwo powinno się kierować".

Wreszcie zachowanie praworządności i przestrzeganie Konstytucji. W jednym z ostatnich rozdziałów *Etyki solidarności* pisał ks. Tischner profetycznie o Konstytucji z ducha „Konstytucji 3 Maja": „Mówimy dziś „Konstytucja". Konstytucja znaczy, że oto podane zostały wyraźnie granice między zdradą a wiernością. Wiadomo już, gdzie się coś zaczyna. Jest w tej Konstytucji niezwykła siła. Odtąd ktokolwiek w tym Kraju będzie przeciwko tej Konstytucji, nie będzie pochodził z ducha tego Kraju. Ktokolwiek zaś będzie chciał być wierny temu Krajowi, będzie musiał przyjąć do swego serca granice między zdradą a wiernością, ustanowione przez tę Konstytucję" (tamże, s. 106–107). A u Pawła Adamowicza czytamy: „Każdy wójt, burmistrz, prezydent, obejmując swój urząd, uroczyście ślubuje, że dochowa wierności prawu, a powierzony mu urząd sprawować będzie tylko dla dobra publicznego i pomyślności mieszkańców gminy. Dochowanie wierności prawu oznacza strzeżenie Konstytucji RP z 1997 roku jako najwyższego prawa i źródła wszystkich praw. Dobrem publicznym są niezawisłe sądy i trybunały. Gminy, czyli jednostki samorządu terytorialnego, mają osobowość prawną i samodzielność. I właśnie niezależność i samodzielność gminy Gdańsk czy którejkolwiek innej spośród 2478 gmin w Polsce podlega ochronie sądowej. Żadnemu, wójtowi czy radnemu nie może być obojętne, czy sądownictwo w Polsce będzie niezależne, czy podległe partyjnemu aparatowi ministra Ziobry".

O wielu innych jeszcze wątkach można by tu napisać: o wolności i patriotyzmie, wspólnocie i gospodarowaniu, nauce i kulturze, by przytoczyć choćby kolejne rozdziały z *Etyki solidarności*. Chciałbym wspomnieć tylko jeszcze o jednym. Pawła Adamowicza łączyła z księdzem Tischnerem wolność od polskiej narodowej wady resentymentu. Pisał ks. Tischner: „Mali ludzie wzięli w dzierżawę moralność i za jej pomocą pryskają błotem na tych, którzy udowodnili, że winogrona nie były kwaśne. Stara to prawda: nawet najmniejszy gest wolności jest wielką obrazą tych, którzy grzali ciała w ciepłej niewoli. Dziś oglądamy owoce wczorajszej obrazy" (*Nieszczęsny dar wolności*, 1993, s. 25).

Co jeszcze łączy Kraków z Gdańskiem? Śmierć świadka. Tak zakończył ks. Tischner ostatni fragment *Etyki solidarności* („Duch Rzeczypospolitej): „Patrzcie na przeszłość Rzeczypospolitej. Gdzieś u jej początków ogromne pęknięcie. Król zabija biskupa krakowskiego! Kto tu ma rację (…) Młode ciało narodu u początków rozkładu. Mijają jednak wieki, a Rzeczpospolita rośnie i – przyznaje się do obydwu. Król pozostaje – mimo wszystko – kimś z Polski. I Biskup jest kimś z Polski. Pozostają w historii jako dwa wielkie znaki ostrzegawcze. Rzeczpospolita rośnie, pokonując rozdarcia. Znów mija czas. Pograniczne wojny z Litwą. Leje się krew. Ktoś szuka zwycięstwa, ktoś chce zemsty. Przychodzi czas królowej Jadwigi. Unia z Litwą. Rzeczpospolita rośnie, pokonując poczucie zemsty, nieprzyjaźnie, pęknięcie, rozdarcie. (…) Potem przychodzili tu różni ludzie. Było osadnictwo niemieckie, byli Ukraińcy, byli Rusini, Żydzi, arianie, protestanci, było wielu innych. Każde pobudzenie było pobudzeniem wzrostu. Rzeczpospolita okazywała się większa niż pęknięcia. Dziś pochylamy się nad pęknięciami, które przechodzą przez nas. Szarpią nam nerwy, nie dają spać. Brakuje światła" (1992, s. 120–121). Śmierć świadków zawsze przynosiła światło. Przyniosła go śmierć tego pierwszego w Krakowie, przyniesie i tego ostatniego w Gdańsku. Śmierć świadka solidarności, której tak bardzo aktualnie potrzebujemy.

Polska nie może żyć bez swej pamięci, ale nie może żyć także bez twórczej idei. Trzydzieści lat temu tą twórczą ideą stała się dla polskiej Solidarności idea wolności. Otwarła ona nowy etap historii Polski. Przez minione trzydzieści lat zaczęliśmy odzyskiwać pamięć. W pamięć niejednokrotnie

wkraczała polityka, spory i narodowe waśnie. Czemu jednak służy pamięć? Czy jest budulcem w tworzeniu naszej teraźniejszości i przyszłości, czy też jedynie politycznym rewanżem? Jeśli wielką ideą polskiej solidarności była kiedyś idea wolności, to tą ideą, która może otworzyć nas ku przyszłości powinna stać się idea odpowiedzialności. W równym stopniu musimy być odpowiedzialni zarówno za naszą pamięć, jak i za naszą przyszłość. Miejmy nadzieję, że tak, jak kiedyś popłynęły Wisłą z Krakowa do Gdańska słowa o solidarnej wolności i rozlały się na całą Polskę, tak teraz wypłyną z Gdańska i rozleją się po Polsce słowa o solidarnej odpowiedzialności.

Marcin Gerwin

Z Gdańska w Polskę i w świat – panele obywatelskie

Kiedyś spotkaliśmy się z Pawłem Adamowiczem, aby porozmawiać o zorganizowaniu pierwszego panelu obywatelskiego. Decyzja o tym, aby to zrobić zapadła na samym początku spotkania, w zasadzie jeszcze zanim zaczęliśmy na dobre rozmawiać. Prezydent trzymał w ręku wydrukowany e-mail ode mnie, w którym w skrócie był przedstawiony pomysł. Jak powiedział, nie planował organizowania konsultacji społecznych na temat tego, jak lepiej przygotować miasto na powódź, ale decyduje się ten panel obywatelski zrobić. Nie chodziło mi jednak o konsultacje społeczne. W końcu trzeba było zadać kluczowe pytanie: czy zgadza się uznać rekomendacje panelu obywatelskiego za wiążące, jeżeli będą miały poparcie na poziomie 80%? Zastanawiał się tylko dwie sekundy, po czym odparł, że tak.

Gdy jeżdżę po Europie i opowiadam o doświadczeniach z panelami obywatelskimi z Gdańska, jestem czasem pytany, jak to się stało, że Paweł Adamowicz zgodził się na to, aby rekomendacje były dla niego wiążące. Odpowiadam wówczas, że po prostu zapytałem go, czy uzna je za wiążące dla siebie, a on się zgodził. I to było wszystko. Paweł Adamowicz był szczerze przekonany o tym, że aktywność obywatelska jest wartością. Przez kilka ostatnich lat zmienił się, otwierając się bardziej na współpracę z osobami ze środowiska progresywnego, co zaowocowało różnymi działaniami, także w kwestii usprawniania demokracji.

Panele obywatelskie to sposób na podejmowanie decyzji przez losowo wyłonioną grupę mieszkańców i mieszkanek. Mówi się w takim przypadku

o reprezentacji demograficznej, gdyż losując tę grupę, uwzględnia się kryteria demograficzne, takie jak płeć, wiek czy poziom wykształcenia. Na poziomie miasta uwzględniamy w Polsce wszystkie dzielnice, a na poziomie państwa byłby to również podział na duże miasta, te małe i na gminy wiejskie. Chodzi o to, aby mieszkańcy mieli poczucie, że panel to „ludzie, tacy jak my", a ponadto, aby można było powiedzieć, że jest to miasto lub państwo w pigułce.

Organizowane do tej pory konsultacje społeczne w miastach są różnej jakości. Tymczasem jakość podejmowanych decyzji jest w panelach obywatelskich rzeczą podstawową. Podczas części edukacyjnej jest przedstawiane tło danego tematu/problemu oraz możliwe rozwiązania. Następnie zainteresowane daną kwestią strony, takie jak organizacje pozarządowe, instytucje naukowe, urzędy czy nieformalne grupy mieszkańców, prezentują swoje stanowisko odnośnie do proponowanych rozwiązań. Przypomina to trochę przedstawianie sprawy przed ławą przysięgłych w amerykańskim sądzie, z tą jednak istotną różnicą, że paneliści i panelistki mogą zadawać ekspertom i stronom pytania, by jak najlepiej zrozumieć dany temat. Poza tym mieszkańcy, którzy nie zostali wylosowani do panelu mogą przesyłać swoje komentarze i uwagi, cały proces jest zatem otwarty.

Panele obywatelskie to forma demokracji deliberacyjnej, co oznacza, że debata i słuchanie tego, jak daną sprawę widzą inni jest ich podstawą. Rozważa się tu za i przeciw odnośnie do proponowanych rozwiązań, szukając tego, co będzie najkorzystniejsze z perspektywy dobra wspólnego całej społeczności. Mieszkańcy zdecydowanie są bowiem ekspertami od własnego życia. A będąc władzą zwierzchnią w danej społeczności, mogą decydować o tym, co będzie dobre dla jakości ich życia.

Kolejną rzeczą, o której rozmawiałem z Pawłem Adamowiczem było wprowadzenie w Gdańsku senatu obywatelskiego, czyli stałego panelu, który miałby wybierać tematy na panele na następny rok oraz monitorować wdrażanie rekomendacji z tych poprzednich. Prezydent podkreślił, że widzi także potrzebę, aby monitorowana była realizacja jego programu wyborczego, by mieszkańcy mieli świadomość, co zostało zrobione na przestrzeni całej kadencji. Tym również mógłby zajmować się senat obywatelski.

W Gdańsku zostały do tej pory zorganizowane trzy panele obywatelskie. Doświadczeniami z Gdańska zainspirował się Lublin, który zorganizował u siebie panel na temat poprawy jakości powietrza. Z kolei w styczniu decyzję o zorganizowaniu panelu podjęła rada miasta Krakowa. Panele obywatelskie, zapoczątkowane w Gdańsku, poszły zatem w Polskę i są inspiracją dla ludzi zajmujących się usprawnianiem demokracji na świecie. Następny krok to panele na poziomie ogólnokrajowym i upowszechnianie idei senatu obywatelskiego.

Aleksander Hall

Żałuję, że nie mogę już podyskutować z Pawłem o Polsce

Książkę mojego Przyjaciela *Gdańsk jako wspólnota* przeczytałem już po jego śmierci. Jej promocja odbyła się w ECS w przeddzień drugiej tury wyborów prezydenckich w Gdańsku, w której Paweł Adamowicz został wybrany z doskonałym wynikiem. To zwycięstwo, odniesione w bardzo trudnych okolicznościach, dało mojemu Przyjacielowi wielką satysfakcję, wyzwoliło dodatkową energię i umocniło go w przekonaniu, że droga, jaką wybrał jest słuszna i że ma poparcie Gdańszczan. Przez te kilka tygodni, które dzieliły go od tragicznej śmierci, czuł się chyba najbardziej szczęśliwy w całej swej politycznej karierze.

Widywaliśmy się w tym czasie. Parokrotnie udało nam się dłużej porozmawiać, także o sprawach publicznych. Niestety jego książki jeszcze wówczas nie przeczytałem, a więc nie pojawiła się w naszych rozmowach. Żałuję, że tak się stało, bo to książka ważna: świadectwo jego poglądów oraz wizji Polski i Gdańska. Respektując koncepcję niniejszej publikacji, chcę odnieść się do jednego wątku w książce Pawła. Dotyczy on patriotyzmu. Problematyka narodu i patriotyzmu interesowała mnie od młodości. Pierwsze moje próby publicystyczne, na łamach „Bratniaka", ukazującego się poza cenzurą w drugiej połowie lat 70. i na początku 80., przede wszystkim jej dotyczyły. Później pisałem także książki na ten temat. Jest więc naturalne, że szczególnie interesuje mnie to, co mój Przyjaciel myślał o polskim patriotyzmie w końcowej fazie swego niezwykle aktywnego i pracowitego życia.

Z tego, co napisał wynika, że z trzech wyróżnionych przez niego koncepcji patriotyzmu, czyli etnicznego, kulturowego i konstytucyjnego, bliska mu była wizja syntezy patriotyzmu kulturowego i konstytucyjnego. Nie akceptował patriotyzmu, który wyklucza z narodu ze względu na pochodzenie etniczne czy poglądy. Pamiętał o ofierze krwi, którą składały pokolenia Polaków i oddawał jej cześć. To przecież właśnie on zainicjował obchody rocznicy wybuchu wojny na Westerplatte w godzinę niemieckiego ataku na polską placówkę, a więc nad ranem. Co roku, jeszcze nocą, był w miejscu, w którym rozpoczęła się II wojna światowa.

Niepokoiło go jednak wskazywanie „patriotyzmu wojennego" jako jedynego wzorca patriotyzmu w czasach pokoju. Widział w tym celowy zabieg obecnych władz, połączony z instrumentalnym wykorzystywaniem historii. Był przekonany, że w obecnej fazie naszej historii jest ważne, aby „rósł obywatel w Polaku". Poruszony łamaniem konstytucji przez obóz polityczny, który przejął władzę w Polsce w 2015 roku i zamachem dokonanym przez niego na niezależność władzy sądowniczej nie tylko stał się jednym z liderów ruchu protestu wobec tych praktyk, ale umocnił się w przekonaniu, że współcześnie patriotyzm powinien przede wszystkim wyrażać się w poczuciu odpowiedzialności za polskie państwo, jego instytucje, w aktywnej obronie konstytucji i praworządności.

Jego rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, gdzie Polacy żyli obok Żydów, Rosjan, Białorusinów i Litwinów. Bliska mu była tradycja Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, różnorodnej etnicznie i kulturowo.

Z ostatniej książki Pawła Adamowicza, w której wyraźnie odwołuje się do eseju Jana Józefa Lipskiego, wynika, że widział potrzebę dokonywania krytycznej weryfikacji wątków naszej tradycji narodowej. Był przekonany, że dojrzały patriotyzm nie powinien obawiać się dyskusji o tym, co w naszej historii było nie tylko wielkie, ale i małe.

Gdańsk jako wspólnota dobitnie potwierdza euroentuzjazm Pawła Adamowicza. Nie wynikał on przede wszystkim z racji geopolitycznych czy z korzyści materialnych, jakie odnosi Polska z przynależności do Unii Europejskiej. Te czynniki były dla niego ważne, ale jeszcze ważniejsza była pewność, że pod względem cywilizacyjnym i kulturowym jesteśmy integralną i niezbywalną częścią Europy. Jego wyznanie wiary w tej kwestii

najlepiej wyraża myśl: „…gdańskość wzbogaca polskość, a ta dopełnia się w europejskości".

Kilka moich uwag. Siłą rzeczy bardzo skrótowych.

1. To oczywiste, że najważniejszym kryterium polskości nie może być pochodzenie etniczne, ale poczucie przynależności do wspólnoty narodowej i lojalność wobec polskiego państwa. To dobrze, że obecnie doceniamy i eksponujemy tradycję Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, wieloetnicznej. Nie należy jednak zapominać o tym, że w czasach tzw. Polski Ludowej i zmagań Polaków z narzuconym po wojnie systemem homogeniczność narodowa była naszym atutem. Tak widzieli to: Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski, Wojciech Wasiutyński i wielu innych wybitnych Polaków. To nie Polacy zadecydowali, że po II wojnie światowej żyli w państwie w zasadzie jednonarodowym i znacznie przesuniętym na zachód. Trzeba przyznać, że II Rzeczpospolita nie potrafiła, a być może nie mogła rozwiązać narodowych konfliktów i jest więcej niż prawdopodobne, że gdyby pod dominacją radziecką Polska była krajem z ponad 30% mniejszości narodowych (tak było w II Rzeczpospolitej), władza podsycałaby narodowe konflikty, stosowała zasadę „dziel i rządź" i znacznie trudniej byłoby nam zjednoczyć się w ruchu Solidarności.
2. Paweł Adamowicz miał rację opowiadając się za patriotyzmem zdolnym do krytycznego spojrzenia na narodowe dziedzictwo. Od czasów młodości byłem o tym przekonany, chociaż ten pogląd wywodziłem z *Myśli nowoczesnego Polaka* Romana Dmowskiego i dorobku krakowskiej szkoły historycznej. Naród, który nie jest w stanie odnieść się krytycznie do ciemnych kart swej historii, błędów i własnych wad jest niedojrzały. Trzeba jednak pamiętać, by ważyć racje i nie przyjmować pozy wiecznego prokuratora wobec własnej historii, nie uwzględniającego kontekstów historycznych i poczynań innych narodów. Warto pamiętać o myśli Ernesta Renana, który stwierdzał, że istnienie narodu jest codziennym plebiscytem. Aby był on wygrywany, członkowie wspólnoty muszą mieć poczucie dumy i własnej wartości. Renan (1887) miał rację pisząc: „Mieć w przeszłości wspólne chwile chwały, mieć w teraźniejszości wspólną wolę, mieć za sobą wspólne wielkie czyny, pragnąc dokonać następnych w przyszłości – oto najistotniejsze warunki, aby stanowić naród" (*Discours et conférences*,

s. 277–310). Ten zaś w moim przekonaniu stanowi we współczesnym świecie, w każdym razie w naszej cywilizacji, stale najważniejszą szeroką wspólnotę, w której realizuje się jednostka.

Szczególnie bliska jest mi myśl Edmunda Zientary, wielkiego historyka średniowiecza, wyrażona w książce *Świt narodów europejskich*: „Póki istnieją narody, póki istnieje różnorodność języków, w których każde słowo pomnaża bogactwo znaczeń, póki zachowała się indywidualność literatur narodowych, związana z odrębnym, innym przeżywaniem rzekomo tych samych zawsze i wszędzie losów ludzkich, póty nie zginie bogactwo kultury europejskiej, póty nie zginie zrozumienie dla odmienności człowieka i jego przeżyć w innych odległych ziemiach i cywilizacjach" (2017, s. 196).

Paweł Adamowicz lubił dyskutować i słuchał uważnie swych rozmówców. Bardzo żałuję, że nie będę już miał okazji porozmawiać z nim o jego książce. Brakuje Pawła. Brakuje jego głosu.

Katarzyna Hall

Zwiększać szanse edukacyjne

Cel polityki społecznej państwa, jakim było w poprzednich latach podnoszenie jakości edukacji poprzez zwiększanie szans edukacyjnych dzieci i młodzieży z grup społecznych będących w gorszym położeniu obecnie odchodzi do przeszłości.

Dzieci rodziców dobrze wykształconych i zamożnych, z wielkomiejskich środowisk, bez względu na obowiązujące rozwiązania systemowe zyskiwały i zyskiwać będą dobre wykształcenie. Rodzice zapewnią im dobre prywatne przedszkole, dostęp do różnych ciekawych zajęć dodatkowych, kursów, korepetycji, prywatne lub wysoko konkurencyjne szkoły średnie i wyższe. Niestety, również w wielkich miastach mamy obszary biedy, bezrobocia, braku zaradności życiowej, niepełnosprawności. Szczególnie w tych wypadkach rozwiązania systemowe mają ogromne znaczenie, aby zapobiegać dziedziczeniu problemów społecznych przez kolejne pokolenia. Dobra edukacja powinna zwiększać życiowe szanse dzieci.

Pracowałam u boku prezydenta Pawła Adamowicza w latach 2006–2007, pełniąc funkcję jego zastępcy ds. społecznych. Wtedy był już po doświadczeniu wdrażania reformy z 1999 roku. Wówczas trzeba było starać się odpowiadać na bieżące wyzwania, takie jak: bardzo ograniczony dostęp do żłobków, przedszkoli i szkół w nowych dzielnicach mieszkaniowych, niskie wyniki edukacyjne w dzielnicach z dużymi problemami społecznymi, wymagająca zmian struktura szkolnictwa zawodowego, konieczność przekształcenia wielkiego miejskiego domu dziecka w małe, przyjazne dzieciom placówki. Diagnoza, którą wówczas przygotowaliśmy pokazała,

że mapa występowania dużej liczby rodzin, będących podopiecznymi pomocy społecznej, które nie radzą sobie z wyzwaniami dnia codziennego, nałożyła się na mapę obwodów szkolnych o najniższych wynikach edukacyjnych. Jednym z czarnych punktów tej mapy była wtedy Letnica. Do dziś wspominam decyzję o lokalizacji tam stadionu piłkarskiego, który miał być budowany w Gdańsku na Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej 2012. To był genialny plan rewitalizacyjny prezydenta. Obecnie obiekt stadionu to jedno z piękniejszych miejsc w mieście, które jest otoczone przez nowe drogi, nowe budynki konferencyjne i mieszkaniowe. Letnica została stworzona na nowo, zaś o największych problemach społecznych i o najniższych wynikach edukacyjnych w tej dzielnicy z pewnością już dawno zapomniano.

Dorobek Pawła Adamowicza w sferze wyrównywania szans edukacyjnych czyni jego głos, surowo oceniający obecnie wprowadzane w edukacji niedobre zmiany, szczególnie ważnym i wiarygodnym.

Cofnięcie obowiązkowego uczestniczenia w edukacji przedszkolnej przez 5-latki to niestety działanie zmniejszające szanse edukacyjne wielu dzieci. Opóźnianie startu przedszkolnego i szkolnego nie ma bardzo złych skutków dla klientów ekskluzywnych prywatnych przedszkoli, ma je jednak dla dzieci, które są pozbawione wnikliwej analizy ich potrzeb rozwojowych do wieku obowiązku szkolnego. Wtedy na starcie szkolnym są od razu w gorszym położeniu niż rówieśnik będący po kilku latach wspierającej dobrej edukacji przedszkolnej.

Szkoły średnie po wprowadzonych zmianach już na stałe będą miały więcej uczniów (w liceach będą cztery kolejne roczniki a nie trzy, zaś w technikach – pięć roczników zamiast czterech). Do wielkomiejskiego konkurencyjnego liceum lub technikum kandydaci o dobrych wynikach z małych miejscowości mogą się zakwalifikować, ale podejmą naukę tylko wtedy, kiedy zyskają też miejsce w miejskim internacie lub bursie. Na ogół liczba tych miejsc w miastach nie wzrosła, czyli dostęp dla uczniów zamiejscowych został poważnie ograniczony. Co roku miejsc dla zamiejscowych kandydatów będzie mniej niż kiedyś.

Jednocześnie być może niejeden mały powiat o trudnej sytuacji demograficznej – małej liczbie lokalnej młodzieży mogącej aplikować do

szkół średnich – ucieszył się ze wzrastającej liczby kandydatów i lepszego wypełnienia swoich szkół. Jednak młodzi ludzie z mniejszych ośrodków, którzy chcieli aspirować do szkół w wielkich miastach: artystycznych, sportowych czy dających jakiś szczególny zawód lub profil kształcenia, którego nie można uzyskać w najbliższym miasteczku, pozostaną bez wiary we własne siły, rozczarowani i pozbawieni możliwości, które wcześniej były dostępne.

Prezydent Adamowicz niejednokrotnie zwracał uwagę w swoich wypowiedziach kierowanych do nauczycieli i dyrektorów szkół na ważne wyzwania edukacji w dzisiejszych czasach, takie jak potrzeba edukacji obywatelskiej, uczenie kreatywności i współpracy.

Ramy programowe, zgodnie z którymi należy uczyć w szkołach, bywały bardzo różne; podczas mojego życia zawodowego zmieniały się już wielokrotnie. W każdych realiach można być dobrym nauczycielem, uczyć dobrze i tworzyć dobre szkoły.

Decyzja o zmianie struktury i programów, która zaczęła wchodzić w życie w 2016 roku, była tymczasem po prostu decyzją zawrócenia do czasów jeszcze sprzed 1999 roku i nie mogła w żaden sposób oprzeć się na analizie efektów zmiany z 2009 roku, gdyż jej efekty jeszcze nie mogły być nawet zaobserwowane na uczelniach.

Jądro zmiany programowej przemieszcza się teraz do liceów i techników. Tu przez kolejne lata będziemy uczyć i klasyfikować różne roczniki na różne sposoby, tu także pojawi się przepełnienie, w wielu miejscach pewnie też praca zmianowa.

Podstawa programowa większości przedmiotów została mocno przeładowana. Na autorskie pomysły organizacyjne i programowe zostaje bardzo mało miejsca. Trudniej niż dotychczas, ale nadal można do potrzeb swoich uczniów modyfikować programy, rozkładać akcenty, eksponować to, co uważamy za najważniejsze.

Być może na razie po prostu do wymogów podstawy programowej warto podchodzić bardziej zdroworozsądkowo i elastycznie, zwracać uwagę i stawiać na takie priorytety, jak samodzielność, współpraca, odpowiedzialność, praca projektowa, odkrywanie oraz rozwijanie pasji i talentów. Trzeba myśleć, jak uczynić szkołę atrakcyjną i interesującą dla ucznia,

jak sprawić, aby każda lub chociaż prawie każda szkoła dawała uczniom ciekawe możliwości rozwojowe.

Wyzwanie dzisiejszych czasów to także spotkanie w szkole z dziećmi czerpiącymi wiedzę z bardzo wielu pozaszkolnych źródeł, to potrzeba uczenia krytycznej analizy i weryfikacji takiej wiedzy. Szkoła powinna w coraz większym stopniu pracować w grupach różnowiekowych, grupach zaawansowania, grupach zainteresowań. Nauczyciele są odpowiedzialni za planowanie indywidualnej drogi edukacyjnego rozwoju każdego dziecka, pomoc dzieciom w podążaniu własnymi drogami, dostosowanymi do ich potrzeb. Zamiast kolejnej wymiany programów i podręczników, lepiej byłoby zafundować nauczycielom pomoc w dobrym przygotowaniu się do uczenia w sposób spersonalizowany.

Potrzebna jest praca nad standardami dobrej edukacji, trzeba stawiać cele jakościowe. Polska przez ostatnich dwadzieścia lat zrobiła znaczący postęp, jeśli chodzi o wyniki edukacyjne polskich dzieci i młodzieży. Jest to widoczne w różnych międzynarodowych badaniach. Trzeba starać się, aby nie zmarnować tego dorobku.

Hubert Izdebski

Otwartość, solidarność i demokracja deliberatywna

Pawła Adamowicza poznałem, kiedy już był prezydentem Gdańska. Miałem okazję stykać się z Nim przede wszystkim jako przedstawicielem swojego miasta w Unii Metropolii Polskich, w tym w latach 2007–2015, gdy był Prezesem Zarządu tej reprezentacji największych miast naszego kraju, której starałem się służyć doradztwem prawnym. Unia od czerwca 2019 roku nosi imię Pawła Adamowicza. Stykałem się z Nim także, udzielając pomocy prawnej w pewnych sprawach Jego ukochanego miasta – na swojej prywatnej stronie internetowej nieodmiennie przedstawiał się jako „gdańszczanin, prawnik, prezydent miasta niezmiennie zakochany w Gdańsku".

W szczególności pamiętam sprawę zmiany granic Gdańska i Sopotu, która w wyniku porozumienia władz dwóch tych miast miała przejść przez środek wspólnie wznoszonej hali sportowo-widowiskowej (obecnie jest to Ergo Arena). W lipcu 2008 roku zmiany tej odmówiono, używając absurdalnego argumentu, iż granice pomiędzy jednostkami samorządu terytorialnego powinny przebiegać wzdłuż, a nie w poprzek linii komunikacyjnych (dróg, kolei czy rzek). Jednak ostatecznie w grudniu 2008 roku doszło do uzupełnienia rozporządzenia Rady Ministrów o tę właśnie korektę, mającą symbolizować współpracę dwóch sąsiadów. Sprawa ta była ważnym symbolem współdziałania Gdańska i Sopotu, a jednocześnie ogromne zaangażowanie w nią Pawła Adamowicza było symbolem. Jego ogólnego nastawienia do ludzi i do urzędu wielokrotnie powierzanego Mu przez wyborców – nastawienia na dialog i współpracę.

Zanim przejdę do tego nastawienia, nie mogę nie wspomnieć, że ostatni raz spotkałem się z Prezydentem na niecałe dwa miesiące przed Jego tragiczną śmiercią – gdy, po wyborze na szóstą już kadencję, przygotowywał szczegółowe plany na kolejne lata.

O tym, co Paweł Adamowicz zrobił dla Gdańska powinni pisać gdańszczanie. Natomiast jest obowiązkiem takich jak ja – którzy Go znali, lecz gdańszczanami nie są – zachowywać w pamięci i przypominać innym Jego przekaz, wyraz Jego ogólnego stanowiska w najważniejszych sprawach samorządu, a przez to kraju, Europy i zmieniającego się tak szybko świata. Przekaz został zawarty w wielu Jego wystąpieniach, przede wszystkim jednak w dwóch książkach, które ukazały się w przedziale 10 lat: *Gdańsk jako wyzwanie* oraz, ogłoszonej tuż przed wyborami samorządowymi 2018 roku, znacznie obszerniejszej pozycji *Gdańsk jako wspólnota*. Gdy jako redaktor naczelny miesięcznika „Samorząd Terytorialny" szukałem sposobu uczczenia pamięci Prezydenta godniejszego niż tradycyjny nekrolog, udało mi się uzyskać refleksje kilku innych współpracujących z Nim osób na temat myśli zawartej w tej ostatniej książce – i opublikować tę szczególną zbiorową recenzję jako wyraz hołdu pod tytułem „Testament wielkiego samorządowca".

Istotnie, książka *Gdańsk jako wspólnota* – która miała, jak na wstępie napisał Autor, opowiedzieć o Jego wizji Gdańska, ale też opisać Jego drogę samorządową, jednak nie być „prostym rozliczeniem ze zrealizowanych programów wyborczych, przypomnieniem, rejestrem zmian materialnych w przestrzeni miejskiej", lecz wyrazem Jego odczucia „potrzeby opowieści, (…) ogromnej potrzeby podzielenia się z gdańszczankami i gdańszczanami swoimi przemyśleniami, intuicjami, wątpliwościami, swoimi dotychczasowymi doświadczeniami" – okazała się polityczno-samorządowym testamentem Pawła Adamowicza.

Nie jest możliwe przekazanie w niniejszej, bardzo skrótowej formie wszystkich treści „przemyśleń, intuicji i wątpliwości" Autora. Mam jednak nadzieję, że uda się wydobyć najważniejsze wątki Jego przekazu, który powinien dotrzeć nie tylko do gdańszczanek i gdańszczan. Najlepiej w tym celu oddać głos samemu Prezydentowi, przy zwróceniu na początku uwagi na częste używanie przez Niego, przy wyraźnym stronieniu od

akademickości (mimo że karierę zaczął jako asystent i rychło prorektor Uniwersytetu Gdańskiego), trzech ważkich określeń o wymiarze doktrynalnym, trzech podstawowych dla Niego wartości: otwartość, solidarność i demokracja deliberatywna.

Napisał zatem: „Ja wiem, jakiej chcę Polski i jakiego Gdańska – przestrzeni etycznej, przestrzeni empatii, wrażliwości, otwartości i sąsiedzkiej solidarności". „Codzienna solidarność z innymi wytwarza wspólnotę miejską, zwiększa spójność społeczną, wzmacnia wzajemną odpowiedzialność za dobro wspólne i ukierunkowuje racjonalne działania w wykorzystywaniu ograniczonych zasobów miasta". „Celem wójtów nie może być samo trwanie, komfortowe sprawowanie urzędu, budowanie wokół siebie teflonowej zasłony. Trzecia dekada XXI wieku potrzebuje burmistrzów patrzących daleko w przyszłość, nastawionych na rozwój lokalnej wspólnoty, będących partnerami rozwijającego się, niekiedy uśpionego, społeczeństwa obywatelskiego (…). Wójt, burmistrz prezydent wspiera i inicjuje powstawanie instytucji demokracji deliberatywnej". „Czym powinna być decyzja w demokratycznej polityce? Na pewno nie brutalnym forsowaniem swojej woli. Powinna być efektem dialogu, długiej i rozważnej rozmowy, ucierania stanowisk. Tylko w ten sposób można iść dalej wspólną drogą". Za tym poszło wezwanie: „budujmy mosty, a nie mury, nie odmawiajmy dialogu, a w geście solidarności podajmy dłoń potrzebującym, dyskryminowanym, wykluczonym, a także tym, którzy uciekając przed wojną i głodem, szukają u nas elementarnego wsparcia".

Paweł Adamowicz wyrażał przy tym przekonanie o potrzebie funkcjonowania silnego samorządu terytorialnego w ogóle, a samorządu szczebla podstawowego w szczególności, nasycając książkę – jak i wszystkie swoje ogólniejsze wystąpienia – treściami, bez takiego ich nazywania, zasady pomocniczości, prawa do miasta i wartości właściwych nowoczesnemu republikanizmowi.

Głosił: „Miasto jest podstawową strukturą terytorialną, może szybko dostrzegać problemy i rozwiązywać je z coraz bardziej różnorodnymi, a jednocześnie charakterystycznymi dla danego miejsca społecznościami. Może działać skuteczniej niż rząd". „Władze lokalne i regionalne, będąc najbliżej obywateli, są naturalnie predestynowane do tego, by tworzyć

forum wymiany wiedzy i doświadczeń w tej dziedzinie" – mowa o ważnym dlań problemie integracji imigrantów. „Żywa demokracja lokalna jest fundamentem demokracji na szczeblu krajowym". „Potrzebujemy patriotyzmu otwartego, inkluzywnego, który będzie sprzyjał budowie społeczeństwa obywatelskiego, społeczeństwa włączającego wszystkich w budowę wspólnego polskiego domu bez względu na światopogląd, wyznawaną religię, kolor skóry, płeć, orientację seksualną. Chcemy patriotyzmu budowanego <od dołu>. Od lokalnych wspólnot, zakorzenionego tu i teraz, wśród sąsiadów, na osiedlu i w dzielnicy, na wsi i w mieście, rosnącego we wspólnoty regionalne aż do wspólnoty ogólnokrajowej, obywatelskiej i konstytucyjnej. (…) Potrzebujemy patriotyzmu otwartego na (przyjazną nam) Europę". Gdański patriotyzm „nie tyle traci swój narodowy charakter, co go dopełnia; gdańskość wzbogaca polskość, a ta dopełnia się w europejskości". „W roku 1989 wybraliśmy dla naszego kraju i naszych małych ojczyzn ideę demokratycznego państwa prawa, opartego na praworządności i społecznej gospodarce rynkowej oraz postępującej decentralizacji władzy i budżetu. Wierzymy, że zdecentralizowane państwo polskie, oparte na silnym fundamencie samorządnych wspólnot obywateli w gminie, powiecie, metropolii i województwie, nie tylko upodmiotawia obywateli i wyzwala energię społeczną, ale jest najbardziej efektywnym sposobem organizowania życia państwowego w XXI wieku". Zarazem, „samorządowi liderzy powinni być aktywni w dialogu z obywatelami".

W rozdziale zatytułowanym „Nie ma demokracji bez demokratów" Paweł Adamowicz zawarł słowa: „jestem prezydentem Gdańska – miasta wolności i solidarności. A historia, dokonania naszego miasta, jego ideowa misja stawia przed każdym prezydentem – nie zawaham się użyć tego określenia – imperatyw moralny twardej obrony tych podstawowych wolności, ilekroć są zagrożone". Jako Prezydent Gdańska stracił życie, broniąc w słowach i w czynach podstawowych wolności.

Jacek Kołtan

Przemiana i polityka

Nie doceniałem go. Ponad dekadę temu, kiedy mieliśmy okazję się poznać, jego konserwatywne podejście do świata było mi obce. Należał do ówczesnego liberalnego establishmentu, pewnego własnej słusznej drogi. Nie pomagała mu też swoista dla niego mieszanka nieporadności i pewności siebie: był przecież człowiekiem potężnej postury, a towarzyszył mu zawsze, trzeba to podkreślić – zawsze – uśmiech. Znany był z gaf, których popełnianie przychodziło mu nazbyt łatwo. Lata doświadczenia na stanowisku prezydenta Gdańska powodowały zaś, że podczas debat potrafił zabrzmieć bezceremonialnie wobec oponentów. Słowem, mieszanka cech trudnych do powiązania w spójną całość. Jego miękka strona aparycji sprzyjała nadaniu mu złośliwego określenia „Budyń", które przylgnęło do niego i – jak się dziś okazuje – nazbyt łatwo określiło jego publiczny wizerunek, przysłaniając tę inną, tak istotną stronę jego osoby i jego działalności.

Miejska metamorfoza

Gdańsk końca lat 20. XX wieku był miejscem niemal odciętym od reszty kraju. 8-godzinne podróże kolejowe z Warszawy skutecznie odstraszały potencjalnych przybyszów. Na próżno też było szukać atrakcyjności codziennego życia w mieście, w którym restauracyjna i kawiarniana oferta z wielkim sukcesem ignorowały rozwojowe trendy obecne w innych

miastach zachodniej Europy, zaś przestarzały transport publiczny czynił wyzwaniem poruszanie się po wąskiej i długiej strukturze miejskiej. Katastrofa wojny wpisana w krajobraz miejski, niszczejąca przemysłowa tkanka stoczni, czy wreszcie pamięć o solidarnościowym zrywie, zagospodarowane połowicznie lub wcale, wisiały nad miastem jak fatum. Mogły stać się jego potencjałem, a oddziaływały jak historyczny nadmiar, który odstrasza bądź onieśmiela. W 2009 roku reżyser teatralny Jan Klata puentował ten stan bolesnym esejem o „krainie, gdzie wszystko mogło się zdarzyć – i zdarzyło się – i w związku z tym nie zdarzy się już nic… Nikt nie wie, co z tym zrobić". Już kilka lat później zmienić miało się jednak niemal wszystko. Jednak od 2012 roku Gdańsk nie tyle uległ przemianie, co został katapultowany. Każdy rok był skokiem w zupełnie nowe rozwojowe rejony.

Metamorfoza polityczna

Wszystko to było możliwe także dzięki trudno dostrzegalnej, mozolnej, wieloletniej pracy nad historią miasta i pamięcią o niej młodego wówczas polityka. Nie korzystając z fali wynoszącej obiecujących aktywistów nowego pokolenia do politycznego centrum tuż po upadku komunizmu w 1989 roku, Adamowicz skoncentrował się na rozwoju rodzinnego miasta, do którego miał miłosny wprost stosunek. Stał się przykładem samorządowca z krwi i kości, który stawia na autonomię w polityce lokalnej. Jego zawodowa droga i jej konsekwencja są tego najlepszym dowodem – radny, prorektor uniwersytetu, przewodniczący rady miasta, wreszcie prezydent Gdańska, jeden z najdłużej utrzymujących tę funkcję w ponad tysiącletniej historii miasta. Rzeczy wydawałoby się do znudzenia naturalne i oczywiste, takie jak szacunek do wielokulturowości miejsca i regionu, jego nieprostej historii, dzisiaj widać – w kontekście politycznego szaleństwa – jak głęboko były nieoczywiste i jakim szczęściem stały się dla mieszkanek i mieszkańców Gdańska.

I kolejny miłosny element jego stosunku do miasta – bezgraniczny wręcz entuzjazm dla przedsięwzięć, które wydawały się wówczas

projektami na wyrost, szczególnie tych z przestrzeni kultury, takich jak Europejskie Centrum Solidarności, Teatr Szekspirowski, przekazanie miejskiego gruntu pod budowę Muzeum II Wojny Światowej. Szybko okazało się, że to właśnie one głęboko zmienią kulturalny krajobraz miasta, czyniąc je jednym z atrakcyjniejszych i najbardziej inspirujących w kraju i tej części Europy. To z ich pomocą miasto zostało opowiedziane na nowo. Bez tej opowieści trudno było stwierdzić, czym/kim właściwie jest coraz intensywniej tętniący życiem nowy Gdańsk.

Polityczne napięcia z rodzimą partią po aferze dotyczącej jego rozliczeń majątkowych spowodowały, że pozostawiony samemu sobie Adamowicz przeszedł metamorfozę. Wychowanek gdańskich konserwatystów zaczął dostrzegać bolesne ograniczenia tej tradycji. On, przedstawiciel konserwatywnego skrzydła liberałów, dokonał politycznej rewolty. Nie tylko biorąc udział w marszu równości – inicjatywie, którą niegdyś zwalczał z zaciętością ortodoksa, ale też przyłączając się do tych, którzy na język politycznej praktyki starali się przełożyć wrażliwość wobec inności. Podróż na konferencję o fali uchodźczej zorganizowaną przez papieża Franciszka była dla przekonanego katolika trudnym doświadczeniem. Ofertę zorganizowania wspólnej akcji pomocy, jaką składał rodzimym kościelnym hierarchom, zbyto ignorancją.

Gdańsk doświadczając nowych globalnych inwestycji, stawał się typowym miastem zachodniej Europy – z rosnącą liczbą migrantów żyjących i pracujących na miejscu. To zupełnie nowe doświadczenia w powojennej historii Polski, na które odpowiedzią stał się gdański Model Integracji Imigrantów. Kiedy dodamy do tego Model na rzecz Równego Traktowania i panele obywatelskie, podczas których wybrani losowo mieszkańcy sami podejmowali decyzje o wydatkowaniu części budżetu miejskiego na kluczowe z ich punktu widzenia przedsięwzięcia dla rozwoju Gdańska, wyraźnie widać, jak uczyniły one z miasta demokratyczne laboratorium i zmieniły je na głębokim poziomie. Włączyły obywatelki i obywateli do współrządzenia miastem, współdecydowania o jego obecnym i przyszłym kształcie. Wreszcie, uwrażliwiły na inność, coraz bardziej przecież niejednolitego dziś społeczeństwa. Paweł Adamowicz współtworzył i z przekonaniem wprowadzał je w życie. W ten

sposób w Gdańsku rodziła się polityka opiekuńczości. Bardzo ubolewam nad tym, że nikt tej historii dotąd nie opowiedział. A przecież nie ma drugiego takiego przypadku w Polsce. Niewiele też podobnych partycypacyjnych polityk można odnaleźć w Europie. Trudno szukać przykładu podobnej metamorfozy – wzajemnego rezonowania zmieniającej się tkanki miejskiej i osobistej egzystencjalnej przemiany osoby prezydenta.

A była to niezwykła metamorfoza, chwilami nawet – tak mi się wtedy wydawało – po prostu niewiarygodna. Skąd miałaby się wziąć ta gotowość do wewnętrznej zmiany? Myślę jednak, że była wyznaczana wieloma intelektualnymi impulsami, na które złożyły się także spotkania z praktykami i teoretykami rozwoju miast, jak Benjamin Barber, czy polityki, jak Guy Sorman obwieszczający Gdańsk symboliczną stolicą Europy, albo Michael Sandel zadający niewygodne pytania o błędy liberalnych elit, czy wreszcie rozmowy o przyszłości chrześcijaństwa z kardynałem Marxem. W Adamowiczu – tak to widzę z dzisiejszej perspektywy – zaczęła rodzić się gotowość do zrzucenia maski twardego polityka, maski wymuszanej utartą konwencją polskiej polityki, nie do końca pasującej do jego delikatnej, „swojskiej" strony jego osoby. Rodziła się chęć prostej afirmacji także własnych słabości. Było to paradoksalne doświadczenie, bowiem działo się w czasie, kiedy budował wrażenie twardego polityka (zapuszczona broda!) w stanie wojny z rządami partii rządzącej.

Ta przemiana jest dla mnie odpowiedzią na pytanie, dlaczego właśnie Adamowicz stał się predestynowany do tego, by stanąć, jak żaden inny prezydent polskiego miasta, przeciw twardemu męskiemu reżimowi kontrrewolucjonistów pozbawionych politycznej wyobraźni. Ich okrucieństwu mógł przeciwstawić się ktoś, kto poznał niebezpieczeństwa polskiej kultury politycznej z jej wnętrza. To także jeden z powodów, dlaczego to morderstwo w czasie obrzydliwej, konsekwentnie przeprowadzanej politycznej akcji czynienia z niego wroga polskiego społeczeństwa, było tak bolesne. Wydarzyło się na rozpoczętym etapie przemiany, która została boleśnie przerwana.

*

To bardzo zły znak, że niespełna pół roku po tej tragicznej śmierci polska polityka wciąż pogłębia szaleństwo uruchomionych przed trzema laty mechanizmów i niszczy delikatną tkankę, z której składa się życie społeczne. Niczego się od tego czasu nie nauczyliśmy. Marcin Świetlicki niespełna rok przed śmiercią Pawła Adamowicza w tomie wierszy *Polska. Wiązanka pieśni patriotycznych* w zadziwiająco profetyczny sposób wydobył mroczny moment, w którym się znaleźliśmy, pisząc:

I trzeba się bać. Teraz miłość jest bezsilna,
jest tylko w deklaracjach
oraz deklamacjach. Wszelkie poranne złudzenia
przemieniają się w gorzki wieczór. Jest
później niż myślicie.

Tej śmierci i tego życia nie można zapomnieć. To morderstwo domaga się pamięci i zadośćuczynienia, zaś życie zmusza do twórczego przemyślenia na nowo momentu, w którym znaleźliśmy się jako społeczeństwo. I poszukiwania drogi wyjścia z pułapki, której niebezpieczeństwa boleśnie doświadczyliśmy. Jest później niż myślimy.

Jacek Kotarbiński

Tożsamość, wielokulturowość, odpowiedzialne społeczeństwo

I

Paweł Adamowicz miał pełną świadomość bagażu historycznego i wielokulturowości, która ukształtowała nie tylko Gdańsk, ale cały region pomorski. To tutaj jak w hanzeatyckiej wieży Babel mieszały się języki, kultury, obyczaje, tradycje, ale i społeczne stereotypy. To właśnie one, podsycane nierzadko politycznie na arenie dziejów, stawały się zarzewiem konfliktów, braku zrozumienia dla odmienności, nienawiści czy zwykłej, brutalnej przemocy. Im bardziej Paweł sobie to uświadamiał, tym bardziej walczył o ludzką godność i wzajemny szacunek, który jest absolutną podstawą każdego porozumienia. Niejednokrotnie wskazywał na znaczenie liderów opinii i każdego, na kogo skierowane są światła jupiterów. W jego ocenie władza to nie przywileje, ale przede wszystkim odpowiedzialność za zwykłego człowieka, rodzinę, dzielnicę i całe społeczeństwo. Dziś warto o tym przypominać, ponieważ zdaje się, że coraz bardziej zatraca się świadomość, czym jest demokratycznie wybrana władza, jaką rolę pełni Konstytucja oraz jakie prawa i obowiązki spoczywają na kierujących miastem, powiatem czy państwem. Ta świadomość winna być nieustannie kształtowana przez wolne, profesjonalne i niezależne media, ponieważ to one tworzą nasz obraz otaczającego świata. Paweł Adamowicz był esencją rozumienia wolności nie tylko Gdańska, ale całego kraju.

II

Nieustannie dyskutujemy o polskiej tożsamości. Kim staliśmy się po 1989 roku, kim jesteśmy dzisiaj i jak patrzymy na siebie jako społeczeństwo w perspektywie 20–30 lat. Pamiętam, że podczas rozmów z Pawłem czasami poruszaliśmy ten temat z różnych punktów widzenia. Dla niego Polska i Pomorze to wizja otwartego, empatycznego regionu, pełnego wolnych ludzi, potrafiących wspólnie ze sobą współpracować i rozmawiać. Dla mnie z kolei była to wizja silnej, liczącej się w Unii Europejskiej Polski, szczególnie pod względem ekonomicznym: rozpoznawalnych marek, świetnych firm technologicznych czy doskonałych specjalistów i branż, w których potrafimy być naprawdę mistrzami. W tych naszych dyskusjach zahaczaliśmy nawet o wizję Florencji za czasów Leonarda da Vinci – mówiliśmy o ówczesnych ideach łączących rzemiosło, sztukę, inżynierię czy architekturę właśnie dlatego, że zwykłym ludziom nie tylko umożliwiano realizację własnych pasji i talentów, ale inwestowano w edukację i rozwój. Te dwie idee – społeczna i gospodarcza – łączyły się ze sobą w bardzo ciekawy sposób.

III

Społeczeństwo obywatelskie w Polsce po 1989 roku było chyba marzeniem każdego, kto chciał wolnego, demokratycznego i solidarnego kraju. Wielu miało świadomość blasków i cieni różnych demokracji, a my w pewnym sensie tworzyliśmy czystą kartę. Mogliśmy budować model skandynawski czy amerykański, ale chyba nikt nie marzył o powrocie do świata oligarchii, jedynego „słusznego aparatu władzy" w orwellowskim wydaniu. Paweł Adamowicz miał pełną świadomość, że choć demokracja nigdy nie będzie w swej istocie doskonała, to przede wszystkim jest systemem nadającym każdemu obywatelowi własną podmiotowość. A przecież społeczeństwo obywatelskie zaczyna się od rodziny, sąsiadów, osiedla, dzielnicy. Jednak to przejście ze świata socjalizmu do odpowiedzialnej, świadomej demokracji akurat pod tym

względem niezbyt się nam udało. Dlatego tak ważne było powtarzanie przez Pawła, co jest naprawdę istotą demokracji, o co walczyliśmy, dokąd idziemy, a przede wszystkim, jak w tym wszystkim ma znaleźć się zwykły, przeciętny człowiek. Jest takie piękne powiedzenie o dzieciach, które wychowuje cała wioska. Myślę, że taką rolę pełnią charyzmatyczni samorządowcy: liderzy, przywódcy, stojący na straży nie tylko rozwoju miasta, ale budowania świadomości obywatelskiej jego mieszkańców i angażowania ich do współpracy. Paweł Adamowicz był pod tym względem wyjątkowym człowiekiem.

IV

Pamiętam historię, skąd się wzięło sformułowanie „my tutejsi". Jest taka scena w *Konopielce*, w której mieszkańcy zapytani o swoją narodowość twierdzą, że nie należą do żadnej specjalnej nacji. Są „tutejsi", z dziada-pradziada, z ziemi, rodziny czy majątku. Owa „tutejszość" historycznie była wynikiem nieustannie zmieniających się granic naszego państwa i wciąż mieszkających w tych samych miejscach licznych pokoleń rodzinnych. Wielu Polaków, szczególnie mniejszości narodowych, są właśnie „tutejsi" i tak rozumieją patriotyzm – kultywowanie swoich tradycji, obyczajów i rozwój kultury. To niezmiernie cenna wartość, która leży u podstaw patriotyzmu. Każdy z nas jest zawsze „skądś", jest gdzieś „tutejszym". Patriotyzm rozumiany jako polski jest kształtowany na tych właśnie fundamentach. Nakładamy na nie całe nasze wychowanie, wykształcenie, szacunek dla historii, weteranów, seniorów, flagi, godła i hymnu. Pawłowi Adamowiczowi bardzo zależało, by polskość rozumiana w tym nowoczesnym wydaniu była ciekawą i cenną wartością dla przeciętnego mieszkańca Europy. Po prostu powinniśmy nauczyć się opowiadać o Polsce innym ludziom, w różnych językach i na całym świecie. A wolność kochać i rozumieć, wolności oddać nie umieć.

V

Paweł Adamowicz zdaje się krzyczeć: nie istniejemy bez edukacji ani jako naród, ani jako odpowiedzialne społeczeństwo. Tymczasem XXI wiek to czas nieustannego, stałego zdobywania wiedzy i wdrażania jej w praktyce. To era przemysłów kreatywnych, wzrostu znaczenia gospodarki opartej na wiedzy, łączenia świata cyfrowego ze światem analogowym, robotyzacji, sztucznej inteligencji i coraz większych wymagań wobec człowieka. Paweł doskonale rozumiał rolę świadomego, kompetentnego mieszkańca. Bez tego bowiem trudno marzyć o społeczeństwie obywatelskim i ludziach podejmujących różnorakie inicjatywy społeczne, gospodarcze czy kulturalne. Ich brak to śmierć i stagnacja każdego samorządu. Ileż mamy miast i miasteczek w Polsce, które przypominają swoistą „bazę ludzi umarłych", w których dzieje się niewiele, bo nie palą się iskry przedsiębiorczości i kreatywności lokalnej społeczności. Może warto je wzniecać na nowo? Dla Pawła Adamowicza szkoła i edukacja była fundamentem naszej odpowiedzialności, humanizmu, dążenia do samodoskonalenia, rozwoju. Warto o tym pamiętać.

VI

Myślę, że Paweł Adamowicz doskonale czuł ducha Gdańska, jego puls i bicie serca. To miasto ma swoją magię, zaklętą we wnętrzach architektonicznych, zespoleniu historii i współczesności, wody i budynków, licznych symboli czy dźwigów portowych, które są wyznacznikiem miasta. Gdańsk to dziś zarówno Europejskie Centrum Solidarności, Muzeum II Wojny Światowej, Jarmark Dominikański, jak i mnóstwo rozsianych miejsc spotkań czy lokalnych wydarzeń. To miasto żyje swoim rytmem i jest jedyne w swoim rodzaju.

VII

Wydaje się, że każdy rozsądny samorządowiec doskonale widzi zmiany społeczne zachodzące w swoim mieście. Dla jednych to wyludniające się miejsca o coraz wyższych wskaźnikach wieku mieszkańców, drudzy widzą natomiast, w jaki sposób zmiany demograficzne wpływają na strategię rozwoju, inwestycje miejskie czy strukturę gospodarczą. Paweł Adamowicz widział i rozumiał problemy społeczne, a przede wszystkim próbował tworzyć systemy równowagi pomiędzy oczekiwaniami mieszkańców a realnymi możliwościami. Jakość życia była rozumiana przez niego nie tylko w wymiarze infrastruktury, ale również dostępności do kultury, sztuki, nowoczesnych mediów, wydarzeń. To właśnie Gdańsk był gospodarzem Blog Forum Gdańsk, które było wyjątkowym przedsięwzięciem, w doskonały sposób wpisując się w ideę wolności, solidarności i niezłomności miasta.

VIII

Debata deliberatywna jest bardzo dobrym sposobem prowadzenia dialogu społecznego. Chciałbym uzupełnić zdefiniowane przez Pawła Adamowicza jej kluczowe zasady o pewne wątki, które wydają mi się dziś istotne. Pierwsza kwestia to zgodność co do faktów. W obecnej debacie publicznej fakty, narracje, opinie i stereotypy są nieustannie mieszane w tyglu medialnych emocji. To powoduje, że próby wypracowania choćby zasad ustalenia fundamentów interesu publicznego będą tonąć w kanonadzie sprostowań, pokrzykiwań czy kultowym już „ja panu/pani nie przerywałem/am". Druga kwestia to jakość debaty, jej komunikatywność dla odbiorców. W Polsce cierpimy na nadmiar dyskusji teoretycznych, ogólnych, mało konkretnych, które są zupełnie niezrozumiałe dla Polaka-szaraka czytającego przeciętnie jedną książkę rocznie. To jest bardzo duże wyzwanie – uczynić komunikatywną debatę publiczną dla społeczeństwa z wysokim stopniem wtórnego analfabetyzmu. I ostatni argument – to zwykły, ludzki szacunek do innych. To była jedna z fantastycznych cech Pawła Adamowicza, który potrafił rozmawiać chyba z każdym.

Ewa Łętowska

Fundament dłuższego trwania

Społecznie funkcjonująca zbiorowość ma wybór: może działać inkluzywnie lub ekskluzywnie. W pierwszym wypadku szuka się wszystkich możliwych sojuszników, dających się skupić przy realizacji wspólnego projektu, zarysowanego tylko ogólnym kształtem warunków brzegowych. Poszukiwanie dotyczy maksymalizacji „wspólnego mianownika". Zbiorowość ekskluzywna – ma gotowy, szczegółowy program i wymaga jego akceptacji w całości lub odrzucenia. Prawnik doskonale widzi różnicę między umową wynegocjowaną i umową adhezyjną. Zbiorowość inkluzywna w „obcym" widzi potencjalnego sojusznika, którego trzeba przekonać, zachęcić i – w ostatecznym rachunku – pozyskać. Dlatego ceni dialog, nie stroni od dyskusji, wystrzegając się retoryki dzielącej i konceptów erystycznych, które ranią. Zbiorowości ekskluzywnej bliska jest natomiast następująca dewiza: „kto nie z nami, ten przeciw nam".

Polska Konstytucja z 1997 roku była pomyślana jako konstytucja społeczeństwa otwartego, inkluzywnego. Wystarczy wskazać nie tylko preambułę (ona tworzy sztandarowy przykład), ale i liczne odniesienia w konstytucyjnym tekście, które mówią o współpracy, solidarności i dialogu, niezależnie od tego, czy chodzi o podział władz, relacje z kościołami, czy kwestie gospodarcze albo samorządowe. Ten model wynikał z perspektywy przystąpienia do Unii Europejskiej, gdzie kolizje wynikające z różnorodności z założenia mają być rozwiązywane poprzez działania i mechanizmy konsensualne. A warunki brzegowe determinuje art. 2 TUE – mówiący o poszanowaniu godności, wolności, demokracji,

równości, państwa prawa, praw człowieka, w tym osób należących do mniejszości. Inna sprawa, że łatwiej o ten model na papierze niż w rzeczywistości. Inkluzja to bowiem model trudny, wymagający czasu, ponieważ debata jego przede wszystkim potrzebuje, a do tego cierpliwości, empatii i braku egoizmu. To akurat towar u nas deficytowy. Miał rację Paweł Adamowicz, gdy ubolewał: „Współczesne polskie społeczeństwo jest głęboko nieinkluzywne. Nie jesteśmy otwarci na różne przejawy odmienności. Często wykluczamy (…) W jakimś sensie to nasza homogeniczność etniczna pozwala tak łatwo rozniecić w nas lęk (…) Pamiętajmy, strach sączony przez polityków i część mediów zatruwa dusze Polaków. Strach wypiera nadzieję i działa błyskawicznie, blokując inne emocje". I niewątpliwie miał także rację, gdy jako remedium proponował pracę od podstaw, podkreślając przy tym wagę „kluczowej odpowiedzialności lokalnych liderów: miejskich, powiatowych, wojewódzkich. Liderów politycznych i społecznych, ale także religijnych, którzy odpowiedzialni są za wzmacnianie w ludziach tego, co dobre, wzmacnianie tego, co łączy nas z innymi, a nie rozbudzanie lęków i fobii". Wątek demokracji inkluzywnej, otwartej na różnorodności i wyrzekającej się siły na rzecz dyskursu był mocno obecny nie tylko deklaratywnie, ale i w praktyce samorządowej Pawła Adamowicza.

Dyskusja, debata, deliberacje w społeczeństwie otwartym mają kilka celów. Są formą okazania szacunku myślącym inaczej niż my. Działaniem w celu ich upodmiotowienia, okazaniem im uwagi wysłuchania. Są demokracją w działaniu i wyrzeczeniem się siły jako metody decydowania. A jednocześnie są pragmatycznym narzędziem wydobycia informacji o tym, jak dyskutująca zbiorowość pojmuje interes wspólny i gdzie w związku z tym leżą możliwe granice kompromisu przy jego formułowaniu i jakie mogą być szanse jego realizacji. „Teoretycy i praktycy sądzą, że coś takiego, jak interes publiczny, rzeczywiście istnieje, że trzeba zachować etos społecznego zobowiązania. Ważny cel polityki to uzgodnienie owego interesu. Określenie, na czym on polega, nie może w demokracji dokonywać się odgórnie – wymaga demokratycznej debaty, którą określa się mianem deliberatywnej. Jakie są warunki tej debaty? Po pierwsze, jej uczestnicy muszą uznać, że są sobie równi, i odnosić się do

siebie z szacunkiem. Po drugie, muszą przedstawiać swoje stanowisko w sposób zrozumiały dla innych, tak aby ci ostatni mogli w nim dostrzec wspólny sens. Szacunek dla uczestników debaty oznacza również uważne słuchanie, co mają do powiedzenia inni. Po trzecie, uczestnicy powinni dążyć do uzgodnienia stanowisk i usuwania występujących między nimi rozbieżności w drodze analizy różnic i tego, co jest im wspólne. Analiza argumentów za i przeciw, ważenie ich, powoduje, że wyjściowe stanowiska uczestników debaty ulegają przekształceniu i uwzględniają punkt widzenia innych" *(Gdańsk jako wyzwanie,* s. 67–68).

Pamiętam – z osobistego doświadczenia – gdańskie debaty, dla których inspiracją były alegorie mieszczańskich (obywatelskich) dążeń i cnót ze Złotej Bramy czy dyskusje w ramach Areny Idei. Nazwa tego ostatniego forum nawiązuje do walki – bo wszak arena. Ale jednocześnie drugi człon nazwy, mówiącej o ideach, akcentuje myśl o imperium nie siły, lecz racji. Siła działa zdecydowanie, lecz na krótką metę. Racja – daje nadzieję na dłuższe trwanie.

W 1734 roku Gdańsk, po drugiej elekcji króla Stanisława Leszczyńskiego, opowiedział się po stronie wybranego – zgodnie z prawem „króla Lasa". Za Sasem, adwersarzem Leszczyńskiego, stała wówczas potęga Rosji. Za Stanisławem Leszczyńskim – jedynie prawo, którego wtedy zresztą nikt nie miał siły bronić. Gdańsk, po wyczerpującej obronie, został więc zdobyty i ukarany dotkliwą kontrybucją. Poparcie Leszczyńskiego ostatecznie drogo kosztowało. Gdańsk mógł się oczywiście wtedy zachować bardziej – powiedzmy – pragmatycznie. Czasem może to zapewnić wygodę albo uchronić od kłopotów. Tyle, że wtedy ów partykularyzm zyskuje przymiotnik „egoistyczny", stając w opozycji do „dobra wspólnego". Postawy legalistyczne w konfrontacji z polityką i siłą nie zawsze się opłacają. Legalizm jest postawą „długiego trwania". Ale to przecież dzięki niemu wiemy, na co możemy liczyć za lat kilka. A państwo to przecież nie jest interes na rok, cztery albo pięć lat, ale na o wiele dłużej. A przynajmniej tak by się chciało…

Rafał Matyja

Samorząd jako fundament

Niewielu liderów samorządowych potrafi łączyć dobre rządzenie w wymiarze lokalnym z obecnością w ogólnopolskiej debacie o sprawach publicznych. Niewielu potrafi wyjść poza myślenie w kategoriach miejskiego czy powiatowego układu sił i interesów. Paweł Adamowicz sprawował urząd prezydenta Gdańska, rozumiejąc znaczenie tego ośrodka na mapie politycznej i ideowej Polski. W kilku zasadniczych sprawach – stosunku do uchodźców, do mniejszości seksualnych, obrony pozycji Trybunału Konstytucyjnego – zajął stanowisko bardziej klarowne i znaczące niż większość liderów opozycji parlamentarnej. Ta postawa jest przesłanką do tego, by w sprzyjającej okazji dokonać istotnej zmiany ustroju Polski, tworząc warunki równowagi między czynnikiem centralnym a lokalnym, rządowym a samorządowym.

Kiedy w 1990 roku powoływano w Polsce do życia samorząd terytorialny, wielu wydawał się on najmniej pewnym ogniwem państwa. Nie ufano, że podoła prowadzeniu zadań oświatowych, centraliści uważali, że warto konstruować go bardziej na miarę dzisiejszych obowiązków sołtysa czy zarządu osiedla. Ale stało się inaczej. Już pierwsza kadencja pokazała, że kierunkiem zmian będzie raczej decentralizacja niż odbieranie zadań. To także wywołało sprzeciw – blokowano powstawanie powiatów, przekazywanie miastom pełni zadań o charakterze lokalnym. Ale przewaga zwolenników decentralizacji nad centralistami rosła. Samorząd brał na siebie zadanie zarządzania środkami europejskimi, amortyzował skutki

niefortunnych decyzji rządowych, poszukiwał rozwiązań dla nowych problemów społecznych.

Lepsze rządy próbowały zrobić użytek z wiedzy i kompetencji elit samorządowych, korzystając z instytucji partnerskich, takich jak Komisja Wspólna Rządu i Samorządu Terytorialnego, włączając samorządy do procedur konsultacyjnych, do współtworzenia strategii rozwojowych. Gorsze – szły z samorządami na wojnę, próbując ograniczać ich prawa, przerzucając na nie nowe obowiązki bez zapewnienia adekwatnych środków. Z czasem spora grupa ludzi z doświadczeniem samorządowym znalazła się w parlamencie.

Po 2015 roku stało się jasne, że silny samorząd jest podstawą równowagi ustrojowej i wzmocnieniem politycznego pluralizmu, niekoniecznie o wyraźnej partyjnej barwie. Jednak niewielu samorządowych liderów potrafiło myśleć o swojej roli szerzej niż tylko w wymiarze własnej gminy, powiatu lub województwa. Widzieć ścisły związek spraw państwowych z lokalnymi.

Trzy kluczowe elementy tej postawy – którą, zwłaszcza w ostatnich latach, demonstrował Adamowicz – to wypowiadanie się w sprawach fundamentalnych dla ustroju państwa, obrona niezależności instytucji samorządowych oraz tworzenie klimatu tolerancji i otwartości. We wszystkich trzech sprawach interes instytucji samorządowych był oczywisty:

- po pierwsze, są one zainteresowane istnieniem niezależnego od władzy sądownictwa, a także mocnej i suwerennej pozycji Trybunału Konstytucyjnego,
- po drugie, warunkiem samorządności jest nie tylko demokratyczna ordynacja wyborcza do organów jednostek samorządu terytorialnego, ale także sprawne narzędzia realizowania powierzonych tym jednostkom zadań, w tym niezależność majątkowa i finansowa,
- po trzecie, klimat otwartości i inkluzywne polityki publiczne stwarzają dla samorządu pole do promocji zasad ustrojowych Rzeczypospolitej jako państwa otwartego, przyjaznego, szanującego godność obywateli i osób, które wybrały Polskę jako miejsce pracy i zamieszkania.

We wszystkich trzech wymiarach głos liderów samorządu nie jest „prywatnym zdaniem" polityków, czy też przenoszeniem na poziom lokalny

sporów krajowych. Przeciwnie, wynika z dobrego zrozumienia logiki ustrojowej Trzeciej Rzeczpospolitej, która nie sprowadza samorządu do roli „pomocnika rządu" w sprawach lokalnych. Samorząd jest fundamentem ustrojowym, dzięki któremu nie da się sprowadzić polskiej demokracji do rządów tej czy innej partii, dzięki któremu narzędzia decydowania o naszym losie nie znajdują się w wyłącznej dyspozycji polityków patrzących na Polskę przez pryzmat Warszawy.

Ta rola samorządu powinna też znaleźć potwierdzenie w rozwiązaniach ustrojowych, np. w postaci Senatu pochodzącego z wyborów pośrednich, z udziałem reprezentacji radnych wszystkich szczebli. Reprezentacja ta mogłaby być kształtowana tak, jak niegdyś Krajowy Sejmik Samorządu Terytorialnego, jednak z poszanowaniem zasady proporcjonalnej reprezentacji mieszkańców. Wadą rozwiązania, które funkcjonowało przed 1998 rokiem w postaci Wojewódzkich Sejmików Samorządu Terytorialnego była bowiem równa reprezentacja gmin, bez względu na liczbę ich mieszkańców, a potem analogicznie – równa reprezentacja województw w KSST.

Byłoby to znakomite rozwiązanie, także w kontekście skrócenia do dwóch kadencji prawa do sprawowania urzędu burmistrza, wójta czy prezydenta miasta. Doświadczenie najwybitniejszych liderów samorządowych mogłoby bowiem zostać wykorzystane na poziomie ogólnopolskim, w procesie tworzenia prawa i kluczowych polityk na styku administracji rządowej i samorządowej. Demokracja potrzebuje nieustannego odświeżania swojej treści, korekt i wracania do istoty jej mechanizmów. Bez wyrazistej korekty równoważącej rosnącą przewagę centrum – może utracić swoją żywotność.

Roman Nowosielski

Mieliśmy idealnego kandydata

Paweł Adamowicz oddane na siebie głosy traktował, z jednej strony, jako wyraz poparcia i zaufania, a z drugiej strony – stanowiły one zobowiązanie do działania na rzecz dobra wyborców, dobra Gdańska, Pomorza i Polski. Rozumiał sprawowanie funkcji samorządowej jako służbę publiczną, nie widział siebie w roli osoby piastującej urząd. Paweł Adamowicz stawiał sobie wyzwania, nie spoczywał na laurach, uważał, że zawsze jest coś do zrobienia. Wymagał obywatelskiego zaangażowania, nie wolno było stać z boku, gdy ważyły się losy kraju – każdy winien podjąć działania dla dobra ojczyzny.

„Wolność nie jest Wam dana, jest Wam zadana" – idąc tropem znanych słów Jana Pawła II, Paweł Adamowicz wymagał od siebie, wciąż był krytyczny wobec własnych działań, uważał, że zrobił za mało i może zrobić więcej. Wymagając tak wiele od siebie, miał moralne prawo, aby wymagać od innych. Nigdy nie uważał, że wykonał już wszystkie zadania, że spełnił wszystkie obowiązki.

Paweł Adamowicz przede wszystkim był samorządowcem, jednak organiczna praca dla Polski wymagała, aby angażował się w sprawy w szerszym zakresie. Wiedział, że Gdańsk jest elementem Pomorza, które z kolei stanowi część Polski, Polska zaś jest częścią Europy i Świata. Nie przyjmował do wiadomości, że można ograniczać się do działań wyłącznie lokalnych, gdy sprawy pilne wymagały szerszej aktywności.

Był wierzącym i praktykującym katolikiem, wcielającym w życie zasady, iż wiara winna być dokumentowana czynami a nie tylko słowami.

Był osobą, która łaknęła kontaktu z ludźmi – czy poprzez spotkania organizowane w dzielnicach, przyjmowanie interesantów w Urzędzie Miasta, czy też bezpośrednie spotkania na ulicy z mieszkańcami Gdańska. Był człowiekiem permanentnie kontaktującym się z innymi i przez co powszechnie lubianym.

Miał rację dostrzegając płytkość rozumienia demokracji jako wyłącznie gry interesów, gdzie każdy walczy o swoje. Paweł Adamowicz rozumiał, że istnieją cele wyższe, a mianowicie interes publiczny choćby w obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa tym, którzy w warunkach demokracji nie są w stanie poradzić sobie samodzielnie. Był zwolennikiem wypracowania konsensu, drogą debaty uzgadniania interesów poszczególnych grup społecznych i ludzi. Sformułował warunki, w jakich ta debata może się toczyć, a mianowicie równość, wzajemny szacunek, zrozumiałe przedstawienie swoich poglądów, a także dążenie do uzgodnienia interesów, a nie narzucanie odgórnej woli przez jedną ze stron, która chwilowo uzurpuje sobie mądrość zmiany świata.

Prezydent Paweł Adamowicz dostrzegał problem ubóstwa i wykluczenia społecznego w Gdańsku. Jako rozwiązanie widział powszechność i zwiększenie dostępu do usług publicznych, podniesienie ich jakości, dostosowanie do konkretnych potrzeb ludzi. Warunkiem jednak wszystkiego jest uznanie podmiotowości drugiego człowieka i solidarności międzyludzkiej, do czego Gdańsk – jako miasto-kolebka solidarności – był szczególnie zobowiązany.

Nie sposób nie zgodzić się z Prezydentem Pawłem Adamowiczem, że wolność jest najważniejszą wartością dla Gdańszczan: wolność pojmowana pod każdym względem, także jako wolność kultury, ponieważ kultura otwiera myślenie na zupełnie inne problemy, uwrażliwia, powoduje, że człowiek nie jest zwykłym zjadaczem chleba. Ważne jest, aby kultura stanowiła, element powszechnie obecny w funkcjonowaniu miasta, również dlatego, aby móc konfrontować miasto Gdańsk z całym światem.

Problem edukacji pokazał swoją wagę szczególnie w obecnym czasie. Miasto Gdańsk poszukiwało najróżniejszych sposobów, aby uczynić edukację dzieci i młodzieży ciekawą, rozwijającą, przygotowującą do

życia w dorosłości. Chodziło nie tylko o przygotowanie merytoryczne – kompetencyjne, ale także wychowanie młodzieży, które ukształtuje nowego obywatela, otwartego na świat, umiejącego w tym świecie się znaleźć, ceniącego swoje korzenie i przywiązanego do Polski. Paweł Adamowicz jako dziecko repatriantów ze wschodu doskonale czuł, jak ważny jest patriotyzm, przywiązanie do ojczyzny, jednocześnie zdawał sobie sprawę ze wszelkich błędów popełnionych w wiekach ubiegłych, które spowodowały wypaczenie rozumienia patriotyzmu w Polsce, np. zamknięcie go w formule Polak-katolik.

Nasza tragiczna historia uczy nas też, że o wolność trzeba walczyć mądrze, poprzez uczestnictwo w sojuszach międzynarodowych, które gwarantują bezpieczeństwo powszechne, chociażby w Unii Europejskiej. Nie ma potrzeby przeciwstawiania patriotyzmu członkostwu w Unii Europejskiej, która przecież jest dobrowolnym zrzeszeniem się państw, przestrzegającym m.in. zasady wolności.

Paweł Adamowicz zdał swój obywatelski egzamin celująco, sam będąc bezpardonowo atakowanym przez przedstawicieli rządzącej partii, z właściwą stanowczością oraz umiarem stanął jednoznacznie w obronie Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej. To inni politycy powinni sobie zadać to pytanie, dlaczego ich nie było w szkołach, dlaczego nie prowadzili zajęć z młodzieżą, tłumacząc zasady państwa prawnego. To było nie tylko ich prawo, ale podstawowy obowiązek.

Rzeczywiście Polska jest na rozdrożu – musimy wybrać między ojczyzną jako wspólnym domem a krajem, gdzie istnieją dwa zwalczające się plemiona. Droga prowadzi tylko przez dialog, rozmawiać należy z osobami, którym bliskie są poglądy prezentowane przez PiS, natomiast nie należy liczyć na porozumienie z funkcjonariuszami partyjnymi. Każdy w swoim miejscu zamieszkana, sklepie, teatrze, szkole, autobusie nie powinien unikać rozmów na temat przyszłości kraju, a pokazując otwartość i siłę argumentów, poszukiwać osób, które tym zainspirowane będą chciały rozmawiać. Nie wolno okazywać wyższości, nienawiści i niechęci tym, którzy mają odmienne poglądy. Trzeba ich zmusić do myślenia, zakładając, że chcą dobrze. Nikt nie ma patentu na mądrość, a wszyscy jesteśmy obywatelami tego kraju.

Otwartość, zrozumienie, empatia i solidarność, a także zaangażowanie w sprawy publiczne to odpowiedz na trapiące nas problemy. Mogę tylko żałować, że nie zostanie zrealizowany pewien pomysł – że Paweł Adamowicz będzie kandydatem na Prezydenta RP. Rozmawiając z Nim wielokrotnie i obserwując jak się rozwija jako polityk, mogę powiedzieć, że mieliśmy idealnego kandydata: odważnego, rozważnego i rozumiejącego miejsce Polski i Polaków w kraju i na świecie.

Cezary Obracht-Prondzyński

O Gdańsku, tożsamości i obywatelskich obowiązkach

Artur Oppman w wierszu *Pozdrowienie Gdańska* pisał:

Tak płynie Wisła, jak płynęła,
I szumi Bałtyk, jako wprzód,
O, stary Gdańsku! ludzkie dzieła
Królewski ducha przetrwa cud!

Gdańsk jest stary – wszak 1000-letni. Ale przecież jest też młody, bo właściwie został po wojnie stworzony na nowo – tak materialnie, jak i społecznie. Sprawia to, że gdańska tożsamość jest efektem ciągłości i zakorzenienia, ale też zerwania i mobilności. Jest również skutkiem przeżytych w XX wieku kilku głębokich zmian politycznych, ekonomicznych, społecznych i demograficznych, które naznaczyły losy naszego miasta – 1919, 1939, 1945, 1970, 1980–81, 1989–90. Miasto i jego mieszkańcy wiele doświadczyli – niejedną chwilę radosną przeżyli i niejedna trauma ich dotknęła. Historia wciąż dopisuje nowe rozdziały.

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Gdańsk jest trudny do zrozumienia. Pełno tu pęknięć, napięć, ambiwalencji, sporów, dialogów, może nawet walki. Dla badaczy to prawdziwe szczęście i wyzwanie. Z punktu widzenia władzy publicznej – kłopot. Jest tu zderzenie pragnienia wolności i inżynierii społecznej: narzucanych

narracji, dyscyplinowania i „weryfikowania", co się nadaje, a co nie, co jest dozwolone, a co skazać należy na zapomnienie czy przemilczenie.

W dyskusjach o Gdańsku, wokół jego historii i tożsamości, od dawna są wyraźne dwie „osie".

Pierwsza to Polska i polskość Gdańska: Gdańsk piastowski, miasto zawsze wierne, związane z Koroną, służące jej. Ale też miasto buntownicze, niewdzięczne, wykorzystujące, wręcz żerujące na Polsce. Gdańsk długo pamiętający o dobrych polskich czasach i królach. Ale też deprecjonujący polskość. Gdańsk niezbędny Polsce i dla Polski odzyskany. Gdańsk, w którym nigdy polskość nie zanikła, ale też miasto nie zawsze ją ceniące. Paradoksalnie, także w czasach najnowszych, o czym przekonują powojenne losy gdańskiej Polonii i to, czego doświadczyła od swoich prawdziwie polskich sąsiadów.

Druga „oś" to Gdańsk niemiecki: krzyżacki i hanzeatycki, mówiący po niemiecku i myślący po niemiecku, dumny z niemieckości i żądający „powrotu do Rzeszy". Ale też niechętny Prusom i nieufający Prusakom. A na koniec przeklinający niemiecką klęskę.

Jak jest dziś? Jakże często „kłopot z Gdańskiem" znowu mają ci, dla których w mieście śladów niemieckiej przeszłości za dużo. A nawet jak mało, to i tak za często je widać. A nawet jak nie widać, to i tak można krzyczeć, że się „hołubi", „czci", „piastuje" i „pielęgnuje" to niewłaściwe dziedzictwo niemieckie, albo i wprost hitlerowskie.

Jaki to ma sens, poza propagandową nagonką użyteczną w piętnowaniu miasta niepokornego?

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Tymczasem Gdańsk był zawsze specyficzny i różny zarazem. Był i jest nadal metropolitalny, nadbałtycki, europejski. A przy tym regionalny (pomorski) i lokalny – nadwiślański, nadmotławski, różnorodnie dzielnicowy (jakże silna jest choćby tożsamość starej Oliwy).

Jest polski, no bo jaki miałby dziś być? Ale jest TEŻ: kaszubski, niemiecki, ukraiński, żydowski itd. W tym „jest też…" mogą się „zmieścić" dawne i współczesne różnorodne opowieści, mity, fakty, narracje,

biografie, etnosy, języki, religie itd. Ujawnia się w tym bogactwo miejsca, choć nie jest ono – co trzeba mocno podkreślić – bezproblematyczne. Bo w takich miejscach, jak Gdańsk życie w „wielo-świecie" zawsze niosło nowe wyzwania. Dziś, gdy miasto staje się coraz bardziej różnorodne, zadania i oczekiwania związane z wolnością i otwartością stają ponownie w samym sercu debaty publicznej.

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Współcześnie Gdańszczanie ciągle stwarzają siebie na nowo, rozpięci między trudną, niejednoznaczną, niekiedy zapomnianą, a niekiedy przypominaną przeszłością (czy jest nasza i co to znaczy?), teraźniejszością z jej wszystkimi napięciami, a aspiracyjną przyszłością – kim chcemy być: na Pomorzu, w Polsce, nad Bałtykiem, w Europie, w globalnym wyścigu o szczęście?

Ale tożsamość jest też zobowiązaniem: czy jesteśmy coś winni przeszłości miasta i jego dawnym mieszkańcom? Co robimy z tym, co nam przekazano w spadku, nawet jeśli nie chcieliśmy go w takim kształcie i z takim obciążeniem? Co wreszcie przekażemy przyszłym pokoleniom? Nie tyle w sferze materialnej, ale jakie wzorce życia społecznego, zasady, wartości?

Być może w tej perspektywie kluczowym wyzwaniem i zobowiązaniem jest praktykowanie obywatelskości i rozsądne rozumienie polityczności – nie jako wyłącznie brutalnej (a choćby i aksamitnej) walki o władzę, lecz jako rozumnego dbania o siebie nawzajem. To najbardziej elementarny rodzaj relacji społecznych, w których polityka polega na tym, iż każdy musi się spodziewać, że oto dziś los i wybór padnie na niego: weź odpowiedzialność za innych, zmierz się z ciężarem obowiązku i poczuciem wagi powierzonych ci spraw. Taka jest właśnie natura i sens obywatelskości – należy być gotowym do wysiłku na rzecz innych i odpowiedzialności za nich. Nie wolno dać sobie tego prawa odebrać. Ani od niego uciekać. A wielu by chciało móc zrezygnować. Ks. Józef Tischner wielokrotnie przytaczał głos Wielkiego Inkwizytora z powieści Dostojewskiego, mówiącego: „Najbardziej to męczący i nieustanny

frasunek człowieka: mając wolność, szukać czym prędzej tego, przed kim można się pokłonić". Obserwując sytuację nie tylko w Polsce po 1989 roku, ks. Tischner dodawał, że wolność może łatwo przeradzać się w *nieszczęsny dar…*

Taka rezygnacja czy ucieczka od wolności nie oznacza tylko zgody na zniszczenie ładu instytucjonalnego, wypaczenie prawa, nadużycie władzy i jej przywilejów. Jest zaproszeniem do demoralizacji każdej ze stron społecznych relacji. Także dlatego, że w takiej sytuacji żadna rozmowa, dialog czy nawet spór nie jest możliwy. I nie jest potrzebny. A bez nich nie tylko demokracja umiera. Rozpada się też świat społeczny. Tymczasem demoralizacji nie odwraca się jednym pstryknięciem, najgorętszym choćby pragnieniem i zrywem. Wymaga to pracy, wysiłku, determinacji. Tym większej, im z większą ochotą rezygnowaliśmy z wolności.

Zawsze jednak znajdzie się ktoś – niekiedy bohaterskie jednostki, a innym razem masy stoczniowców – kto powie: nie, nie zgadzam się. Z wolności zrezygnować ani chcę, ani umiem. Wtedy świat obraca się ku nowemu. I drży w posadach.

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Czy dziś jest czas rezygnacji z wolności, z bycia obywatelem, ze swojej polityczności? Czy raczej moment oporu, sprzeciwu, domagania się uznania i podmiotowości? Kto odczyta właściwie moment dziejowy?

Trudno się porywać na takie zadanie. Ale też nic nie zwalnia z konieczności podjęcia takiej próby. Patrząc na otaczającą rzeczywistość, można zaryzykować stworzenie swego rodzaju rejestru kluczowych potrzeb demokratycznych. Pierwszą jest potrzeba dobrej filozofii politycznej, zbudowanej wokół kluczowych wartości: zaangażowania, otwartości i rozszerzonej solidarności (nawet wobec ludzi daleko od nas w hierarchii społecznej, czy też przestrzennie, bo – co za odkrycie!? – Ziemia jest tylko jedna). Z tym związana jest kwestia odpowiedniego języka – nowych kategorii bądź powrotu do starych, ale po to, aby zbudować narrację, która odpowiednio „opowie" te wartości. Z tego zaś wynika, że potrzebujemy przywództwa, które rozumie te idee i wartości, identyfikuje się z nimi

i jest w tej identyfikacji wiarygodne, a przede wszystkim jest zdolne do komunikowania, czyli wie, jak tworzyć stosowną opowieść. Musi też być wytrwałe w realizacji celów wynikających z tych idei. Aby to było jednak możliwe, potrzebne są odpowiednie instytucje, oparte na zaangażowaniu obywateli, a nie służące ich kontroli i zastraszaniu.

W tworzeniu warunków do rozwijania i realizacji tych demokratycznych potrzeb ważna rola przypada samorządowi. Paweł Adamowicz to rozumiał. Niestety, za szybko ze świata został wygnany…

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Zostawił jednak po sobie wiele – nie tylko rzeczy widzialnych w przestrzeni publicznej. Lecz także idei. Przestróg. Wezwań. Niechże więc na koniec pojawi się złożony z jego słów *Gdański Dekalog Obywatelski* Pawła Adamowicza:

1. *O podmiotowości mieszkańców w demokracji lokalnej możemy mówić wówczas, gdy wykazują oni minimum zainteresowania sprawami miasta i działalnością władz w mieście. (…) Demokracja potrzebuje gorących, przekonanych, autentycznych wyznawców i praktyków. (…) Do naprawy demokracji potrzebni są zaangażowani obywatele, którzy nie są „jednodniowymi suwerenami", ale sprawują kontrolę nad rządzącymi w sposób ciągły i systematyczny.*
2. *Potrzebne nam duże zaangażowanie miast polskich w walkę z wykluczeniem społecznym, dyskryminacją i nierównościami, potrzebna jest dbałość o każdego mieszkańca i każdą mieszkankę. (…) Żaden mieszkaniec Gdańska nie może być pozostawiony samemu sobie.*
3. *Nikt nie rodzi się demokratą, musimy tworzyć społeczeństwo obywatelskie. Demokracja to praktyka: od dziecka do śmierci.*
4. *Przyszłość wygrają te polskie miasta, które w najbliższych latach rozpoczną na poważnie budowę społeczeństwa inkluzywnego, włączającego, a nie wykluczającego.*
5. *Dziś, w XXI wieku, gdy rządy narodowe często nie potrafią sprostać piętrzącym się problemom, miasto staje się ratunkiem dla ludzkości.*

6. *Można i trzeba chronić podstawy narodowej tożsamości, dbając o bezpieczeństwo Polaków, ale nie sprzeniewierzając się jednocześnie podstawowym zasadom moralnym, pielęgnując empatię, wrażliwość i solidarność, za którymi musi pójść postawa gotowości do pomocy i nawet poświęcenia części swego dobrobytu dla potrzebujących.*
7. *Demonstrowanie obojętności, a nawet wrogości pod przykrywką troski o bezpieczeństwo narodu to zła droga – wiodąca na pustynię wzajemnej nieufności i podziałów między ludźmi.*
8. *Trzeba przeciwstawiać się mowie nienawiści.*
9. *Nie mogę być obojętny.*
10. *Historia się nie powtarza, ale wraca często jako coś znacznie gorszego.*

A Wisła płynie jak płynęła, Bałtyk zaś szumi jako wprzód…

Maria Poprzęcka

Prezydent Paweł Adamowicz o edukacji

Wybór fragmentów z dwóch książek Pawła Adamowicza, jaki sporządzono w związku z przygotowywaną publikacją poświęconą pamięci zamordowanego Prezydenta Gdańska, można nazwać KATECHIZMEM OBYWATELSKIM. Przypomniane przezeń wołanie Norwida, by „obywatel rósł w Polaku" winno służyć temu Katechizmowi za motto.

W prostych, pięknych zdaniach Prezydent mówi, po pierwsze, o budowie zaufania społecznego oraz potrzebie otwartości, empatii i sąsiedzkiej solidarności. Z mocą przypomina, że samorząd terytorialny, odzyskany po 1990 roku, jest fundamentem polskiej demokracji. Ale pyta także o to, jak demokracji uczyć. Wspominając dawną pracę Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy,* w kontekście miasta o takiej przeszłości jak Gdańsk, wskazuje na otwierające się całkiem nowe pojęcie wspólnoty i patriotyzmu. Zwraca przy tym uwagę na ciążenie w polskiej pamięci i tożsamości „patriotyzmu wojennego", podczas gdy czas pokoju, którym tak długo się cieszymy, wymaga patriotyzmu „dnia codziennego". Ten zaś nie może być zadekretowany odgórnie, lecz powinien wzrastać „od dołu" – od małych wspólnot lokalnych aż po wspólnotę ogólnonarodową, obywatelską i konstytucyjną. Gdańsk to „miasto wolności" – jego Prezydent mówi więc o wolności jako wartości najwyższej. Podkreśla przy tym znaczenie wolności kultury i sztuki – jako czynników budujących poczucie wspólnoty. Przedstawiając gdański Model na rzecz Równego Traktowania, Paweł Adamowicz wskazuje zarazem na najważniejsze trudne problemy społeczne miasta, raz jeszcze

wzywając do międzyludzkiej i międzypokoleniowej solidarności. Widząc kryzys instytucji demokracji przedstawicielskiej w Europie, przestrzega przed czynnikiem dystrybucji dochodów, który mógłby się stać rodzajem złotego cielca demokracji. Dlatego podkreśla konieczność zachowania etosu społecznego zobowiązania, potrzebę toczonej z szacunkiem wobec oponentów demokratycznej debaty, która prowadziłaby do zrozumienia i zbliżenia stanowisk we wspólnych sprawach.

Jako nauczyciel akademicki z wieloletnim stażem, chcę zwrócić szczególną uwagę na fragment wypowiedzi Pawła Adamowicza odnoszący się do edukacji, w tym do szkolnictwa wyższego. „Przyszłość edukacji powinna być stałym elementem debaty publicznej" – stwierdza Prezydent. To oczywiste, dalej jednak pojawiają się zdania niebyt częste w enuncjacjach polityków: „Potrzebujemy Polaków, którzy potrafią tworzyć rozwiązania i współpracować dla realizacji wspólnych celów, dla których naturalną drogą będzie ciągły rozwój. Większość naszych dzieci, a już na pewno wnuków, będzie musiała wielokrotnie zmienić zawód. Jeśli nasze dzieci nie wyniosą z polskiej szkoły kompetencji adaptacyjnych i umiejętności efektywnego uczenia się, zdolności do współpracy w różnorodnym środowisku, to zasilą szeregi nieproduktywnej części społeczeństwa, która będzie utrzymywana przez grupę aktywną zawodowo, zmniejszającą się z powodu starzenia się społeczeństwa".

To wypowiedź i dalekowzroczna, i odważna. Dalekowzroczna, bo wybiegająca nie tylko poza polityczną kadencyjność, lecz także poza horyzont jednego pokolenia. Odważna, bo burząca wygodne i głęboko utrwalone społeczne oczekiwania związane z wykształceniem. W myśleniu Pawła Adamowicza o edukacji nie ma nic z doraźności, choć oczywiście jest mowa o błędach tzw. reformy szkolnej wdrażanej od 2016 roku. Jest to myślenie o kształcie edukacji na miarę XXI wieku. Łączy ono wszystkie naczelne wartości: wolność, demokrację, obywatelskość, partnerstwo, dialog. „Wyzwaniem dla polskiej edukacji jest wyzwolenie swobody twórczej, otwartość na różnorodność, zgoda na ryzyko i poszukiwania" – pisze Prezydent. Zdanie o możliwej konieczności zmieniania zawodu nie ma na celu budzenia obaw o przyszłość. Przeciwnie, jego intencją jest przygotowanie na nadchodzące zmiany. Rewolucja

informatyczna, która dokonała się na wszystkich szczeblach edukacji całkowicie zmieniła dostęp do wiedzy, zmieniając także pozycję nauczających wobec nauczanych. Dlatego współczesna edukacja nie może być jednokierunkowym przekazem wiedzy, czy nawet wartości. Musi być procesem wzajemnej wymiany, bo obie strony mają sobie coś do przekazania. Uczniowie i studenci winni stawać się równoprawnymi uczestnikami partnerskiego procesu kształcenia.

Ponadto, szybkość zmian cywilizacyjnych i technologicznych już teraz sprawia, że lata studiów – a zatem czas największej młodzieńczej chłonności i ciekawości – mogą być zmarnowane, bo mozolnie zdobyte specjalistyczne wykształcenie okaże się nieaktualne i bezużyteczne. Sztuczna inteligencja (AI) zlikwiduje lub ograniczy przydatność wielu zawodów. Chodzi zatem o wyrobienie zdolności do przyswajania sobie różnej wiedzy, która nie jest zamknięta w granicach wąskich specjalizacji, a przede wszystkim zdolności do krytycznego i samokrytycznego myślenia, umiejętności współdziałania i pracy w zespole. To daje szanse dostosowania się do nowej, często nie dającej się dziś przewidzieć pracy. Przesłanie, jakie zostawia nam Paweł Adamowicz to tworzenie edukacji rozumianej jako możliwość ciągłego poszukiwania czegoś nowego, rozbudzania ciekawości, wrażliwości, wyobraźni. Edukacji wyposażającej wchodzących w życie młodych ludzi w odwagę myślenia, duchową niezależność, ale i wyrosły ze współdziałania obywatelski etos. Edukacji dokonującej się w procesie dialogu, rozmowy, pytania o sprawy, na które wcale nie musi być gotowej odpowiedzi. Edukacji zachęcającej do spoglądania poza horyzont ustalonej wiedzy. Do szukania „nauki bez imienia", której jeszcze nie ma, albo która dopiero rodzi się wśród ryzyka i niepewności. Tylko taka edukacja pozwoli stawić czoła nieznanym wyzwaniom, przed jakimi staną nasze dzieci i wnuki.

Paula Rettinger-Wietoszko

Potrzeba wrażliwości

Kino wypełniło się do ostatniego miejsca uczniami z Trójmiasta i okolic. Po dokumencie „Winni" o tragicznych skutkach hejtu w szkole nikt nie śmiał się odezwać. Niektórzy płakali. Po chwili padły pytania. Na sali las rąk. Temperatura dyskusji rosła. Nastoletni uczestnicy, choć w emocjach, rozmawiali rzeczowo, kulturalnie, mądrze. Po każdym z kolejnych 6 filmów dokumentalnych o pracy, miłości, niepełnosprawności, umieraniu, wyścigu szczurów, starości czy losach uchodźców mieli mnóstwo do powiedzenia i opowiedzenia. Nie bali się wyrazić własnego zdania. Nie bali się przyznać na forum, że czasem podobne problemy ich dotyczą. Wymieniali doświadczenia. Na sali były dzieci z niepełnosprawnością, z różnych krajów i środowisk. Poglądy miały rozmaite, ale nikt nikogo nie obrażał i nikt nie obrażał się na innych. Festiwal wrażliwości.

Prawdziwe historie mają moc. Otwierają oczy. Poruszają wrażliwość. A ona, by zmieniła się w działanie, wymaga odwagi. Odwagi, by zobaczyć kogoś, kto stoi obok, mieszka blisko, nie wychodzi z domu, głośno krzyczy lub chowa się w swoim płaszczu. Śmiałości, żeby zrobić krok w jego kierunku. Działania na miarę i skalę, jaka jest możliwa, bez względu na to, jaki mamy zasięg.

Wrażliwość na poziomie społecznym, korporacyjnym czy zwyczajnie ludzkim ma też, moim zdaniem, wartość patriotyczną. Dziś, kiedy nie musimy walczyć z bronią w ręku, patriotyzmem jest popularyzacja twórczości, unikalności kulturowej, wolności słów i poglądów. Także empatia,

niesienie pomocy, dbałość o jednostki wybitne i o jednostki słabe to miary człowieczeństwa, utożsamienia się i otwartości na innych.

Uważne życie, bez lęków i stereotypów, tworzenie wspólnoty wokół ludzkich wartości to tworzenie ojczyzn, z których składa się grupa przyjaciół, dzielnica, miasto. To moja Polska. Znajdowanie w naszej sztuce, kulturze czy dziennikarstwie wartości, najcenniejszych osiągnięć i pokazywanie ich światu, to duma z tego, kim jesteśmy. Budowa poczucia więzi i przynależności. Patrząc na Gdańsk, doświadczając go z perspektywy mieszkańca polskich gór, widzę społeczność, która w większości jest wierna tym wartościom i staje się drogowskazem. Czuję wdzięczność za to, że mieszkając 600 kilometrów stąd, tutaj właśnie mogę realizować swoje pasje – Festiwal Wrażliwy, HospiCare czy Fundację Zostaw Swój Ślad. Tu dostaję wsparcie. Tu dla wspólnych celów i bliskości odległość nie gra roli.

Mam wrażenie, że blokuje nas często kompleks, wstyd, niepewność, brak poczucia wartości indywidualnej i zbiorowej. Godność przywraca odwagę życia bez uprzedzeń i zahamowań, stawania w obronie. To daje poczucie zdrowej dumy ze swoich lub czyichś osiągnięć. W końcu poczucie wolności i więzi, a to chyba jedne z najsilniejszych rozwojowych potrzeb człowieka.

Dlatego w Polsce powstają tysiące organizacji pożytku publicznego. Znacząca większość jest tworzona przez ludzi mających trudne doświadczenia, na które nie znaleźli rozwiązań systemowych. Tworzą je sami na mniejszą skalę, budując społeczność wspierającą i dzielącą ich doświadczenia. Szukają pomocy i dają pomoc.

Grupa uczy się od siebie zachowań, postaw, aktywności lub bierności. Ale tylko działanie daje efekt, efekt satysfakcję, satysfakcja siłę, siła niezależność, niezależność odwagę. A odwaga zmianę.

Dlatego rozmawiajmy. Wypełniajmy sale szkolne i kinowe, podwórka i balkony dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, którym nie jest obojętne. Tymi, którzy podejmą aktywność, zaangażują się, uwierzą. Wyjdą poza schemat, perspektywę własnego krzesła. Spojrzą uważniej, pochylą się, włożą wysiłek, umiejętności i uczucia w zmianę choćby małego kawałka rzeczywistości.

Wszystko po to, aby żadne dziecko, jak bohater filmu „Winni", nie popełniło samobójstwa przez hejt, odrzucenie lub obojętność. By nikt nie musiał czuć się winny. Wymagania są oczywiste: prawda w działaniu, odpowiedzialność, zaangażowanie, uczciwość, etyka, tolerancja, równość. To nie są puste slogany. Choć wszystkie dziś, na pierwszy rzut oka, trącą myszką, a nawet, w naszych wyobrażeniach, przechodzą do lamusa. Nie możemy pozwolić, by się sprały i zakurzyły. Bo w rzeczywistości są fundamentem dobrego życia i zdrowego mentalnie społeczeństwa. Takiej, zgodnej z nimi, Polski, takiego Gdańska, dzielnicy, osiedla czy rodziny nam życzę.

Adam Daniel Rotfeld

Jakiej Polski chcemy?

Paweł Adamowicz pisał, że każdy wójt, burmistrz i prezydent powinien zadać sobie następujące pytanie: „Co zrobiłeś dla obrony i upowszechnienia Konstytucji RP? Co zrobiłeś, by uwrażliwiać lokalną społeczność na sprawy demokracji?" I odpowiadał, że wie, jakiej Polski pragnie i jakiego Gdańska pragnie. Miała to być przestrzeń etyczna, przestrzeń empatii, wrażliwości, otwartości i sąsiedzkiej solidarności. W swoich pragnieniach odwoływał się do słów księdza profesora Józefa Tischnera, by nasz kraj pozostał wspólnym przyjaznym domem, a nie zamienił się we wspólną polityczną kryjówkę.

Paweł Adamowicz nie był urzędnikiem – miał naturę i przymioty działacza. Jako Prezydent Gdańska, samorządowiec nie ograniczał się do słów, ale potrafił organizować wokół siebie ludzi i tak definiować zadania, aby ich realizacja sprzyjała tworzeniu więzi, które łączą wspólnotę, kształtują społeczeństwo oparte na wspólnych uniwersalnych wartościach: „na demokracji, praworządności, wolności wypowiedzi, wolności wyznania, równości kobiet i mężczyzn oraz sprawiedliwości".

Miał świadomość, że demokracja zakłada potrzebę, a nawet konieczność codziennego zaangażowania obywatelskiego. Wspólnota w jego rozumieniu oznaczała poszukiwanie tego, co ludzi łączy, a nie dzieli. Demokratyczne społeczeństwo z założenia musi być inkluzywne – otwarte na świat i na innych, budowane na dobrych emocjach, empatii, wrażliwości i solidarności, a nie ekskluzywne, które jest budowane na podziałach, dychotomii i przeciwstawieniu – „My vs Oni". W aktywności

publicznej Pawła Adamowicza nie były to tylko puste słowa i deklaracje składane na potrzeby chwili, ale konkretne działania. To nie przypadek, że w czasie jego prezydentury powstały w Gdańsku ważne instytucje promieniujące na cały kraj, na Europę i na resztę świata. Mam na myśli Europejskie Centrum Solidarności i Muzeum II Wojny Światowej. Swoją działalnością Adamowicz dawał przykład, jak można i należy umacniać tożsamość narodową i patriotyzm obecnego i nadchodzących pokoleń bez tromtadracji i zafałszowań historii.

W centrum uwagi Pawła Adamowicza był Gdańsk – jego teraźniejszość i przyszłość, bez zapominania o przeszłości. Swoją rolę prezydenta Gdańska postrzegał jako szansę i zobowiązanie do kształtowania miasta wolności i solidarności. W swoim rozumieniu lokalnego patriotyzmu odwoływał się do głównych myśli Jana Józefa Lipskiego zawartych w jego głównym eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*. Tekst ten – wielokrotnie publikowany w „drugim obiegu" w czasach PRL – był przyczyną haniebnej nagonki przeciwko Autorowi zorganizowanej przez oficjalną prasę, radio, TV i całą zmasowaną propagandę aparatu władzy. Przywódcy komunistyczni dostrzegli niebezpieczeństwo i zagrożenie w tym, że Lipski pisał o patriotyzmie opartym na chrześcijańskiej miłości bliźniego. Adamowicz odwrotnie, z uznaniem przeciwstawiał taki patriotyzm szowinizmowi, megalomanii narodowej, egoizmowi narodowemu i ksenofobii. Lektura przemyśleń Lipskiego była dla Adamowicza inspiracją w podejmowaniu konkretnych inicjatyw w poszukiwaniu źródeł specyficznej gdańskiej tożsamości – wyrosłej na skomplikowanym splocie polskim i niemieckim. Był Gdańsk perłą w Koronie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale też – jak przypominał Adamowicz – był Wolnym Miastem w latach 1920–1939, które „stało się w minionych dekadach literackim kosmosem Güntera Grassa oraz Pawła Huelle i Stefana Chwina". Ale odegrał też kluczową rolę w grudniu 1970 roku i dziesięć lat później – w sierpniowych dniach 1980 roku, kiedy doszło do zrywu solidarnościowego, bez którego nie byłoby Polski wolnej, demokratycznej i niepodległej.

Paweł Adamowicz miał intuicję przywódcy i lepiej niż wielu innych działaczy czy polityków samorządowych rozumiał, że respektowanie

prawa i dobre rządzenie wewnątrz państwa jest we współczesnym świecie fundamentem pokoju międzynarodowego. Mówił o tym w czasie spotkania z Polsko-Rosyjską Grupą do Spraw Trudnych, która obradowała w czerwcu 2013 roku w Gdańsku. Chcemy Polski przyjaznej wobec wszystkich naszych sąsiadów. Z demokratyczną Rosją znajdziemy wspólny język. Jednak wobec Rosjan i wszystkich mieszkańców Rosji Gdańsk jest otwarty nawet w czasach, gdy „wielka polityka" stoi temu na przeszkodzie.

Kuba Sienkiewicz

Różnorodność a kreatywność i pomyślność

Przekaz Pawła Adamowicza inspiruje i rodzi we mnie pytania. Czy promowanie odmienności w społeczeństwie zamkniętym (nieinkluzywnym) to utopia, drążenie skały kroplą, czy po prostu normalna praca? Różnorodność, odmienność są powszechne. Nie ma jednej Polski. Nawet gdyby cały kraj zamknąć szczelnie, różnorodność nie zniknie. Dwóch Polaków – trzy opinie. Spotkanie drugiego człowieka jest najlepszą drogą do pozbycia się strachu przed odmiennością. A kiedy już zaczynamy żyć i czuć się bezpiecznie w otoczeniu urozmaiconym, pojawia się kreatywność i pomyślność. Bez otwartości na człowieka z innego obszaru nie dogadamy się między sobą we własnym kraju. Bez tolerancji Polska upadnie, bo sami nie wytrzymamy ze sobą.

Charakterystyczne dla Pawła Adamowicza jest długoterminowe myślenie o Polsce i społeczeństwie, myślenie sięgające daleko w przyszłość. W jego słowach czuję wiarę w ludzi, że uda się zbudować społeczeństwo otwarte – jeśli nie od razu, to później, ponieważ jest to proces nieunikniony. Ludzie mogą mieć różne kłopoty, ich sprawy mogą się gmatwać, ale ostatecznie powoli podążają w dobrą stronę. Udziela mi się ten optymizm. Takie uczucie obniża napięcie i pozwala mi odnaleźć się tu i teraz. Bez ustawiania się w walce. Raczej przez słuchanie drugiego człowieka i dawanie własnego przykładu. Takie pogodne podejście do społeczeństwa Paweł Adamowicz połączył z pasją, która wypełnia jego spójną wizję społeczności regionalnych. Jedną z podstaw tej wizji jest dostrzeganie potrzeb

i odczuć ludzi o odmiennych niż my poglądach. Bez tego najpiękniejsza wizja rozsypie się.

Jestem związany z Trójmiastem. Dzieciństwo do 12. roku życia spędziłem w Gdańsku Oliwie. Doświadczyłem w pewnym stopniu zjawiska pogranicza. W kręgu moich bliskich byli Polacy, Niemcy, Żydzi, katolicy, protestanci, ateiści. Każdy mnie czegoś nauczył, wszyscy byli częścią mojego świata. Moja rodzina rozsypana była w różnych miejscach całej okolicy: Przymorze, Sopot, Przegalina (koło Sobieszewa przy ujściu Wisły), Gdynia. W moim domu wynajmowali kwatery stoczniowcy, od których dowiadywałem się o sytuacji na mieście w grudniu 1970 roku. Część mojej rodziny po wojnie została w województwie kieleckim. Kiedy odwiedzaliśmy ich w Pińczowie, zawsze pokazywano mi drukarnię Arian jako przykład z czasów tolerancyjnej Rzeczpospolitej. Dzisiaj najważniejsze miejsca mojego dzieciństwa – Oliwa i Pińczów – wydają mi się jeszcze piękniejsze.

Paweł Adamowicz realizował i pilnował w swoim mieście wolności artystycznej. Gdańsk jest znanym na świecie symbolem kultury wysokiej. Mimo to, kiedy jako przedstawiciel kultury pop występuję w Gdańsku, wiem, że mogę sobie pozwolić na dowolne eksperymenty. Sprawia to właśnie klimat wolności artystycznej Gdańska. Czuję tu wrażliwość na słowo, na przekaz, na wszystkie przejawy sztuki. Wychodzę do publiczności jak „u siebie", ponieważ mam przed sobą ludzi pogodnych, przychylnie słuchających, wolnych, nie zastraszonych. Otwartość na sztukę i na drugiego człowieka są blisko siebie. Człowiek wolny, bez lęku wewnętrznego, nie ma w sobie strachu przed odmiennością zarówno w drugim człowieku, jak i w kulturze.

Urodziłem się 16 lat po wojnie. Żyłem w ciekawych, ale wyjątkowo bezpiecznych czasach. Doceniam to. Wspominam słowa Pawła Adamowicza, który bardzo podkreślał ten aspekt. Pamiętam z dzieciństwa sceny powrotu do domu przyjaciół uwięzionych po marcu 68', eskadry wojsk lecące nad kieleckim do Czechosłowacji, czołgi jadące przez Oliwę do Gdańska przeciw demonstrantom 1970, rok 1976 na Mazowszu. W 1980 i 1981 roku mogłem już jako student świadomie i aktywnie opowiedzieć się po stronie obozu demokratycznego. Pamiętam wysiłek i dążenie wielu

środowisk do wolności i do Europy. Dzisiaj śmieszą mnie antykomuniści spóźnieni 30 lat, śmieszą mnie rzesze ludzi podatne na teorie spiskowe, śmieszy mnie jedynie słuszny patriotyzm i odmawianie go innym. Nie obwiniam się jednak za to, że za mało zrobiliśmy dla promocji demokracji i samorządności. Taki mamy obecnie krajobraz świata i ludzkich umysłów. Walka nie jest dobrą drogą. Warto tworzyć świat po swojemu, dawać przykład, stwarzać alternatywę, nie kierować uwagi na głupotę, odwrócić się w drugą stronę. Kiedy ludzie nienawistni zobaczą wokół siebie pustkę, wtedy uleci powietrze z nadętego balona nietolerancji.

Dorota Sobieniecka-Kańska

Gdańsk – miasto otwarte na ludzi

Jest rok 1996. Gdańsk szykuje się do obchodów 20-lecia partnerstwa z Bremą. A jest to partnerstwo szczególne. „Dziura w żelaznej kurtynie"- pisały media o podpisanym w 1976 roku pierwszym w komunistycznej Polsce porozumieniu o współpracy z miastem z Zachodu. Brema okazała się lojalnym i sprawdzonym partnerem nie tylko w czasie stanu wojennego, gdy słała kontenery z pomocą humanitarną, ale w wielu innych okolicznościach i obszarach.

Dlatego ówczesny Przewodniczący Rady Miasta Gdańska Paweł Adamowicz uznał, że jubileusz tego partnerstwa zasługuje na godne obchody i jest okazją do podkreślenia jego wagi. Poproszono mnie, wówczas dziennikarkę „Głosu Wybrzeża", o napisanie broszury *20 lat partnerstwa miast Gdańska i Bremy* z polskiego punktu widzenia.

Pawła Adamowicza poznałam dużo wcześniej, jeszcze gdy pełnił funkcję prorektora ds. studenckich Uniwersytetu Gdańskiego. Był bratem zdolnego dziennikarza Piotra Adamowicza, korespondenta AFP i innych zagranicznych agencji prasowych. Paweł znał nasze środowisko, był naszym kolegą. Pamiętam go z tamtego czasu jako poważnego młodego człowieka o konserwatywnych poglądach i takim sposobie bycia.

Szeroko komentowano fakt, że obchody jubileuszu partnerstwa miast inicjował zaledwie 30-letni Przewodniczący Rady Miasta Gdańska. Jego partnerem-odpowiednikiem był Reinhard Metz – dwukrotnie starszy, doświadczony polityk CDU, deputowany Bundestagu, Präsident der Bürgerschaft der Freien Hansestadt Bremen und Staatsrat in Bremen.

Inną ważną postacią tamtych wydarzeń był wieloletni burmistrz Bremy Henning Scherf – niemiecki prawnik i samorządowiec, senator, członek SPD. A po stronie polskiej – o połowę młodszy prezydent Gdańska Tomasz Posadzki.

Uderzająca była wzajemna relacja między Metzem i Adamowiczem: szczególne porozumienie i szacunek, pomimo tak dużej różnicy wieku, doświadczenia. Reinhard Metz w wielu wypowiedziach podkreślał respekt i sympatię, którymi obdarzał Pawła Adamowicza. Cenił go niezmiernie za podejmowanie trudnych tematów, za pozytywne myślenie, za europejskość. Przyznawał, że na początku miał pewien dystans. Gdańska samorządowa „młodzież" , wyrosła z opozycji demokratycznej, niedawno jeszcze roznosiła w plecakach bibułę w konspiracji – a teraz władza. Długie rozmowy i liczne spotkania, a przede wszystkim wspólne inicjatywy i skuteczne działania przekonały Reinharda Metza. Wieszczył Pawłowi Adamowiczowi dużą przyszłość, karierę polityczną. Widział w nim niezmiernie zdolnego działacza samorządowego, którego otwartość na zmiany, gotowość do podejmowania nowych wyzwań, a jednocześnie odwaga i rozwaga predestynowały do wybitnych osiągnięć.

Kiedyś szliśmy z przewodniczącym Adamowiczem ulicami Bremy. Zatrzymał się na chwilę i zwrócił uwagę na cicho sunące po szynach tramwaje… Zaraz podjął rozmowy, jak to się robi… To był 1996 rok. Reinhard Metz – przyjaciel Pawła Adamowicza i Gdańska – nie żyje od dziesięciu lat. Mam nieodparte wrażenie, że ich przyjaźń, która powstała na bazie intensywnej, samorządowej współpracy, wzajemnego szacunku miała i ma wciąż wielkie znaczenie.

„Wciąż warto przypominać wkład w życie naszych miast, w polską kulturę, naukę i gospodarkę wielu pokoleń obcych – Żydów, Niemców, Czechów, Austriaków, Tatarów, Ormian, Rosjan, Flamandów, którzy stali się Polakami" – pisał Paweł Adamowicz.

Przytoczyłam wspomnienie jubileuszu 20-lecia partnerstwa z Bremą, żeby podkreślić, że Paweł Adamowicz jest postacią o spójnych europejskich i konsekwentnie rozwijanych poglądach. Cytaty z jego publikacji i wypowiedzi z 2018 roku bardzo wyraźnie potwierdzają, że wynika to z poglądów i doświadczeń sprzed 20 lat. Z czasem zmieniał się. Był coraz

bardziej stanowczy i zdecydowany. Zachował jednak umiejętność życzliwego słuchania innych, nie tylko swoich mentorów, ale zwykłych ludzi. Szukał sojuszników w działaniach. Zarażał energią, pomysłami, entuzjazmem. Potrafił zachęcić , ale umiał doceniać i podzielić się sukcesem. Zjednywał ludzi z różnych stron świata i polityki. Miał znakomite relacje z wieloma, bardzo różnymi środowiskami – począwszy od kombatantów, przedsiębiorców, cyklistów itd. Umiał i chciał rozmawiać, był życzliwy. Budował pracowicie fundament społeczeństwa obywatelskiego. Wspierał organizacje pozarządowe. Widział w nich siłę, w ich różnorodności znajdował atut.

Wielką wagę przywiązywał do relacji ze Wschodem. Było to w pewnym sensie naturalne. Rodzice Pawła Adamowicza pochodzili z Wilna, kultura kresowa była mu bliska. Około 2010 roku odświeżył relacje Gdańska z „miastami bliźniaczymi" z Rosji, Litwy, Białorusi i Ukrainy. Ożywiły się kontakty gospodarcze, kulturalne, sportowe. Prezydent Adamowicz powołał stanowisko pełnomocnika ds. kooperacji z miastami zza wschodniej granicy. Anna Kieturakis, która pełni te obowiązki twierdzi, że prezydent miał wizję samorządowej polityki zagranicznej miast. Był przekonany o istotnej roli współpracy lokalnej, bez względu na wielkie polityki państwowe. Nasza samorządność już okrzepła i warto było się dzielić doświadczeniami z innymi, tak jak kiedyś Brema dzieliła się z Gdańskiem. Na jednym z niezależnych portali założył rosyjskojęzyczny blog, w którym dzielił się swoimi doświadczeniami samorządowymi. Współwydawał anglojęzyczny dwumiesięcznik „New Eastern Europe" adresowany do zagranicznych czytelników.

Idea wielokulturowości Gdańska była mu niezmiernie bliska. Bardzo odważnie, za co płacił polityczną cenę, stał na straży nawet niewygodnej prawdy historycznej. Uważał, że przeszłości nie wolno zacierać ani zakłamywać. A żołnierzom radzieckim z II frontu białoruskiego, którzy zginęli walcząc z Niemcami o Gdańsk, należy się pamięć historyczna i znicz zapalony na mogile. Nie wszystkim się to podobało.

Paweł Adamowicz umiał otworzyć się na inność, rozmaitość poglądów, interesów i zapatrywań. Starał się być prezydentem wszystkich Gdańszczanek i Gdańszczan, ludzi o różnych kolorach.

Paweł Adamowicz był Gdańszczaninem, który marzył o mieście idealnym. Mieście otwartym na wszystkie strony świata – swoistym tyglu, w którym mieszają się poglądy, języki, kolory. Mieście, które ma wyraźną tożsamość czerpaną ze swoich wielu, naturalnych obcych, ale przyjaznych sobie źródeł. Mieście pogranicza. Bo jak sam mawiał, to na pograniczach, gdzie ścierają się trendy, czasy i przestrzenie dzieją się najciekawsze rzeczy.

Ewa Sowińska

Patriotyzm po gdańsku

Miasto to ludzie – z ich talentami, doświadczeniami, kompetencjami, zaangażowaniem, potrzebą działania i dzielenia się z innymi, ale także z ich potrzebami, lękami, również niemocą i biernością. To barwna mozaika różnorodności, która odpowiednio wspierana może stać się fantastycznym zaczynem twórczego fermentu i rozwoju. Aby tak się stało, potrzebujemy jednak OTWARTOŚCI, WRAŻLIWOŚCI i SOLIDARNOŚCI.

Prezydent Paweł Adamowicz pisał: „Otwartość oraz gotowość do zmian i podejmowania nowych wyzwań to wartości, bez których rozwój społeczny miasta nie byłby możliwy. Potrzebna jest odwaga liderów, niekiedy idących pod prąd pasywnej mentalności, pielęgnującej lęki i społeczne stereotypy…". „Gdańsk jest miastem nie tylko otwartym na zmiany, lecz także gotowym do wdrażania innowacyjnej, zdeinstytucjonalizowanej polityki społecznej" pisał. „Potrzebna jest odwaga liderów" – to piękne i ważne wezwanie, na które powinniśmy odpowiedzieć. I nie chodzi tu tylko o polityków, ale przede wszystkim o tych, którzy chcą i mogą stać się liderami w swoich środowiskach: biznesu, nauki, kultury, edukacji, ruchów miejskich, organizacji społecznych, dzielnic. Powinniśmy wziąć odpowiedzialność za rozwój naszych małych społeczności, lokalnych czy środowiskowych inicjatyw. Powinniśmy wyjść do ludzi i otworzyć się na nich. Kiedy trzeba, podać im pomocną dłoń. Kiedy trzeba, połączyć ich z innymi, z którymi ich małe dzieła będą miały szansę rosnąć.

W Gdańsku nie brakuje inicjatyw o zróżnicowanej skali, które łącząc się w różnych konfiguracjach, z pojedynczych wysp, bazując na wzajemnym

zaufaniu, przekształcają się w archipelagi. Spójrzmy na jedną z takich niezwykłych aktywności, która jest wynikiem otwartości, kreatywności i wychodzenia poza instytucjonalne schematy, a mianowicie Innovation Hub For Humanities. To platforma zrzeszająca ludzi z różnych sektorów, środowisk i o różnych doświadczeniach życiowych, ludzi wrażliwych i zaangażowanych w zmiany na rzecz społeczeństwa. To podczas inauguracji INFH, 1 lutego 2019 roku, zaprezentowaliśmy zgromadzonym Fundację „Zostaw Swój Ślad". To fundacja, która w Gdańsku organizuje Festiwal Wrażliwy, niezwykłe wydarzenie skupiające twórców – reportażystów i dokumentalistów – dla których prawda, etyka dziennikarska, warsztat i wrażliwość są najważniejszymi wartościami. Jak podkreśla organizatorka, pochodząca z Krakowa Paula Rettinger-Wietoszko, festiwal odbył się właśnie w Gdańsku, bo nasze miasto – miasto, na które tak duży wpływ miał Paweł Adamowicz – ma wielkie bogactwo ludzi wrażliwych, chętnych do współpracy, którzy nie oglądają się tylko za osobistym zyskiem, potrafią patrzeć i działać szerzej.

Dzięki temu, co wydarzyło się w Gdańsku, a nawet szerzej, bo również w Gdyni, wokół Fundacji i Festiwalu Wrażliwego, nikogo nie dziwi już fakt, że dyskusje o wrażliwości stały się częstym elementem wydarzeń koncentrujących się na tematach biznesowych. To efekt otwarcia i włączenia Pauli Rettinger-Wietoszko w przestrzeń biznesową – do niedawna, jak mogłoby się wydawać, niedostępną dla artystów i społeczników. Tak właśnie z pojedynczych wysp tworzą się archipelagi.

Prezydent Paweł Adamowicz pisał: „Wspieranie kreatywności nie należy do mocnych stron systemów oświatowych. Wyzwaniem dla polskiej edukacji jest wyzwolenie swobody twórczej, otwartość na różnorodność, zgoda na ryzyko i poszukiwania. Celem powinno być przekierowanie całego systemu edukacji na pielęgnowanie naturalnej kreatywności uczniów, co przyniosłoby społeczeństwu i gospodarce wiele korzyści".

Takie podejście widzę właśnie w liceum LifeSkills. Cieszę się, że mogę wnieść do niego gdańskiego ducha. Czerpię też całymi garściami z tego doświadczenia, by przenieść je w twórczy sposób na gdański grunt.

Zmiany w edukacji są niezbędne. Znane są szacunki, według których 60% dzieci, które obecnie rozpoczynają naukę, będzie pracowało

w zawodach, które jeszcze nie istnieją. W ciągu 10–15 lat zniknie około 40% zawodów. Stanie się tak za sprawą postępującej cyfrowej transformacji i automatyzacji. Pojawią się nowe zawody – dzisiaj nie potrafimy ich nawet nazwać.

Urodziłam się w Chojnicach i tam są moje korzenie. Gdańsk jest moim domem, moim miejscem na ziemi od blisko 40 lat. Kocham to miasto i czuję się tutaj u siebie. Fascynuje mnie złożona i trudna historia Gdańska. Podziwiam gdańszczan za ducha wolności, otwartości, solidarności. Jak do żadnego innego miasta pasują do Gdańska słowa piosenki: „Wolność kocham i rozumiem. Wolności oddać nie umiem". Gdy wyjeżdżam do innych polskich oraz europejskich miast i poznaję nowe osoby, przedstawiając się, zawsze mówię, że jestem z Gdańska. To element mojego osobistego lokalnego patriotyzmu, dumy z mojego miasta.

Ta duma przejawia się również w promowaniu osób, które w twórczy sposób lansują Gdańsk swoimi codziennymi działaniami, pokazując przy tym swoją miłość i oddanie miastu. Tak jest w przypadku malarki Magdy Benedy i fotografa Macieja Kosycarza. Ona tworzy niezwykłe gdańskie (ale też trójmiejskie) obrazy, przenosząc je na piękne przedmioty codziennego użytku. Dzięki nim uroda miasta i gdański duch „jadą" daleko w Polskę i świat nie tylko z turystami, ale i z uczestnikami biznesowych wydarzeń, w których organizację jestem zaangażowana. On jest fotografem, w drugim pokoleniu oddanym całym sercem Gdańskowi. Nie tylko dokumentuje życie miasta, ale również angażuje się społecznie w kwestie związane z jego rozwojem. Magda i Maciej – w charakterystyczny dla Gdańska sposób – połączyli siły, tworząc Galerię Sztuk Różnych.

To kolejny przykład tego, jak rozumieć i wyrażać patriotyzm – w tym duchu, jaki był bliski Pawłowi Adamowiczowi.

Krystyna Starczewska

O przyszłości polskiej edukacji

„Przyszłość edukacji w Polsce powinna być stałym tematem debaty publicznej. Rodzice, nauczyciele, burmistrzowie i samorządy terytorialne, organizacje społeczne i pracodawcy, prodemokratyczne i proeuropejskie ugrupowania polityczne powinny rozpocząć systematyczną dyskusję nad przyszłym kształtem polskiej edukacji" – te słowa Pawła Adamowicza wskazują na znaczenie, jakie dla przyszłości Polski ma w jego przekonaniu system kształcenia i wychowania młodego pokolenia.

Aby przystąpić do publicznej debaty nad przyszłością edukacji w Polsce, powinniśmy, zdaniem byłego Prezydenta Gdańska, zadać sobie dwa zasadnicze pytania: „Po pierwsze – jakiej właściwie chcemy Polski w XXI wieku, w pełnym konfliktów i zagrożeń świecie? Kim chcemy być i kim będziemy jako społeczeństwo za dziesięć, piętnaście lat? Jaką prawdę o świecie zostawimy swoim dzieciom i wnukom? Po drugie – czy w przesyconym nienawiścią głosie debaty publicznej potrafimy poważnie rozmawiać o przyszłości Polski?". Jego osobista odpowiedź na te pytania jest jednoznaczna: „Ja wiem, jakiej chcę Polski i jakiego Gdańska – przestrzeni etycznej, przestrzeni empatii, wrażliwości, otwartości i sąsiedzkiej solidarności".

System edukacji powinien właśnie te wartości przekazywać młodemu pokoleniu. Tak więc debata o przyszłości edukacji w Polsce to w istocie debata o tym, jak powinna funkcjonować szkoła, aby młodzi Polacy uczyli się żyć w demokratycznym społeczeństwie, przestrzegając zasad praworządności, aby wyrażali własne poglądy, szanując prawo do wyrażania poglądów przez innych i umieli prowadzić z nimi rzeczową, pozbawioną

agresji dyskusję, aby szanowali człowieka bez względu na jego pochodzenie, wyznanie i płeć, aby rozumieli, czym jest sprawiedliwość społeczna i umieli jej przestrzegać, a w razie naruszenia bronić. Szkoła powinna przygotować młodych ludzi do funkcjonowania w zmieniającym się świecie XXI wieku i do ponoszenia obywatelskiej współodpowiedzialności za społeczność, w której będzie upływać ich życie. Aby ten cel osiągnąć, trzeba zdecydowanie odejść od systemu edukacji, w którym głównym motywem skłaniającym uczniów do pracy jest przymus – obawa przed karą i rywalizacja o stopnie. Szkoła powinna rozwijać zainteresowania uczniów, pomagać im w odkrywaniu indywidualnych uzdolnień, uczyć samodzielnego i krytycznego myślenia, pracy zespołowej i ponoszenia odpowiedzialności za tworzoną z innymi wspólnotę.

Postulowany kierunek zmian systemu edukacji nie jest jednak sprawą prostą. Jak bowiem słusznie stwierdza Paweł Adamowicz: „Wspieranie kreatywności nie należy do mocnych stron systemów oświatowych." Aby więc polski system edukacji mógł zmienić się w tym kierunku, trzeba według jego słów: „ szukać sojuszników na rzecz kreatywnej szkoły wśród otwartych i zaangażowanych rodziców (…) Niestety w Polsce nie ma tradycji samoorganizacji rodziców". Dlatego działając na rzecz postulowanych zmian systemu edukacji, należy według niego: „inspirować powstanie organizacji zrzeszającej rodziców w danej gminie, powiecie czy mieście".

Kreatywna szkoła przyszłości nie powstanie także bez aktywnego zaangażowania w jej funkcjonowanie uczniów. Szkoła powinna być, według słów Pawła Adamowicza, miejscem „kształtowania pierwszych obywatelskich nawyków, postaw, zaangażowania uczennic i uczniów. Autentyczny, a nie fasadowy – stworzony i kierowany przez dyrekcje, samorząd szkoły może być szkolnym inkubatorem obywatelskości". Zaangażowanie uczniów w tworzenie i rozwijanie szkolnej wspólnoty przygotuje ich do zaangażowania w dorosłym życiu w działalność społeczną na rzecz lokalnego środowiska – gminy, regionu, organizacji społecznych i państwa, którego staną się aktywnymi i odpowiedzialnymi obywatelami.

Przeprowadzana przez obecne władze reforma szkolnictwa jest w opinii byłego Prezydenta Gdańska całkowitym przeciwieństwem

sformułowanych powyżej idei. Według jego słów: „Ta 'reforma' przejdzie do historii polskiej edukacji jako przykład najwyższej arogancji i niegospodarności". Likwidacja gimnazjów, która zniweczyła kilkanaście lat pracy na rzecz podniesienia poziomu kształcenia i wychowania młodego pokolenia, pochłania ogromne pieniądze samorządów, które mogły być przeznaczone na rzeczywiste edukacyjne potrzeby. Szkolnictwo w Polsce, po tzw. „dobrej zmianie", cofa w istocie system polskiej edukacji w przeszłość. Podstawy programowe dla ośmioletniej szkoły podstawowej są przeładowane wiadomościami z niepowiązanych ze sobą dziedzin wiedzy, ich realizacja nie pozostawia czasu na rozwijanie zainteresowań i samodzielnego myślenia uczniów. Głównym zadaniem szkoły nie jest bowiem obecnie rozwijanie kreatywności uczniów, empatii i otwartości na wielokulturowość, lecz przede wszystkim kształtowanie postaw patriotycznych młodego pokolenia.

Pojęcie patriotyzmu nie jest jednak, według Pawła Adamowicza, jednoznaczne. W wydaniu PiS jest to raczej nacjonalizm, który rodzi postawy ksenofobiczne.

Formułowane przez Pawła Adamowicza idee są aktualne i stanowią znakomite wprowadzenie do publicznej debaty o przyszłości polskiej edukacji. Tak podsumował on swoje nadzieje na przebieg i rezultaty tej debaty: „Chciałbym bardzo, aby w dialogu między rodzicami a samorządem terytorialnym, między nauczycielami a światłymi związkowcami, między prodemokratycznymi ugrupowaniami politycznymi a organizacjami społecznymi udało się wypracować kształt przyszłej polskiej edukacji na miarę XXI wieku, edukacji dbającej o przyszłość szczęśliwych polskich dzieci. Bo edukacja to klucz do dobrobytu, do szczęśliwego, obywatelskiego, otwartego, darzącego się szacunkiem społeczeństwa".

Powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby spełniły się nadzieje tragicznie zmarłego Prezydenta Gdańska na wypracowanie w publicznej debacie kształtu przyszłej polskiej edukacji na miarę XXI wieku.

Jan Szomburg

Do czego zobowiązuje nas śmierć Pawła Adamowicza?

Prezydent Paweł Adamowicz był przykładem człowieka i polityka rozwijającego się – potrafił zmienić swoje podejście, wyciągnąć wnioski z doświadczeń, słuchać rad, przekraczać siebie. Lubił to swoje dojrzewanie, zakotwiczone jednak w tym samym zestawie wartości, które pchnęły go do walki o wolność w latach 80. Niejednokrotnie dzielił się z nami swoją wizją Gdańska, Polski, naszej demokracji. Zapamiętamy go chociażby z takich słów:

> *Nikt z nas nie ma patentu na nieomylność i dlatego trzeba budować jak najwięcej kanałów komunikacji z mieszkańcami. (…) Musimy zmieniać swoją mentalność, zarówno ja jako prezydent, jak i obywatele, z roszczeniowo-malkontenckiej na obywatelską i zaangażowaną.*

> *Samorząd nie polega na powoływaniu raz na cztery lata władzy w postaci rady czy też wójta, burmistrza lub prezydenta. Musi być przestrzeń publiczna, w której obywatele mogą dyskutować ze swoimi przedstawicielami o sprawach ważnych dla miasta. Oczywiście w takiej dyskusji każda ze stron musi ograniczać swoje preferencje polityczne, oczekiwania czy wręcz roszczenia. Ma to być wspólne poszukiwanie dobra publicznego. (…) Dlatego musimy w naszym kraju i w naszym mieście zmienić postawy w elitach władzy oraz w obywatelach. Potrzebujemy więcej dialogu, więcej rozmowy, a mniej monologów, fasadowości i rytuałów.*

Obywatel nie może być wyłącznie konsumentem, który co cztery lata kupuje partię, program i prezydenta. Powinien przez cztery lata, a więc nieustannie, kontrolować, wywierać presję na tych, których wybrał. Natomiast premier, ministrowie, posłowie, radni, wójtowie, burmistrzowie i prezydenci powinni kontaktować się z obywatelami nie tylko przez konferencje prasowe czy występy w telewizji. Powinni się spotykać, rozmawiać i słuchać. Powinni poczuć prawdziwego obywatela, nawet jeżeli ten obywatel jest niezadowolony.

Model „twardej ręki" jest nie tylko sprzeczny z naszym narodowym charakterem, ale też w dłuższym wymiarze nieefektywny. (…) Zmiany cywilizacyjne wymuszają zmianę modelu demokracji.

Prezydent Adamowicz pozostawił po sobie wspaniały dorobek, o którym nie wolno nam zapomnieć. Do czego zobowiązuje nas jego śmierć?

- Do odpowiedzialności (troski) za język naszej komunikacji. Niech będzie szczery, niech wyraża nasze emocje, wartości, interesy, ale niech w jego tle będzie zawsze dobro wspólne i szacunek do drugiego człowieka. Na naszej drodze uczenia się demokracji musimy zbudować taką kulturę językową, która, z jednej strony, pozwoli jasno artykułować nasze interesy, odczucia i preferencje – czyli nie zamknie nam ust przez tzw. poprawność polityczną, a z drugiej – nie będzie prowadziła do języka nienawiści, odwetu, dominacji, dyskredytacji i do odczłowieczenia drugiej osoby.
- Do twórczego podejścia do demokracji – tak, aby była ona prawdziwie obywatelska i partycypacyjna, aby zaczynała się od spotkania i rozmowy oraz dążyła do kompromisu. Paweł Adamowicz wdrażał taki model demokracji w Gdańsku.
- Do otwartości i odpowiedzialności za Europę i świat, byśmy mogli z niego czerpać materialnie i duchowo, ale też go współtworzyli, nie tylko eksploatowali. By mógł on czerpać coś dobrego także od nas.
- Do odpowiedzialności za swój samorozwój, za swoje dojrzewanie, za nieustawanie w wysiłku bycia coraz lepszym.

Sposobem na to jest chrześcijański ideał widzenia w każdym Polaku człowieka, a jednocześnie patrzenie z empatią na całość, na wszystkich Polaków, a właściwie szerzej – wszystkich innych ludzi.

Adam Szostkiewicz

Otwarty Gdańsk, otwarta Rzeczpospolita

Paweł Adamowicz widział Gdańsk jako miasto otwarte na dobro. Tym dobrem była dla niego wielobarwna wspólnota obywatelska zdolna do współpracy i rozwoju. Cytaty z jego wypowiedzi układają się w spójną całość. To wizja miasta, które ma długą pamięć o swej, nieraz dramatycznej, przeszłości, ale nastawione jest na teraźniejszość i przyszłość. Ma świadomość swej złożonej tożsamości, ale nie odrzuca niczego, co w niej wartościowe i czerpie inspiracje ze swego wielokulturowego dziedzictwa. Otwarte jest też na to, co rodzi się w interakcji jego włodarzy z różnymi grupami obywateli, różnymi oddolnymi inicjatywami, wnoszącymi do miasta coś nowego, twórczego, mobilizującymi ludzi do dobrej aktywności.

To wizja na wskroś demokratyczna, nowoczesna, atrakcyjna. Wizja miasta, w którym chce się żyć, bo czuje się, że jest się tu u siebie, jest się mile widzianym bez względu na to, skąd się przychodzi, byle tylko było się gotowym włączyć się, w miarę swych sił i możliwości, w tak rozumianą i budowaną wspólnotę. „Gdańskość wzbogaca polskość", stwierdza Adamowicz. To można rozumieć tak, że nie tylko Gdańsk, ale także każde inne miasto, każda wieś mają swoją opowieść o sobie. Są samorządną cząstką wielkiego organizmu, który stanowi Polskę.

Samorządność, „republika gmin", wzmacnia demokrację. Dobrze funkcjonująca, zdecentralizowana demokracja nie zagraża państwu. Ale scentralizowane państwo może zagrażać demokracji. Dlatego Adamowicz ma rację, gdy wchodzi w spór z PiS-owską wizją państwa jako siły dominującej w życiu społecznym, gospodarczym, kulturalnym. Dominacja

państwa, jednej partii, jednego lidera, prędzej czy później przynosi skutki autorytarne, niszczące otwartą demokrację, praworządność, wolności i prawa obywateli. To wizja sprzeczna z wizją Adamowicza.

Dlatego prezydent krytykował na przykład likwidację gimnazjów. Widział w niej bezsensowne i szkodliwe zrywanie ciągłości systemu edukacji publicznej. Rozumiał, że wywracanie instytucji – zamiast ich dobrze przemyślanego i przeprowadzonego reformowania – jest nie tylko złą polityką edukacyjną, ale też marnotrawstwem środków publicznych, które można byłoby przeznaczyć na inne pożyteczne cele. Choć miał ideowe korzenie liberalno-konserwatywne, wziął udział w paradzie równości, atakowanej na prawicy jako produkt „lewactwa". Rozumiał, że stając przy ludziach walczących o równe prawa obywatelskie, nie zdradza wartości chrześcijańskich, tylko opowiada się za akceptacją różnorodności i tolerancją, a przeciwko dyskryminacji i wykluczaniu. Zarazem nie obnosił się ze swą religijnością, z której zapewne wyprowadzał swoje empatyczne zachowania. Miałem okazję zobaczyć, kątem oka, jak Paweł Adamowicz nie wahał się dyskretnie wesprzeć finansowo pewnej osoby w potrzebie, która go o pomoc poprosiła.

Ciekawie pisze o patriotyzmie. Z nim też się nie obnosił, tylko działał w jego duchu. Na przykład kiedy wspierał ze swej strony budowę Muzeum II Wojny Światowej i Europejskiego Centrum Solidarności. W ślad za Janem Józefem Lipskim, autorem głośnego eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, przestrzega przed przeciwstawianiem „patriotyzmu wojennego" patriotyzmowi czasu pokoju. Wyzwanie wojny stawia przed nami inne zadania niż te, jakie przynosi pokojowa normalność. Szanujemy bohaterów wojennych, ale nie możemy zapominać czy pomniejszać potworności wojny. Chcemy żyć w normalności i stawiać czoło normalnym wyzwaniom, jakie przynosi życie osobiste, społeczne, państwowe.

Kolekcja cytatów z wypowiedzi Prezydenta Pawła Adamowicza pokazuje, że był demokratycznym liderem na czas pokoju. Jego tragiczna śmierć nie przekreśla jego testamentu. Przeciwnie, wzmacnia go i uwypukla w obecnych czasach niepokoju o przyszłość demokracji i pokoju.

Aleksandra Szymańska

O mieście, o kulturze

Z Pawłem Adamowiczem pracowałam ostatnie dziesięć lat – jego poglądy i postawy odkrywałam powoli, a doceniłam za późno: jego odwagę polityczną, mówienie o sprawach fundamentalnych, a ciągle mało obecnych w życiu politycznym, czyli o wartościach, a także otwartość, która nie była tylko otwartością deklaratywną.

Odwaga przebija przez większość rozdziałów książki *Gdańsk jako wspólnota* – zawsze tam, gdzie jest mowa o świadomie podejmowanych decyzjach, które nie były popularne: czy to dotyczyło obrony wartości, czy decyzji o budowie ECS, zaproszenia do Gdańska migrantów, wprowadzenia Modelu na rzecz Równego Traktowania, ufundowania nagrody dla twórców przekładu i wielu innych… Dla mnie taką też była decyzja o kontynuowaniu działań rozpoczętych w trakcie starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury – starań zakończonych przecież przegraną. I nie mam na myśli festiwali czy innych fajerwerków, ale kontynuację i pole do działania dla instytucji aktywnie inicjującej dyskusję o mieście, o istocie kultury dla rozwoju współczesnego miasta i postaw mieszkańców, czyli Instytutu Kultury Miejskiej. IKM chyba najgłośniej dopominał się o docenienie roli kultury dla innych obszarów rozwoju miasta – dla polityk społecznych, edukacyjnych, potencjału turystycznego, gospodarki miasta. Myślę, że to był czas, w którym razem uczyliśmy się szerokiego rozumienia znaczenia kultury: od utożsamiania jej z obszarem sztuki, obszarem relacji i wartości, po widzenie kultury jako kodu i *genius loci* Gdańska, jego istoty podstawowej. Używając słów Pawła Adamowicza, powtórzonych

za Krzysztofem Czyżewskim – tkanki łącznej. Tyle, że Czyżewski mówił o Miłoszu, a Adamowicz o kulturze.

Nie czuję się w pełni uprawniona do tego, aby pisać o Pawle Adamowiczu – byli ludzie mu bliżsi, mający większy wpływ na jego decyzje i sposób, w jaki kształtował przestrzeń dla rozwoju kultury w Gdańsku. Jednocześnie, to przecież on zaprosił mnie do udziału w tym procesie, choć powierzenie ważnego zadania ludziom z zewnątrz, ludziom, którzy nie wychowali się w Gdańsku, było ryzykowne – zbudowanie wzajemnego zaufania nie było proste. W tym kim się otaczał, komu ufał i kogo słuchał tkwiła jego ogromna siła i otwartość. Słuchał wielu ludzi, często bardzo różnych, nie podejmował decyzji pochopnie. Słuchał przyjaciół, ekspertów, słuchał zwykłych ludzi. Ważną cechą jego stylu zarządzania była dla mnie jego relacja z Anną Czekanowicz – osobą bardzo ważną tak samo dla niego samego, jak i dla gdańskiej kultury, wieloletnią szefową Biura Prezydenta ds. Kultury. Byłam świadkiem zgodnych decyzji, ale i zażartych dyskusji. Czasem kończyły się one konsensusem, czasem pozostaniem przy własnych opiniach – zawsze decyzjami, za które finalnie brali wspólnie odpowiedzialność. Ta relacja była zbudowana na zaufaniu, szacunku i lojalności, także na poszanowaniu różnicy zdań, słuchaniu argumentów. Prezydent Adamowicz tak rozumiał demokrację – jako ścieranie się opinii oraz sztukę właściwego argumentowania i szukania rozwiązań.

Gdańsk jako wspólnota to książka w przeważającej mierze nie o dokonaniach, ale o wartościach. I w tym sensie o kulturze. Każdy rozdział odwołuje się do fundamentalnych wartości. W przypadku Gdańska i jego tkanki społecznej oraz rozwoju gospodarczego, metropolitalnego, strategii miasta – odwołuje się do etyki, empatii, wrażliwości, otwartości, poszanowania. W odniesieniu do misji Gdańska – do moralnego imperatywu obrony wartości wolności i solidarności. W edukacji – do wyzwolenia swobody twórczej, otwartości na różnorodność, zgody na ryzyko, pielęgnowania kreatywności.

Czytając słowa Pawła Adamowicza dotyczące kultury, mam poczucie spójności z tym, co utkwiło mi w pamięci ze wspólnych spotkań. Często okazją do nich były wydarzenia realizowane przez Instytut Kultury Miejskiej lub inne instytucje, wizyty wyjątkowych gości, artystów, kuratorów,

animatorów, poetów, socjologów. Pomimo ogromnej masy obowiązków, kiedy było to tylko możliwe, Prezydent znajdował czas na spotkanie, na dłuższe rozmowy, a nie tylko na kurtuazyjne przywitania. To były rozmowy, na które docierał czasem prosto ze spotkania z mieszkańcami, na którym były poruszane najróżniejsze tematy, na czele z przysłowiowymi już dziurami w chodnikach. Musiał być zmęczony, ale potrafił z pasją uczestniczyć w wieczornej dyskusji o tym, jak interpretować wolność w poezji autorów nominowanych do nagrody Europejski Poeta Wolności, której był inicjatorem. Lubił i cenił artystów; ufundowanie w Gdańsku wielu nagród artystycznych, w tym także wspierających początkujących twórców to nie przypadek. Pomimo codziennej wyczerpującej pracy, którą rozpoczynał wcześnie rano, bardzo często uczestniczył w wieczornych wydarzeniach artystycznych; nie opuszczał dyskretnie sali zaraz po oficjalnym otwarciu. Do dziś nie wiem, jakiej muzyki słuchał, jaki miał stosunek do różnych gatunków sztuk, do popkultury, może z wyjątkiem bardzo widocznej pasji do literatury i książek historycznych. Zawsze jednak widziałam jego szacunek dla kultury i twórców wszelakich, zgodę na różnorodność w kulturze, i to niezależnie od własnych gustów. Chodzi o przekonanie, że na tym też polega inkluzywność miasta i wolność kultury – namawiać prawie każdego mieszkańca do uczestnictwa w miejskim życiu i miejskiej kulturze, ale w sposób, w jaki sam chce, tak samo, jak zapraszać do wzbogacania miasta o swą własną kulturę.

Prezydent często podkreślał, że jego celem jest to, abyśmy z tej wolności korzystali, abyśmy przekładali ją na aktywne uczestnictwo w życiu Gdańska, brali udział w podejmowaniu decyzji. I byśmy ponosili też współodpowiedzialność. Bo jak mówił: miasto jest takie, jakie sami tworzymy.

Piotr Voelkel

Gdy myślę o sensie śmierci Pawła Adamowicza

Miałem szczęście. W dzieciństwie rodzice mnie nie bili, chętnie słuchali moich relacji z tego, co w szkole, wspólnie uzgadnialiśmy plan wakacji. Uczyli mnie dobrzy nauczyciele, pasjonaci. Dziś bliskie są mi odpowiedzialność, odwaga, otwartość, wolność, równość. Byłoby pewnie inaczej, gdybym nie miał takich rodziców i wychowawców.

Człowiek ma niezwykłą moc i może zmienić świat w koszmar lub w przestrzeń marzeń, a dobro i zło jest po to, żebyśmy mieli wybór. Każdy z nas ma potencjał do tego, aby zostać uczciwym, przyzwoitym lub podłym człowiekiem. Największym balastem są nasze lęki i brak poczucia własnej wartości. Rodzice, którzy z bezsilności, gniewu, powołując się na własne dzieciństwo i pod pretekstem sprawdzonych metod biją swoje dzieci; wychowawcy i nauczyciele, którzy straszą lub zachęcają do wyścigu szczurów; ksiądz, który zamiast podziwu dla piękna boskiego świata, miłosierdzia i miłości bliźniego motywuje nas piekłem i potępieniem; każdy, kto gwałtem, lękiem, przemocą, drwiną, kpiną chce nas zmieniać, wychowywać i uczyć, poniża nas i w efekcie osłabia, zabiera godność, poczucie wartości, siłę, odwagę, zwiększa nasze obawy przed zmianami, przyszłością, obcymi, innymi.

W rezultacie unikamy ryzyka, chcemy żyć według sprawdzonych wzorców, odwołujemy się do przeszłości. Nie awansujemy, nie robimy karier, zostajemy ofiarami, narasta zazdrość, zawiść. Budujemy fortece, wysokie mury, gdzie ma być bezpiecznie. Nie dostrzegamy, że nasza twierdza to ciasne więzienie. Z tych obaw i wątpliwości bierze

się przekonanie, a w końcu pewność, że w naszym życiu nic nie zależy od nas, inni nas oszukują, okradają i spiskują przeciwko nam. Narasta frustracja, agresja, nienawiść, znika radość z życia, nie ma miejsca na szczęście. Instynktownie szukamy podobnych do nas, którzy myślą, jak my i w końcu wspólnie wymyślamy sprawców naszej niedoli. Szykujemy krucjatę, odwet, a wrogów chcemy wyeliminować, bo nie umiemy z nimi rozmawiać. Nie słuchamy innych, wiemy swoje. Wierzymy, że nasze cele są wzniosłe, uczciwe, oczywiste i uświęcają wszystkie środki, przemoc i bezprawie.

Nasz lęk przed światem i przyszłością ukrywamy coraz lepiej za głośnymi paradami, groźnymi hasłami, symbolami kojarzonymi z brutalnością. Żyjemy w wymyślonym, groźnym świecie, nie dostrzegamy wartości faktów i prawdy, bo nas obnażają, ośmieszają. Za obietnice bezpieczeństwa oddajemy chętnie naszą wolność. To wszystko sprawia, że cenimy brutalnych liderów, dyktatorów. Oni wskazują nowe zagrożenia, kolejnych wrogów. Popisują się skutecznością, która wynika z lekceważenia zasad i prawa, a pod hasłami o równości i pod pozorami troski o pokrzywdzonych skrywają pogardę dla mas i nienawiść do elit oraz swoją rządzę władzy, a wszystko to z lęku przed światem, zmianami, przyszłością i przed lepszymi. Budują barykady z pogardy i nienawiści. Podsycają nasze lęki, poczucie klęski, zwiększają agresję i potrzebę odwetu, wyznaczają złowieszcze misje. Wylęknionym dają poczucie wyższości, wskazują wspólnego wroga. Z wielu analiz biografii tyranów wiadomo, że byli bici i poniewierani w domu lub szkole.

Możliwy jest też zupełnie inny scenariusz. Dom, w którym dziecko jest wysłuchane, zna granice swojej wolności, ale też uczy się odpowiedzialności i szacunku. Szkoła, gdzie motywacją jest ciekawość świata oraz chęć posiadania umiejętności, a nie tylko wiedzy. Gdzie uczą krytycznego myślenia, pracy w zespole, poszukiwania nieszablonowych rozwiązań, kooperacji i dobrej komunikacji. Gdzie rozumieją, że trzeba pracować z własnym lękiem, nie tylko wiedzieć, ale też umieć. Ścieżka, na której kolejne podejmowane próby to nowe doświadczenie dające nam moc i wiarę we własne możliwości. Coraz bardziej wiemy, że „mogę", a moje życie zależy przede wszystkim ode mnie. Poznajemy chętnie nowych

ludzi, odkrywamy zalety różnorodności, siłę pracy w grupie, rozumiemy co to szacunek, cieszymy się na zmiany, a naszym żywiołem jest wolność. Praca w zespole pokazuje, że stać nas na wiele, na wszystko. Nie wstydzimy się swoich słabości, wątpliwości, nie musimy kłamać, możemy postawić na prawdę i szczerość, a z przeciwnikami chcemy rozmawiać, zrozumieć ich. Dajemy sobie i innym prawo do zmiany poglądów, rozwijamy się, porzucamy dawne przekonania. Nie zakładamy, że zawsze mamy rację. To otwiera na cudze poglądy i przekonania. Wartość człowieka zależy od tego, co może dać innym. Dzięki niej zbliżamy się do ludzi, odkrywamy ich piękno, nawet jak skrywa się pod grubą warstwą słabości. Nie trzeba nikim pogardzać, żeby podtrzymywać poczucie własnej wartości. Pojawia się refleksja – po co żyjemy, co po nas zostanie i dlaczego pracujemy. Warto odkryć, że śmiałe marzenia są dobrą strategią dla osiągania trudnych celów, a na tej drodze znajdziemy wielu towarzyszy, partnerów, bliskich.

Nasza postawa może być wyzwaniem dla innych i mimo że wierzymy, iż da się zło dobrem zwyciężać, pojawi się niesprawiedliwy wyrok, zamachowiec, morderca i na oczach przyjaciół, tłumu zada cios w serce, trafimy na swoją Golgotę.

Wbrew takiemu zagrożeniu nie możemy zaniechać działań – leczenia „chorych", wspierania zagubionych. Musimy być przewodnikiem dla słabszych, poniewieranych przez życie, nieszczęśliwych. Wziąć odpowiedzialność za miasto, państwo, świat. Należy uważać, by samemu się nie zatracić i nie uznać, że dar, jakim jest udane, cudowne życie to wyłącznie nasza zasługa, powód do arogancji i prawo do pomiatania innymi. Duma i poczucie wyższości doprowadzi do izolacji, alienacji, a w konsekwencji do budowy barykad z pogardy i nienawiści. To droga do wojny domowej, do braterskiego rozlewu krwi.

Jest tysiąc powodów, aby poszukać w sobie dość pokory, aby przezwyciężyć poczucie wyższości. Zrozumieć, że symbioza, jaką musimy utrzymać jako społeczeństwo wyklucza wzajemną ocenę. Wszyscy jesteśmy potrzebni, żeby funkcjonował świat. Przed nami globalne wyzwania i problemy, których nie rozwiążemy sami. Potrzeba nowej wizji, aby ocalić naszą planetę. Dla tego ważnego celu musimy przekroczyć wszystkie

bariery i ograniczenia, pozbyć się egoizmu, zachłanności, obalić skostniałe nawyki i przekonanie o nadzwyczajnej roli i pozycji człowieka. Aby przetrwać, musimy uznać za nadrzędny cel, za nasz najważniejszy priorytet ochronę Ziemi, naszego jedynego domu. Nikogo nie może zabraknąć w tej misji.

Henryk Wujec

Nasza historia i wizja polskiej demokracji

Śmierć Pawła Adamowicza poruszyła polskie społeczeństwo. To był atak na niewinnego człowieka w czasie czynienia dobra, na oczach milionów ludzi – podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy 13 stycznia 2019 roku. To było wstrząsające.

W polskiej pamięci przechowujemy kilka podobnych historycznych zdarzeń. Nie porównuję ich, ale chciałbym przypomnieć te poruszające, kształtujące narodową tożsamość momenty: atak na biskupa Stanisława Szczepanowskiego i jego śmierć w czasie odprawiania Mszy św. w Krakowie na Skałce w XI wieku, zamordowanie Prezydenta Narutowicza na otwarciu wystawy malarskiej w Zachęcie 16 grudnia 1922 roku w tydzień po wyborze na Prezydenta, zamordowanie przez Służbę Bezpieczeństwa ks. Jerzego Popiełuszki 14 października 1984 roku oraz wydarzenie nie polskie, a jednak w Polsce powszechnie znane, uwypuklone mocno przez papieża Jana Pawła II, zamordowanie przez szwadrony śmierci w czasie Mszy św. w 1980 roku w Salwadorze abp. Oscara Romero. W każdym z tych przypadków mamy do czynienia z czymś niewyobrażalnym, z wstrząsającą zbrodnią. Świadomość takiej zbrodni wpływała poruszająco i otrzeźwiająco na postawy społeczne i na postawy władców.

Czy tragiczna śmierć Prezydenta Pawła Adamowicza wpłynęła, wpłynie otrzeźwiająco na postawy polskiego społeczeństwa? Na postawy rządzących Polską?

Tak się nam wydawało, gdy oglądaliśmy transmisję z uroczystości pogrzebowej w kościele Mariackim w Gdańsku. Zabrzmiały tam mocno,

z głębi duszy wypowiedziane, słowa apelu o. Ludwika Wiśniewskiego: „(…) trzeba skończyć z nienawiścią, trzeba skończyć ze słowami nienawiści, trzeba skończyć ze słowami pogardy (…)". Słuchali ich arcybiskupi i biskupi Konferencji Episkopatu, słuchały władze Rzeczypospolitej, słuchał cały gdański kościół, słuchała cała Polska.

Minęło zaledwie pół roku i już o tym zapomnieliśmy: zapomnieli aktywiści pochłonięci kolejnymi akcjami, zapomniały władze, które wolałyby, aby to wydarzenie stało się w społecznym odbiorze małym incydentem lokalnym. Minęło zaledwie pół roku, a w Białymstoku w czasie Parady Równości znowu na ulicach zapanowała ta sama nienawiść i ta sama pogarda, która doprowadziła do zamordowania Pawła Adamowicza. Również w Kościele polskim zapomniano o wypowiedzianych w kościele Mariackim słowach o. Ludwika Wiśniewskiego, zapomniano o słowach zawartych w przesłaniu abp. Wojciecha Polaka Prymasa Polski, odczytanym w kościele Mariackim.

Na przekór tej niepamięci, na przekór promowanemu przez „dobrą zmianę" cynizmowi politycznemu, my obywatele musimy o tamtych słowach pamiętać, tamte słowa przypominać. Musimy pamiętać o wartościach, którym służył Paweł Adamowicz: „Jestem prezydentem Gdańska, miasta wolności i solidarności. A historia, dokonania naszego miasta, jego ideowa misja stawia przed każdym prezydentem – nie zawaham się użyć tego określenia – imperatyw moralny twardej obrony tych podstawowych wartości, ilekroć są zagrożone".

Słowo Solidarność pojawiło się w sierpniu 1980 roku w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej, stąd poszło w Polskę, a potem zrobiło światową karierę. Wyrażało bowiem rzecz oczywistą, że powinniśmy wspólnie bronić swoich praw, wspólnie – w danym zakładzie pracy lub instytucji, wspólnie – razem z innym zakładami, wspólnie – bronić praw tych, którzy nie są w stanie obronić się sami. Przypomniał nam to w chwili naszej słabości po 5 latach stanu wojennego, w czasie Mszy św. na Zaspie papież Jan Paweł II, cytując słowa św. Pawła: „jedni drugich brzemiona noście".

Cóż to może znaczyć teraz w Polsce XXI wieku? To, że powinniśmy poprzeć protest niepełnosprawnych, gdy domagali się w Sejmie RP poszanowania swoich praw, że powinniśmy wspólnie wystąpić z poparciem

dla nauczycieli, gdy władze postanowiły ich publicznie upokorzyć, że powinniśmy wspólnie wystąpić przeciwko napaściom i terrorowi, jaki próbują wprowadzić na ulicach polskich miast prawicowe bojówki.

Solidarność to także Samorządna Rzeczpospolita, czyli Polska samorządna i obywatelska (przypominam tytuł programu Solidarności, przyjętego na Pierwszym Zjeździe w Gdańsku w 1981 roku). Jeszcze raz zacytuję Pawła Adamowicza: „Samorząd terytorialny w Polsce, odrodzony w 1990 roku dzięki rewolucji Solidarności i rządowi Tadeusza Mazowieckiego, jest nie tylko częścią administracji publicznej, jest fundamentem polskiej demokracji". Konieczne jest zwiększenie uprawnień samorządów oraz przekazanie więcej praw obywatelom w ich wspólnotach lokalnych i terytorialnych. Władze PiS odwrotnie, chcąc ograniczać te prawa – zarówno obywatelom, jak i wspólnotom samorządowym – wzorują się na PRL-owskim modelu państwa centralistycznego i autorytarnego, rządzonego przez Pierwszego Sekretarza, zwanego obecnie Przewodniczącym i przez Biuro Polityczne partii, zwane teraz „zakonem". Realizując taki model państwa, ubezwłasnowolniły Trybunał Konstytucyjny, tworząc atrapę podporządkowaną woli partii, represjonują niezawisłych sędziów, jeśli ich wyroki są niezgodne z poglądami partii, zawłaszczają dla siebie części terytorium, np. plac w Warszawie lub fragment Westerplatte, podporządkowują administracji państwowej kolejne muzea, aby móc realizować tam swoje plany propagandowe.

Wizja polskiej demokracji, o której mówił Paweł Adamowicz – konstytucyjnej, samorządowej i obywatelskiej – jest zagrożona.

Od 15 lat jesteśmy członkiem Unii Europejskiej. Członkostwo w UE, a wcześniej w NATO są wielkimi osiągnięciami III Rzeczpospolitej. Unia Europejska to w pewnym sensie europejski wymiar Solidarności. I tak jak państwa demokratyczne udzielały nam pomocy w stanie wojennym i w początkowym okresie naszych przemian, tak i my jesteśmy moralnie zobowiązani do pomocy tym, którzy znajdują się teraz w dramatycznych okolicznościach. Rozumiał to świetnie Paweł Adamowicz, który uważał, że miasto Gdańsk powinno pomagać pozbawionym środków do życia uchodźcom i taką pomoc organizował, na przekór egoistycznej i sprzecznej z chrześcijańskimi wartościami postawie polskich władz.

Teraz naszym obowiązkiem jest praca razem z innymi państwami UE nad modelem dobrego funkcjonowania europejskiej wspólnoty, tak by stała się silnym partnerem w zglobalizowanym świecie, a zarazem była praktycznym przykładem funkcjonowania struktury demokratycznej szanującej podmiotowość swoich członków. Praca nad tworzeniem tak złożonego organizmu będzie również pomocna dla tworzących się teraz i w przyszłości demokratycznych wielopaństwowych struktur na różnych kontynentach.

Nie jest to bynajmniej realizacja jakiegoś teoretycznego modelu ideologicznego – to egzystencjalna konieczność. Tylko uczestnicząc w procesie tworzenia światowego porządku demokratycznego, możemy ocalić ludzkość przed największym grożącym Ziemi niebezpieczeństwem, czyli przed katastrofą klimatyczną.

Jest to nasze podstawowe zobowiązanie zarówno w stosunku do naszych bliskich, naszych rodzin i naszych następców, którym musimy zapewnić warunki do bezpiecznego i twórczego życia, jak i wobec wyzwań w stosunku do całej ludzkości, która będzie szukać sposobów pokojowego i solidarnościowego rozwoju.

Kuba Wygnański

Gdańsk – miasto szczególne

Byliśmy rówieśnikami. Nie znałem go zbyt dobrze. Ledwie kilka razy rozmawialiśmy, ale tak raczej „w przelocie", przy okazji jakiejś konferencji. Owszem, dobrze pamiętam jedną – kilka lat temu we Lwowie. To jeszcze był czas, kiedy mogliśmy „obnosić się" z przekonaniem, że przez 25 lat dorobiliśmy się sukcesów, których inni mogą nam zazdrościć, a nawet więcej: że nawet naszych problemów też można nam zazdrościć. Pan Prezydent występował przed licznie zgromadzonym audytorium samorządowców i działaczy obywatelskich z Europy Środkowej i Wschodniej. On trochę „gwiazdorzył" na potrzeby pierwszej grupy, a ja robiłem w pewnym sensie to samo na potrzeby grupy drugiej. No cóż, taki objazdowy duet samochwał… Serio. To jeszcze był czas, kiedy wydawało nam się, że choć tu i tam zbierają się chmury, to Polska jest „immunologizowana" na tego rodzaju problemy. Nasza młoda, prężna demokracja jest szczepiona przeciw populizmowi, centralizmowi, ksenofobii. Byliśmy dyżurnymi prymusami dla krajów naszego regionu – tych, które wyłoniły się niespodziewanie w tej części świata na początku lat 90. Byliśmy inspiracją, przedmiotem zazdrości, ale też źródłem nadziei. Właściwie nasza recepta brzmiała mniej więcej tak: 25 lat ciężkiej i konsekwentnej pracy, i znajdziecie się tam, gdzie my, a My znajdziemy się tam, gdzie zamożne i stabilne demokracje Europy. Historia się skończyła. Czas miał pracować na naszą korzyść… W wielu dziedzinach rzeczywiście mogliśmy i nadal możemy się chwalić, w szczególności w dziedzinie samorządności i decentralizacji władzy oraz rozwoju inicjatyw obywatelskich. Okazało się jednak, że historia wcale

się nie kończy. Co gorsza, przyśpiesza, a co najważniejsze – być może ma ochotę się… powtórzyć. Potrzeba było ledwie kilku lat, żeby wiara w koniec historii zmieniła się w histerię „końca czasów". Sprawy nieco się skomplikowały, a to jest moment, w którym zasadniczego znaczenia nabiera kwestia przywództwa.

Pan Prezydent Adamowicz poświęcił właściwie całe swoje dorosłe życie działalności publicznej i mógł o tym mówić z autorytetem, jaki wynika z tak bogatego doświadczenia. Wszystko, co mówił było też niejako wzmacniane przez fakt, że dotyczyło Gdańska. Miasta symbolu. Symbolu wolności, otwartości i solidarności – miasta, w którym wszystko się zaczęło. Zaczęła się nie tylko wojna, ale zaczęła się też solidarność i polski eksperyment z wolnością. Poza „momentami strzelistymi na samym początku, złotymi godzinami, kiedy wiatr historii rozwiewał nam włosy", ostatnie dziesięciolecia Gdańska to historia miasta w ciągłej zmianie, ciągle ulepszanego. Gdańsk w opowieści Pawła Adamowicza był nie tylko historią, był też przyszłością.

Pan Prezydent Adamowicz poświęcił mu się przez lata bez reszty. Chyba przez cały czas był mu nie tylko oddany, ale wręcz w nim zakochany (rzekłbym bezkrytycznie zgoła). Był z niego tak dumny… Obserwując to, co zdarzyło się już po jego tragicznej śmierci – widać było, że to gorące uczucie było odwzajemnione.

Jak to się stało. Skąd brał tyle energii. Kierował tym miastem przez 20 lat, a cały czas miałem wrażenie, że się dopiero rozkręca. Tu się urodził. Wzrastał wraz z tym miastem. Wyznaczał sobie i miastu bardzo ambitne cele, i osiągał je. Gdańsk za jego czasów rozwijał się i dojrzewał w niezwykłym tempie. Użyłem słowa dojrzewał, bo to więcej i głębiej niż po prostu rosnąć i bogacić się. To miasto także dzięki pracy Pawła Adamowicza pielęgnowało swój „charakter" i swoją wrażliwość.

Był jednym z nielicznych prezydentów, który umiał połączyć styl „budowniczego" – kogoś, kto rozumie, jak ważna dla miasta jest infrastruktura (*hardware*), ale jednocześnie przywódcy, który rozumie, że całe to „wyposażenie" nie jest wiele warte bez tego, co „miękkie", bez swoistego *software*. Wiedział, że miasto wymaga syntezy tego, co ma i tego, jakim jest.

W czasach, w których za sukces wielu miast uznaje się to, że mają „to, co inni" i prędzej czy później okazują się klonami innych miast, Gdańsk wspaniale pielęgnował swoją unikalność, swoje idiomy, swoją wyjątkowość. Częścią jego historii – częścią bardzo eksponowaną i chronioną – był jego pluralistyczny charakter, jego „gdańskość", jako kategoria całkiem odrębna, „poprzeczna" w stosunku do jego polskości czy niemieckości. Gdańsk w swej historii jest głęboko i szeroko zakorzeniony. Jest dowodem na to, jakie bogactwo płynie z różnorodności – w szczególności wtedy, kiedy różne jego elementy pozostają w napięciu, ale i pokojowej równowadze. Świadomość tego właśnie faktu nakazywała Prezydentowi Adamowiczowi być niejako chorążym i obrońcą takiego modelu rozwoju miasta, w przypadku którego różnorodność jest traktowana jako zasób, a nie jako problem. W czasach, kiedy tak wiele miast (a nawet państw) chroni się za murami, podnosi mosty, odwraca się plecami do innych, Gdańsk odważnie pielęgnował tradycje miasta otwartego na ludzi. Paweł Adamowicz był jednym z inicjatorów porozumienia samorządów wzywających do tego, aby w Polsce znaleźli schronienie choć nieliczni z uchodźców uciekających z krajów objętych wojną. Gdańsk próbował ratować honor Polski – jako kraju solidarności, kraju świadomego chrześcijańskiej i czysto humanitarnej powinności. Nawet on jednak nie mógł zmienić złych, upartych, tchórzliwych i nieludzkich postanowień aktualnej władzy. Nie przyjęliśmy nawet uchodźców w ramach tzw. Korytarzy Humanitarnych. Z listy, na której byliśmy krajem, który był ikoną solidarności, Polska trafiła na listę wstydu. Być może kiedyś będziemy mogli używać postawy Gdańska i odważnego stawienia sprawy przez Prezydenta Adamowicza jako czegoś w rodzaju alibi dla naszego zbiorowego zaniechania. Gdański model – Model Integracji Imigrantów – to było i jest coś więcej niż polityczna deklaracja, to była i jest praktyka. To nie jest kwestia otwartości samego Prezydenta, to otwartość miasta i jego mieszkańców. Zasługą Pawła Adamowicza w tej (jak i w wielu innych sprawach) było to, że serio potraktował partycypację obywateli. Chciał im dać sprawstwo, chciał korzystać z ich wyobraźni, liczył się z ich opinią. Paweł Adamowicz w pewnej części antycypował, a w pewnej mógł zobaczyć, z jakimi wyzwaniami musi się zmierzyć młoda demokracja w Polsce. Rozumiał, że zredukowana do

spektaklu, do festiwalu obietnic, do jednorazowych aktów wyborczych jest krucha, a nawet więcej – groźna dla samej siebie, niejako skazana na samobójstwo. Mało jest w Polsce miast, których historia może świadczyć o tym, jak łatwo demokracja może zmienić się w brutalną, a nawet krwawą dyktaturę. Paweł Adamowicz wiedział, że demokracja wymaga elementarnego wysiłku, odpowiedzialności i codziennego praktykowania. Wierzył w deliberatywne jej formy i gotów był z nimi eksperymentować.

Podobnie jak troszczył się o ochronę wartości i praktyk demokratycznych (zresztą także na poziomie ponadlokalnym), był też świadom tego, że Gdańsk jest depozytariuszem jednego z najcenniejszych narodowych skarbów, jakim jest Solidarność. Wiele wspólnie zrobiliśmy, żeby jej sztandar zszargać i sprać w takim stopniu, że jej wspomnienie coraz częściej budzi nie tyle podziw, ile zakłopotanie. Gdzieś „skręciliśmy źle", coś się z nami stało. Ja sam, jako młody chłopak – z pewnością tak samo, jak Prezydent Adamowicz i miliony naszych rodaków – zdzierałem gardło krzycząc: „Nie ma wolności bez Solidarności". Udało się. Mamy wolność. Jednak wiele wskazuje na to, że nie mamy solidarności. Nie chodzi tylko o ruch społeczny, ale także o to, co znacznie ważniejsze – o troskę o siebie nawzajem.

Jednym z jego marzeń (marzeń spełnionych) było powstanie Europejskiego Centrum Solidarności. To właśnie to miejsce stało się przedmiotem dumy dla Gdańska, a już po śmierci Prezydenta miejscem szczególnie „wyniesionym" w związku z ceremoniami, które towarzyszyły jego pożegnaniu.

Gdańsk żegnający Prezydenta Pawła Adamowicza był też widziany oczyma reszty kraju jako miejsce szczególne. Miejsce, w którym poza głębokim, szerokim, bo łączącym tak wielu – smutkiem – rodziła się też nadzieja. Nadzieja na to, że przyjdzie może jakieś opamiętanie, nadzieja na to, że samorząd w Polsce w tej tragicznej chwili zyskał też kogoś w rodzaju patrona, że szacunek dla Pamięci Prezydenta Adamowicza, że powaga chwili, że moment szczególnej jedności ustanawia jakiś rodzaj zobowiązania nie tylko dla Gdańska, ale też innych miejsc w Polsce. To zobowiązanie poważne i niełatwe, ale to chyba najlepszy sposób, żeby godnie uczcić pamięć Pawła Adamowicza. W Gdańsku wszystko się zaczyna. Nadzieja też.

Mateusz Zmyślony

Nieważne, ile człowiek ma lat, gdy odchodzi, ważne, ile po sobie zostawia...

Widzieliśmy się z Prezydentem Adamowiczem osobiście na tydzień przed tragedią, wspólnie planując niezwykle ważne dla nas wydarzenie – „Solidarni w rozwoju: Gdańsk – Polska – Europa – Świat". Prezydent Gdańska marzył o tym, by odbyło się ono w Europejskim Centrum Solidarności, by było poświęcone wrażliwości społecznej, wspólnotowości, opisanej przez niego w jego książce. Staliśmy we trójkę, jeszcze z profesorem Jerzym Hausnerem, i rozmawialiśmy podekscytowani o tym, że warto być idealistą-wizjonerem, że warto robić rzeczy ważne, choć trudne. Tydzień później Paweł Adamowicz już nie żył. Żadnego zdarzenia ze świata spraw publicznych nigdy nie przeżyłem tak dramatycznie, jak tego. I dlatego postanowiłem zrobić wszystko, by to zaplanowane wspólnie wydarzenie na pewno się odbyło. W hołdzie dla ideałów i wizji rozwoju Gdańska, jaką nosił w swojej głowie jego Prezydent.

Pawła Adamowicza poznałem w 2003 roku. Rozmawialiśmy wtedy o Gdańsku, jego drzemiącym wówczas potencjale, który warto byłoby uwolnić. Gdańsk *anno domini* 2003 to było miasto, z którego parę lat wcześniej wyjechałem. Może i ładne, może i nad morzem, ale takie jakieś smętne. Pamiętam, że nie było gdzie pójść po zmroku. Taka makieta dla niemieckich turystów, którą się wieczorem zamykało. Ostatni gasił światło. Straszyła ruinami wyspa Spichrzów, straszyła pustką Stocznia, po której hulał wiatr.

Ówczesny wiceprezydent Gdańska, Marcin Szpak, zadał mi wówczas pytanie: Czego najbardziej dziś w Gdańsku brakuje? Nie musiałem się zastanawiać, gdyż przed spotkaniem długo o tym myślałem. W mojej

pracy – tworzeniu strategii rozwoju i komunikacji społecznej miast – jednym z najważniejszych narzędzi jest umiejętność patrzenia z dystansu. Pozwala ona dostrzegać rzeczy oczywiste, na tyle oczywiste i bliskie, że tzw. „miejscowi" nie mogą ich dostrzec. Rozmawialiśmy także o tym, że w Gdańsku brakuje wspólnotowego, wielowymiarowego, prezentującego punkty widzenia innych nacji i krajów, prawdziwie międzynarodowego Muzeum II Wojny Światowej.

Dziś w Gdańsku to Muzeum naprawdę stoi – podziwiane i potrzebne, wręcz nieodzowne. Odzierane dziś ze wspólnotowego charakteru przez polityków Pawłowi Adamowiczowi niechętnych, poddawane próbom zawłaszczania idei przez jedną grupę. Patrzę na to z niesmakiem i niedowierzaniem – w moim świecie takie rzeczy są godne szacunku i nietykalne.

Kolejny rozdział tego dramatu rozgrywa się dziś na Westerplatte. Znowu jedno plemię próbuje wspólnocie zabrać jakąś ważną przestrzeń, zawłaszczyć ją i zdeformować swoją narracją, argumentując, że chce uratować zaniedbane i zapomniane miejsce. Jednocześnie przenosząc z tego miejsca tradycyjne i oficjalne obchody wybuchu II wojny światowej – na plac leżący w cieniu smoleńskiego pomnika. Brzmi to wszystko dość absurdalnie, ale są tacy, którzy absurdów się nie boją. Gdańsk nie jest miastem zaniedbanym. A wojna zaczęła się dla całego świata nie w Warszawie, ale na Westerplatte.

Ten Gdańsk po Adamowiczu jest miastem bardzo zadbanym – to dzięki wieloletniej ciężkiej pracy, wizji rozwoju i wielkiemu zaangażowaniu Prezydenta i całego jego zespołu. Ze starego, ponurego, szarego miasta lat 90. Gdańsk zmienił się w miasto światowe, pełne życia, imponujące, dumne. Jak mawiał Paweł Adamowicz: również szczodre, dzielące się sobą z innymi. Taki Gdańsk zostawia po sobie potomności. Otwarty, demokratyczny, obywatelski, tętniący pozytywną energią.

Uwielbiam do tego Gdańska przyjeżdżać. Robię to często, a jeszcze częściej się uśmiecham, spacerując po pełnej ludzi, odbudowanej Ołowiance, idąc Stągiewną na Szafarnię, na kolację do Basi Ritz. Uśmiecham się, bo widzę, ile „Gdańsk jako wspólnota" dokonał z Pawłem Adamowiczem za kierownicą.

Nieważne, ile człowiek ma lat, gdy odchodzi, ważne, ile po sobie zostawia…

Eseje – o solidarności społecznej, sprawiedliwości międzypokoleniowej i terytorialnej oraz prawie do jakości życia i rozwoju

Kuba Wygnański

O solidarności – jak ją rozumieć, jak praktykować

Nie jest łatwo pisać o solidarności w Polsce. W końcu to kraj, który uchodził za ikonę solidarności. Hasło to było nieomal „znakiem firmowym" Polski. Używanym, zużywanym i nadużywanym. Solidarność jest polska, jak toruński jest piernik, czy spaghetti jest bolońskie… (choć jak się okazuje, tak naprawdę w Bolonii nikt go tak nie nazywa…).

Solidarność była słowem, które nawet poza granicami Polski było wypowiadane (i zniekształcane) w różnych językach. Solidarność, jako ruch społeczny, ale także jako model pokojowej zmiany, zachwycał innych i był dla nich inspiracją. Wydarzenia w Polsce uruchomiły wyobraźnię innych i poruszyły ich serca. Wystarczy przypomnieć wielkie gesty – no właśnie solidarności – ze strony innych po wprowadzeniu stanu wojennego. Jeśli kiedyś był moment, w którym ktoś gotów byłby „umierać za Gdańsk", było to wtedy. Powszechne było przekonanie, że zgnieciono w zarodku piękne marzenie, niewinność, nadzieję.

Solidarność – to słowo było nie tylko pisane tą szczególną czcionką, która sama w sobie tworzyła symbolikę wzajemnej biskości (litery wczepione w siebie). To słowo było nie tylko wymawiane, ale wręcz wykrzykiwane przez tysiące, a nawet miliony ludzi. Do tej pory wielu z nas wie, jak sylabizować je w krzyku So!_Li!_Darność! To był potężny krzyk, to było zdzieranie gardła. Czasem słowo to występowało „solo", a czasem było częścią bardziej złożonej całości – jakiegoś warunkowania. W szczególności w formie żądania/postulatu „Nie ma Wolności

bez Solidarności" (chodziło o powtórną rejestrację Związku). No i cóż, w końcu się udało i, owszem, mamy wolność, ale nie jest dla mnie pewne czy mamy… solidarność.

Nie chodzi oczywiście o związek zawodowy – ten istnieje, choć nie jestem pewien czy rzeczywiście jest najlepszym depozytariuszem pierwotnych wartości tego ruchu. Martwię się raczej tym, że zamiast troski o solidarność we właściwym rozumieniu tego słowa (praktykowanie troski o innych) zajmuje się kontrolowaniem i odbieraniem koncesji na „swój znaczek". To decyzją związku znaczek ten już na początku przemian w Polsce znika z nagłówków gazet, z nazw ruchów, takich jak ruch Komitetów Obywatelskich, z rewersu medali… tak jak to miało ostatnio miejsce w Gdańsku. Żałuję, że tak się stało. Współczuję tego zaplątania i zakłopotania w chwilach, kiedy do działaczy związku dociera, że ten rodzaj „moralizowania" nie czyni ich bardziej moralnymi. W Polsce jest wiele osób bardzo skorych do oceny innych – właśnie do moralizowania zamiast praktykowania moralnie słusznych zachowań. Niestety nie pomoże deklamowanie słowa solidarność i wplatanie go w oficjalne przemówienia. Tak nie wzbudzi się solidarności. Patos w nadmiarze rodzi raczej swoje przeciwieństwo – apatię.

Mam wrażenie, że niestety w dużej mierze roztrwoniliśmy symboliczny majątek solidarności. Z kraju, który na świecie był ikoną Solidarności staliśmy się krajem, który solidarności innym odmawia. Gorzej – innymi/obcymi straszy się, upokarza się ich i dehumanizuje. Manipuluje się faktami, a tych, którzy ratują honor Polski (tak jak Gdańsk) dając schronienie, czyni się publicznymi wrogami. Ta haniebna praktyka zrujnowała naszą reputację. Gorzej – skorumpowała nasze zbiorowe sumienie. Mamy niespłacony dług wdzięczności w stosunku do innych, którzy udzielali nam kiedyś pomocy – staliśmy się niewdzięcznikami. Z naszej małości chcemy uczynić wielkość, z naszego występku – cnotę, a z naszego tchórzostwa – odwagę. To wszystko ma się dziać w imię chrześcijańskich wartości właśnie wtedy, kiedy wprost im zaprzeczamy. Czysta hipokryzja. Obowiązek pomocy uchodźcom nie bierze się z instrukcji „z Brukseli", ale wprost z Ewangelii (Mt). Jak to możliwe, że w kraju, w którym działa ok. 11 tys. parafii, chyba żadna nie była w stanie wykonać dość skromnego

w końcu zadania wyznaczonego przez Papieża Franciszka (przyjęcia jednej rodziny). To, że Polska, która sama wiele razy doświadczyła pomocy nie przyjęła praktycznie żadnego uchodźcy (nawet tych, którzy mieli się pojawić poprzez tzw. „korytarze humanitarne") jest występkiem przeciw solidarności.

Nie dość, że solidarności odmawiamy innym (tak jak ma to miejsce w przypadku uchodźców), często odmawiamy też jej sobie nawzajem. Brakuje nam troski o siebie nawzajem. Tu nawet nie działa plemienny mechanizm, którego istotą jest właśnie troska o członków własnego plemienia i lojalność w stosunku do nich połączona z wrogością w stosunku do innych. Zostało tylko jedno – ujemna część równania. Została tylko niechęć. Coraz częściej jest tak, że łączy nas nie to, w co wspólnie wierzymy, ale to, czego wspólnie nienawidzimy. To zupełnie nowy, groźny i żałosny sposób budowania tożsamości grupowej. Mamy zatem w Polsce swoje własne mniejsze plemiona, które udało się wytworzyć (czy wytworzyć niejako „na nas" – bo nie są to procesy spontaniczne). Udało się to mimo tego, że żyjemy w kraju o względnie jednorodnej strukturze rasy i religii. Trzeba było znaleźć inne osie podziału i pracowicie żłobić je codziennie. Ten konflikt ma wielu zewnętrznych i wewnętrznych interesariuszy – da się z tego żyć… da się dzięki temu zdobywać władzę i rządzić. Technologia rządzenia w oparciu o fabrykowanie wroga ma długą tradycję i utrwaloną reputację skuteczności. Daje korzyści tym, którzy jej używają, ale dzieje się to kosztem tego, co wspólne. Ten podział wzmacnia frakcje, ale osłabia całość i skazuje Polskę na to, że musi się mierzyć z olbrzymimi wyzwaniami (a te najpoważniejsze są dopiero przed nami) z jedną ręką „na plecach" (prawą lub lewą – to prawie bez znaczenia). Kto tak czyni i czyni to z namysłem dopuszcza się zdrady narodowych (tak właśnie – narodowych) interesów, nawet jeśli ma słowo „naród" wypisane na sztandarach.

Deklamowanie, pompatyczność, z jaką wypowiadane są słowa, takie jak „naród", „solidarność" czy wspólnota, żadnego z nich nie powołuje do życia (to uprawnienie, a zatem stwarzanie przez wypowiadanie *actus purus* nie jest domeną ludzi…). To, co możemy zrobić, żeby nadać im realność autentyczną (nie fabrykowaną), to dawać im świadectwo i praktykować przywiązanie do nich.

Słowo „solidarność" było używane tak często, że uległo zużyciu. Przeszło cały „cykl" – od bycia orężem, symbolem, niemal świętością, do spowszednienia, przesytu, a ostatecznie zakłopotania, a może nawet zażenowania. Może należałoby szukać jakiegoś nowego słowa? Z czegoś, co nas łączyło, galwanizowało, stało się czymś, co dzieli i zniechęca – stało się jakby własnym przeciwieństwem i bardzo trudno będzie je „odwalczyć" i przywrócić jego właściwe znaczenie. Jak to zrobić? Spróbujmy zacząć od kilku uwag, które dotyczą oryginalnego znaczenia słowa „solidarność".

W tym kontekście warto przypomnieć, że ruch Solidarności był zorientowany nie tylko na emancypację społeczną, ale także niepodległościową (wolnościową). Nie znaczy to jednak, że są to pojęcia zastępowalne. Są rozłączne – czasem wręcz pozostają w napięciu, szczególnie wtedy, gdy solidarność i emancypacja są „zarezerwowane" jedynie dla własnej grupy. Ten rodzaj problemu chyba przez nikogo nie został nazwany trafniej niż przez C.K. Norwida:

> *Wszystko, co patriotyzmu i historycznego dotyczy uczucia, tak wielkie i wielmożne jest w narodzie tym, iż zaiste że kapelusz zdejmam przed ulicznikiem warszawskim – ale – ale wszystko to, czego nie od patriotyzmu, czego nie od narodowego, ale czego od społecznego uczucia wymaga się, to jest tak początkujące, małe i prawie nikczemne, że strach wspominać o tem!*
> *Jesteśmy żadnem społeczeństwem.*
> *Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym.*
> *Gdyby Ojczyzna nasza była tak dzielnem społeczeństwem we wszystkich człowieka obowiązkach, jak znakomitym jest narodem we wszelkich Polaka poczuciach, tedy bylibyśmy na nogach dwóch, osoby cale i poważne – monumentalnie znamienite. Ale tak jak dziś jest, to Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł – i jesteśmy karykatury, i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi…. Słońce, nad Polakiem wstawa, ale zasłania swe oczy nad człowiekiem*
> (Cyprian Kamil Norwid do Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej, (14 listopada 1862 roku).

Gdzieś zgubiliśmy solidarność, a może pomyliliśmy ją z czymś innym. Stało się tak mimo tego, że otrzymaliśmy dość jasne instrukcje w tej sprawie… wygłoszone zostały one właśnie w Gdańsku, w historycznym spotkaniu z JPII w czasie III Pielgrzymki: „Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu, jedni przeciw drugim".

Wygląda to jakbyśmy „użyli" solidarności przez chwilę i odstąpili od niej potem. To było jakby chwilowe uniesienie, iskra, która wzbudziła w nas lepszą cząstkę nas samych, ale wypaliła się szybko. Za szybko. Byliśmy świadkami czegoś nadzwyczajnego, i nie chodzi tylko o skuteczny wehikuł politycznej zmiany. Rewolucja solidarności była czymś więcej, była moralna i godnościowa. W tym ruchu nie chodziło tylko o bunt przeciw „tamtym", nie chodziło tylko o protest przeciwko ich kłamstwom i ich przemocy, ale także o „nasze" wyrzeczenie się kłamstwa i przemocy. Na tym właśnie polegał cud solidarności. Teraz jej brakuje. Gdzieś chyba skręciliśmy źle.

Bez niej, bez tego istotnego składnika, jakim jest solidarność, coś się rozpada – gubimy równowagę… Między czym a czym? To równanie, które składa się z trzech elementów. Dobrze znanych elementów. Chodzi o Wolność, Równość i Braterstwo. Ten ostatni – braterstwo – jest w moim przekonaniu innym nazwaniem właśnie solidarności, jest zwornikiem pozostałych. Tu nie chodzi jednak o braterstwo krwi, o ziomkostwo, o kuzynów itd. W pewnym sensie ten rodzaj relacji jest często przeciwnikiem braterstwa autentycznego i po prostu ludzkiego. Erich Fromm w jednej ze swoich książek napisanych po wojnie (*Zdrowe Społeczeństwo*) i pomny nauczek, jakie z wojny płyną, wzywał właśnie do tego, aby braterstwem odpowiedzieć na „kazirodczą plemienność".

Wszystkie te trzy wartości są nam drogie, ale pytanie brzmi: jak mają się do siebie? Oczywiste i nieuchronne jest napięcie między równością i wolnością. Bardzo trudno maksymalizować je jednocześnie. Tu jedno odbywa się kosztem drugiego.

Można powiedzieć, że ustrój, z którym pożegnaliśmy się 30 lat temu upodobał sobie właśnie równość i wypisał ją na sztandarach (nie trzeba dodawać, że to często było nadużywane – bo zawsze byli orwellowscy

równi i równiejsi). No więc wtedy – 30 lat temu – udało się nam wspólnie (solidarnie?) sprzeciwić się temu ustrojowi, żeby przeskoczyć do świata… wolności (czy może używając subtelnego rozróżnienia ks. Tomasza Halika, staliśmy się „wyzwoleni, ale jeszcze nie wolni"). Wolność okazała się zadaniem i wyzwaniem. To samo w pewnym sensie słyszeliśmy od ks. Józefa Tischnera, kiedy pisał o „nieszczęsnym darze wolności…". Ów dar może być tak trudny, że czasami chcemy sami się go pozbyć i uciec od niego. Nie szanujemy go być może dlatego, że w pewnym sensie nasze pokolenie dostało wolność w prezencie. Sprzyjała nam geopolityka, opatrzność, przypadek oraz poświęcenie garstki ludzi… To nie była wolność wywalczona, zdobyta, okupiona wielkimi ofiarami. Ona nam się w pewnym sensie przydarzyła.

Pokochaliśmy wolność – w każdym razie to, czym nam się wydała. Rzuciliśmy się w nią wręcz znudzeni i zmęczeni równością. Od tego momentu solidarność była już coraz częściej zapominana i zapraszana. Stała się chyba mniej chętnie widzianą, nieco kłopotliwą krewną. Z przymusu równości rzuciliśmy się na wolność, nie oglądając się za siebie i na innych. A to odwrócenie wzroku, zaniechanie, głuchota – to były właśnie deficyty solidarności i braterstwa.

Piliśmy wolność (jak określiłby to Platon) jak „nierozcieńczone wino". To wolność – jej smak – jej powab – nagroda pozwoliła nam osiągnąć olbrzymie sukcesy. Objęliśmy rynek i konkurencję obydwoma rękoma. Odrabialiśmy lekcje szybciej niż inni – staliśmy się wręcz czempionem. Dawniej podziwiano nas za cud Solidarności, bezkrwawą przemianę, teraz można nam było po prostu zazdrościć naszej gospodarności.

Jest kilka rodzajów wolności i różnie można z niej korzystać. Jest też taki, którego istotą jest wolność od ograniczeń, od troski od innych – wolność skupienia się na sobie. Zostaliśmy skutecznie „ukąszeni rynkiem" i nie chodzi wcale o to, że chcemy mieć więcej, bogacić się i że to jest potężna sprężyna napędu gospodarki. Z tego możemy być dumni. Problemem jest raczej to, że całkiem naiwnie rozciągnęliśmy rywalizacyjne, konsumpcyjne cechy rynku (jemu właściwe) na znacznie szersze terytorium spraw, w przypadku których prawa te nie mają zastosowania albo mają zastosowanie ograniczone (czasem niszczące).

Zauroczeni skutecznością tych reguł w dziedzinie gospodarki niemal bezrefleksyjnie uznaliśmy, że znajdą zastosowanie w innych dziedzinach (np. edukacja, polityka, kultura, rozwój lokalny, środowisko naturalne, zdrowie itd.).

Więcej (gorzej?), uznaliśmy naiwnie, że nasze osobiste i kolektywne sukcesy są zawsze wynikiem naszych zasług. Odsuwaliśmy od siebie przypuszczenie, że może wynikają z tego, że mieliśmy szczęście, że dużo dostaliśmy, że lepiej wylosowaliśmy. Przypisanie wyłącznie samym sobie zasług otworzyło nam możliwość myślenia o niepowodzeniach innych – jako o wyniku ich własnego zaniechania, lenistwa albo wręcz winy. To zaś pomogło nam usprawiedliwiać nasze indywidualne zaniechania, a działającym w naszym imieniu instytucjom działać w trybie dydaktycznym, a nawet dyktatu (nawet, jeśli nazywamy to pomocą).

Ten rodzaj lenistwa czy zaniechania był jednym z pierwszych występków przeciw solidarności. Okazywała się zbędna, niewygodna, jak skrupuły… Nieco za późno okazało się, że bez niej czegoś brakuje, że nie da się przygotować „magicznego sosu", który łączyłby owe 3 elementy. Dopiero chyba teraz możemy pojąć, że istotą równowagi wszystkich trzech elementów jest właśnie braterska troska o bliźnich, która bierze się z wolnego wyboru, a nie z przymusu. Braterstwo nie unieważnia, a raczej nadaje sens pozostałym dwóm elementom i mityguje ich „ekscesy". Wolność–równość-braterstwo nie są przedzielone przecinkami – powinny być połączone spójnikami. Niby drobiazg, ale jak wiele zmienia. Trudno ustalić, która z nich jest ważniejsza (to pewnie zależy dla kogo), ale pewne jest, że pierwotna – bo warunkująca pozostałe – jest dobrze pojęta wolność. Wolność jest fundamentalna dla ludzkiej kondycji. Nie chodzi wcale o to, że jest przez niektórych tak pożądana (to też), ale o to, że bez niej nie są możliwe prawdziwie moralne wybory. W tym sensie niejako *à rebours* – bez wolności nie ma solidarności. Solidarność bez wolności nie jest w ogóle możliwa, ale też (i tego właśnie dotyczy nasz wybór) nie jest bynajmniej konieczna – nie musi się zdarzyć. To chyba najważniejszy element konstrukcji solidarności. Ona musi być niejako darem, wyborem, często samoograniczeniem czy wręcz ofiarą. Ona musi kosztować i musi być wynikiem świadomej decyzji.

Wydaje się, że powinniśmy zabiegać o odtworzenie właściwego znaczenia każdego z elementów owej triady (wolności, równości i braterstwa) i uchwycenia równowagi między nimi. Ta równowaga możliwa jest tylko w oparciu o „oryginalne", autentyczne komponenty, a nie ich tanie podróbki. Bez tego otrzymujemy rodzaj triady w wersji „tańszej" i zdegenerowanej, w której wolność to w istocie egoizm, równość to zawiść i zazdrość, a braterstwo to tanie, nieszczere, incydentalne formy tzw. filantropii.

Te szczególne formy skarłowacenia są częścią tej samej choroby, której istotą jest „uwiąd transcendencji". Proces mniej więcej 100 lat temu opisał baskijski filozof José Ortega y Gasset w *Buncie Mas*. To, że nie zaczęło się to wczoraj, że proces ten towarzyszy nam od lat, trochę nas rozgrzesza, ale dowodzi trwałości tego zjawiska. Proces ten, pojawienie się „człowieka masowego" ma poważne i zgubne konsekwencje dla ekonomii, polityki, demokracji i szans na autentyczną solidarność.

Skoro brakuje nam transcendencji, że nie wierzymy, że są sprawy większe niż my sami, nic nas nie przekracza – jesteśmy „miarą wszystkiego", co oznacza, że mamy nieuchronną skłonność, żeby wszystko odmieniać przez „liczbę pojedynczą". Wielkie idee (ideały), takie jak – i tu kolejna triada – Piękno, Dobro i Prawda, przemieniają się we własne karykatury: Narcyzm, Egoizm i specyficznie rozumianą Prawdę: tak subiektywną i osobistą, że właściwie sprowadza się do własnych emocji. Nic poza mną samym obiektywnie nie istnieje. Ten rodzaj solipsyzmu jest najdalszy od solidarności.

Z tego JA i tylko JA wyłania się nowa kategoria – kategoria przyjemności. Pochodzi z innego porządku i z innej płaszczyzny. To ona w dużej mierze zastępuje kłopotliwe 3 bieguny i nawigowanie między nimi. Wystarczy jeden, ale jakże potężny, niezaprzeczalny i oczywisty. Przyjemność, samozadowolenie itd. w istocie nie potrzebuje innych. Inni mogą nawet przeszkadzać.

Pojęcia przyjemności nie należy jednak mylić z pojęciem szczęścia. To nie są kategorie tożsame (utożsamienie szczęścia z przyjemnością może być bardzo bolesną pomyłką). Ze szczęściem jest nieco inaczej – szczęścia nie da się podobno przeżywać samotnie. Szczęście (w odróżnieniu od

przyjemności), podobnie jak wolność, jest specyficznie ludzkim pragnieniem. Do szczęścia potrzebni są inni. To bardzo pocieszające. Oznacza bowiem, że bycie solidarnym (bycie z innymi i dla innych), choć wymaga wysiłku, nie unieszczęśliwia, nie musi być cierpieniem, a już z pewnością nie jest cierpiętnictwem.

Być może w poszukiwaniu szczęścia pojawia się w nas pokusa wyprawy „solo", nie oglądania się na innych, zmęczenia nimi, ucieczki. Takie szczęście zawsze jednak na końcu będzie jakieś ułomne, jakoś skażone, nieco kwaśne. W *Dżumie* Alberta Camusa (książka napisana w 1947 roku jako przestroga) jest taki moment, kiedy Rambert (dziennikarz) ma możliwość opuszczenia ogarniętego dżumą Oranu. Może wybrać szczęście „solo". Zostaje jednak, tłumacząc swój wybór tym, że: „…może być wstyd, że człowiek jest sam tylko szczęśliwy".

Ta sytuacja jest bardzo adekwatna do czasów, w których żyjemy – codziennie możemy „wyjechać lub zostać". Codziennie możemy wybierać solidarność i egoizm. Nie mam wątpliwości, że żyjemy w czasach dżumy, że mieszkamy w Oranie. Ostatnie zdanie tej książki brzmi tak: „…bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika. Może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie. Czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach, i nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście".

Na czym zatem polega solidarność? Ustaliliśmy, że wyrasta z wolności – przymusowa przestaje być solidarnością. Nieważne czy jest to przymus instynktu, nacisk grupy, nie wspominając o przymusie płacenia podatków. Wszystkie czynności wykonywane pod ich wpływem (przymusowe) mają umiarkowany związek z solidarnością. Solidarności nie da się zinstytucjonalizować i wymusić. To może prowadzić do odwrotnych, złych, czasem wręcz (jak w wariancie leninowskim) zbrodniczych skutków. W żadnym razie przymus, nacjonalizacja, siłowe uspołecznienie środków produkcji w imię szczególnych form „sprawiedliwości społecznej" nie są receptami na solidarność. Solidarność musi być intencjonalna. Musi być „z wyboru", bo inaczej jest nieprawdziwa, syntetyczna, tania. Nieuchronnie to, co ma wartość ma też koszt (to nie to samo, co cena). Solidarność też ją ma.

Solidarności nie należy mylić z instynktem (choćby najbardziej bohaterskim) troski o swoich najbliższych. Można powiedzieć, że im bliższe jest powinowactwo w stosunku do tych, których wspieramy, tym trudniej określać akty poświęcenia na ich rzecz mianem solidarności. Solidarność niejako zaczyna się tam, gdzie pojawia się postać Samarytanina. Nie chodzi jednak po prostu o akt opieki, ale specyficzny akt opieki – opieki nad innym, a mówiąc wprost: nad obcym. To bardzo trudne – pozainstynktowne, a może nawet przeciwinstynktowne.

Człowiek w swej trosce o innych „wspina się niejako" od instynktów, które chronią jego samego poprzez zwyczaje, które wyznaczają jego relacje z najbliższymi (rodzina, klan, plemię, nawet naród), aż po wybory, które uznają bliźniego w innym (obcym). Uznając innego, gotowi jesteśmy stawać w jego obronie, dźwigać z nim ciężary, nie pozwalać mu upaść. Takie akty solidarności nie są ani oczywiste, ani częste. Wiele z nich dzieje się w planie indywidualnym, ale zdarzają się też przykłady czytelne – widoczne na poziomie zbiorowym. Zdarzało się np. w Polsce, że górnicy strajkowali niejako „za pielęgniarki", skoro te uznawały, że nie mogą odejść od łóżek pacjentów. To wzbudzało olbrzymi szacunek wielu ludzi w Polsce i za granicą. Podobna logika obowiązywała znacznie wcześniej w przypadku Komitetu Obrony Robotników (w obronie robotników działania podjęła garstka ludzi spoza tego środowiska – upominając się o ich prawa). Jeszcze wcześniej – w 1956 roku – Polacy masowo oddawali krew na rzecz Węgrów, kiedy na ich ulicach pojawiły się ruskie czołgi. To, co łączy te przypadki (i mnóstwo innych), to wszystkie owe akty poświęcenia prowadzone na rzecz grupy innej niż własna. Tu właśnie pojawia się autentyczna solidarność. Do przekraczania kolejnych kręgów konieczne jest czynienie coraz większego użytku z wolności – wraz z nimi coraz bliżsi jesteśmy aktom autentycznej solidarności.

Troska o siebie jest w pewnych przypadkach wywołana przymusem bodźców (np. uchylić się), dzieje się automatycznie, a troska o bliskich wymaga pewnej refleksyjności, ale też w oczywisty sposób jest wynikiem norm i podporządkowania się nim. Dopiero odkrycie innego i obcego jest aktem wolności (czasem wręcz ryzyka).

Tu dotykamy niezwykłej cechy ludzkiej natury, wyłącznie ludzkiej. To także konsekwencja i trudny przywilej bycia wolnym. Tylko człowiek może wyjść poza prosty instynkt lub zwyczaj odpłacania dobrem za dobro i złem za zło. Żadna z tych „wymian" nie wymaga wielkiego wysiłku – sama się napędza i sama sobą się karmi. To dlatego nienawiść i zło bywają nie tylko banalne, ale i w jakimś sensie proste. Są w pewnym sensie bezwysiłkowe, samonarzucające się. Nienawiść karmi się sama. W pewnym sensie (choć tu raczej nas to cieszy) dobro także bardzo często jest odwzajemniane. Ten rodzaj odwzajemnienia agresji – agresją (zemsta), a przysług – przysługą (kooperacja) nie jest nawet specyficznie ludzki. To są skrypty wykształcone ewolucyjnie i w ramach ewolucji racjonalne. To, co jest specyficznie ludzkie (i stanowi obszar wolności), może się wyłamać z tej prostej zasady – „to samo za to samo". Tu także możliwe są dwa warianty i towarzyszą im skrajnie odmienne emocje. Jeden to odpłacenie złem za dobro. To narusza normy i budzi nasze zgorszenie i potępienie. Jest jeszcze ostatnia możliwa „konfiguracja", a mianowicie powstrzymanie się od odpłacenia złem za zło – a zatem odpowiedź w formie dobra. To jest cudowna, specyficznie ludzka zdolność. Choć wprost odwołuje się ona do ewangelicznego nauczania, nie jest w żadnym wypadku zarezerwowana dla chrześcijan. Być może nawet więcej heroizmu wymaga od tych, którzy nie uzyskali jej – jako moralnego nakazu (nie mogą się spodziewać żadnej nagrody) – ale muszą ją niejako wywieść z siebie…

Zwrot ku solidarności – wezwanie do solidarności

Zostawmy rozważania na temat istoty solidarności i jej deficytów. Trzeba je traktować jako osobistą wypowiedź. Może to kwestia złego „zarządzania oczekiwaniami". Może w moim przypadku były one za wysokie. Zapewne znajdą się liczni czytelnicy, którzy widzą sprawy inaczej (w szczególności widzą je „pogodniej"). Sam z chęcią przeczytam ich wersję… Bez względu jednak na to, czy ktoś przejmie się lamentami i postanawia „poprawę", czy też po prostu chce ćwiczyć się w solidarności, musi odpowiedzieć sobie

na pytanie: jak to czynić i w stosunku do kogo? Solidarności (pozwalam sobie użyć liczy mnogiej) mogą być różne. Traktuję je jak rodzaj pomostu rzucanego do innych – jak działanie, które łączy brzegi. Zapytajmy wobec tego, jakie brzegi? Z wielu możliwych wymienię cztery.

Solidarność międzypokoleniowa – powinna być spoiwem i paliwem systemów zabezpieczenia społecznego. Z tym będzie problem. Za długo kolejne pokolenia zadłużały się u kolejnych pokoleń. Istniało domniemanie zgody ze strony tych, którzy przyjdą. Zresztą system ten ma charakter przymusowy i państwowy, więc sformułowanie „solidarność" jest tu stanowczo na wyrost. Żyjemy dłużej, pracować chcemy krócej, żyć chcemy wygodniej. Chcemy też godnie umierać – a właśnie godność umierania może okazać się jednym z zasadniczych wyzwań dla starej Europy. Tu nic nie pomogą drogie procedury medyczne, medykalizacja, robotyzacja opieki, tworzenie coraz większych instytucji opiekuńczych. To wszystko są rozwiązania niejako zastępcze w stosunku do naturalnej (organicznej i autentycznej) troski o najbliższych. Za taką każdy tęskni. To, że dłużej żyjemy to wspaniale, ale ten przedłużony czas to także wyzwanie – nie chodzi tak po prostu o życie, chodzi o życie godne i sensowne. Im bardziej w sensie medycznym potrafimy wydłużać życie, tym większym problemem staje się właśnie długie życie – często samotne i pozbawione nadziei i poczucia sensu. Pieniądze nie rozwiążą tego problemu, tu trzeba – no właśnie – jakiejś autentycznej i obustronnej solidarności między pokoleniami. Niestety nadchodzące pokolenia mogą stosunkowo łatwo unieważnić ten kontrakt i chcieć wyrwać się z niego. Po pierwsze dlatego, że ciężary będą dla nich za duże, a po drugie dlatego, że kontrakt ten został niejako wymuszony. Dopiero wstępujący na rynek pracy będą w wyborach mieć zawsze mniej głosów niż ci, którzy już na nim są lub z niego zeszli. Jest ich po prostu więcej i cały czas nie mogą się zdobyć na to, żeby przestać przerzucać długi na barki tych, którzy nadchodzą. Młodych jest mniej, bo spora ich część jeszcze się nie urodziła albo nie ma jeszcze wieku upoważniającego do głosowania. Decyzje zapadają niejako za nich. Na wiele sposobów mogą uniknąć zobowiązań: w końcu, wywiązując się z nich, musieliby to czynić w imię przekonania, że i na nich ktoś będzie kiedyś pracował – w obecnych czasach „przyśpieszenia"

chyba niewielu jest w stanie uwierzyć w przewidywalność i stabilność takiego systemu. Znajdą inne metody troski o własną przyszłość i znajdą inne metody uniknięcia nałożonych na nich ciężarów.

Solidarność terytorialna – tym razem nie chodzi o kategorie globalne, ale tu i teraz – „nasze" polskie. Kiedy mówimy o tych, którym winni jesteśmy solidarność i troskę, to najczęściej mamy na myśli kategorie społeczne czy demograficzne (ubodzy, bezdomni, sędziwi, chorzy itd.). To do nich adresowane są różne przedsięwzięcia. To ich szanse albo warunki życia chcemy poprawiać. Często jednak znacznie ważniejszą kategorią – rodzajem wyroku – jest to, gdzie urodziliśmy się i mieszkamy. To, co inni dostają niejako w prezencie (ja sam urodziłem się i wychowałem na warszawskim Żoliborzu), inni muszą wywalczyć i wypracować. To taka mniejsza wersja problemu globalnego – frustracja tych, którzy mieszkają na peryferiach, z których nie mogą się wyrwać. Ich marzenia i aspiracje są w dużej mierze takie same, jak tych, którzy mieli szczęście urodzić się w metropolii. Dorastają w miasteczkach i wsiach, z których wyjeżdżają wszyscy ci, którzy mogą. Ci, co zostali kręcą się bez celu, nie mają miejsc, które można uznać za swoje. Brakuje interesujących miejsc, brakuje infrastruktury – transportu, przedszkola, zlikwidowano właśnie gimnazja, wypad do kina to wyprawa. Nie ma kompletnie nic do roboty. Dobra praca to najlepiej taka, w której pracodawcą jest samorząd, ale te miejsca dawno są zajęte przez różnego rodzaju klientów władzy. Ci, którzy mogli wyjechali. W tych, co zostali rośnie gniew, frustracja, upokorzenie, niechęć do innych, poszukiwanie winnych. Czasem pojawi się ktoś, kto wyjaśni złożone kwestie tak prosto, że prościej nie można… Miejsca te wyludniają się, czasem są wręcz „upadłe". Ten problem swoistego uwięzienia dotyczy nie tylko młodych, ale może bardziej dotkliwie – osób starszych i bezradnych. Te osoby zostają tam same, skazane na siebie. Odwiedzałem ostatnio na Podlasiu (ale nie tylko tam) wsie, w których została już tylko garstka mieszkańców, a najmłodszy ma… 70 lat. Nie ma tam żadnej infrastruktury, nie dojeżdża nawet objazdowy sklep. Nie dociera pomoc społeczna, bo to za daleko, a pracownice socjalne nie mają samochodu. Transport publiczny nie istnieje. Na zabieg medyczny trzeba jechać do Białegostoku, ale nawet jeśli autobus pojedzie tam

jednego dnia, to wraca dopiero następnego… Tam starzy ludzie umierają powoli w bólu, samotności, bez nadziei. Tak, to jest polskie „Jądro Ciemności". Wcale nie trzeba jechać do Kongo. Piszę o tym dlatego, że są to miejsca domagające się naszej solidarności. Dlaczego o nich zapominamy? Przecież są to w pewnym sensie tereny misyjne. Dlaczego miasta wysysają z nich wszystko? Dlaczego tak mało osób tam wraca? Dlaczego dotychczas nie powstał (mimo prób) Polski Korpus Pokoju, który byłby w stanie mobilizować ludzi (np. po studiach, może na emeryturze), którzy byliby w stanie przyjeżdżać i tymczasowo pracować w takich miejscach (np. pomagać w opiece, pielęgnować, uczyć, organizować zdarzenia kulturalne itd.). To byłyby autentyczne dowody solidarności i ważne, bo formujące życiowe doświadczenie. Taki pomysł 25 lat temu (wzorowany na amerykańskim Korpusie Pokoju miał Jacek Kuroń), później nikt do niego na serio nie wrócił…

Solidarność globalna – Polska czuje się w dużej mierze zwolniona z globalnej odpowiedzialności. Nie chodzi tylko o węgiel. Czujemy się zwolnieni z realnej odpowiedzialności za planetę. Tak zwane cele zrównoważonego rozwoju przyjęte przez ONZ jakby nas nie dotyczyły. Nie znajdziemy ich np. w uchwalonym przez obecną ekipę rządzącą zasadniczym dokumencie, który miał programować średniookresową strategię rozwoju kraju – *Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do roku 2020*. Dokument ten, owszem, zawiera motto zaczerpnięte z Józefa Piłsudskiego: „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale", a jej głównym celem jest „Tworzenie warunków dla wzrostu dochodów mieszkańców Polski". Bardzo skąpo traktuje jednak kwestie globalne i naszą za nie odpowiedzialność. Polska, kiedy chce prężyć muskuły, przypomina, że jest potężną gospodarką. Niedawno rządowy ośrodek analityczny Polski Instytut Ekonomiczny zapowiedział, że Polska ma szansę stać się jednym z 20 najbogatszych państw świata w ciągu najbliższych 10 lat. Brawo. Nieco kłopotliwe jest to, że w prestiżowym klubie OECD, do którego wraz z Polską należy 29 krajów, Polska pod względem proporcji wydatków na tzw. pomoc rozwojową w stosunku do dochodu narodowego od lat (nie od ostatnich 4 lat, żeby było jasne) zajmuje z zasady albo ostatnie, albo nieomal ostatnie miejsce – obecnie 27. Gdy chodzi o pomoc innym,

chętnie przerzucamy ją na innych. Dopracowaliśmy się też specyficznych definicji pomagania. W oficjalnej propagandzie nie jest prawdą, że Polska nie przyjmuje uchodźców. Wprost przeciwnie, jest liderem w tym względzie, bo pomogła… 2 mln Ukraińców. Ciekawe, co będzie, jak nie będą już chcieli korzystać z naszej „pomocy"?

Polska (w tej sprawie akurat całkowicie zgodna z UE) subsydiuje swoją produkcję rolniczą i instrumentami celnymi utrudnia import żywności z tych krajów, które w globalnym podziale pracy nie mogą wnieść nic innego niż żywność. Kwoty przeznaczane na pomoc dla tych krajów są nikłą częścią wydatków, jakie ponosimy na to, żeby ich towary miały utrudniony dostęp do naszego rynku. Trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek polityka w Polsce, który miałby odwagę choćby wspomnieć o tym, że być może subsydiowanie rolnictwa, choć miłe na krótką metę dla wyborców, na dłuższą metę ma katastrofalne skutki dla innych. Skoro ograniczamy ich szanse na rozwój i konkurowanie z nami samymi, to jak możemy oczekiwać, że zostaną u siebie, że nie będą szukać schronienia i lepszego życia w bogatej Europie. Pojawią się u bram i w perspektywie historycznej to będzie rodzaj dziejowej sprawiedliwości, skoro tak długo Europa żyła z ich eksploatacji. Nawet gdyby pominąć kwestie historyczne, to i tak w Polsce nie unikniemy tego, co czeka nas w przyszłości. Populacja Nigerii do 2025 roku ma osiągnąć 400 mln osób. To mniej więcej tyle, ile obecnie liczy Europa. Dochód liczony na głowę w Chinach będzie wyższy niż w Europie. Europa starzeje się i wyludnia, i ten brak równowagi demograficznej będzie miał poważne konsekwencje. Kurczą się zasoby nie tylko paliw tradycyjnych, ale piasku i wody. To o nie już obecnie toczy się wiele konfliktów. Zjawiska ekstremalne nasilają się. Docierają także do Polski. Coraz częściej okazuje się, że takich rzeczy „najstarsi Górale nie pamiętają". Tu nic nie pomoże zamykanie granic. Przyroda udzieli nam srogiej lekcji pokory. W tych wszystkich sytuacjach (czasem granicznych) okaże się, która część naszej natury weźmie w nas górę. Czy uruchomi solidarność, czy raczej ucieczkę. Na te sytuacje musimy być gotowi. Wiele przykładów potwierdza fakt, że w dramatycznych sytuacjach (zwłaszcza jeśli mają masową skalę) najważniejsze jest to, czy znasz sąsiada i czy są jacyś ludzie, którzy są gotowi spontanicznie przyjść z pomocą.

Solidarność jako pomost między zwaśnionymi grupami – solidarność jest być może najtrudniejsza w kontekście wymogu działań na rzecz kogoś spoza plemienia. Tym razem chodzi o nasze – „polskie plemiona". To bardzo trudne, bo znacznie trudniej „nosić ciężary" za kogoś, kogo się nie lubi, a może nawet nienawidzi. A jednak może tak się zdarzyć, że będziemy siebie nawzajem potrzebować i to bardzo. To będzie nasz prawdziwy test jako wspólnoty. Różnie może się potoczyć historia. Może spotkają nas sytuacje ekstremalne i nie będzie nawet czasu na to, żeby zapytać, kto na kogo głosował. Jednak już teraz wyrazem naszej solidarności powinno być szukanie jakiegoś pomostu. To nie będzie łatwe. Trzeba szukać siebie nawzajem, budować na tym, co wspólne. Nie unieważniać się nawzajem. Widzieć w sobie ludzi. Nie dać sobą manipulować przez różnego rodzaju szamanów.

Solidarność, oprócz wielu innych, ma też to zastosowanie, że jest rodzajem szczepionki na rozszalały populizm. Nie miejmy złudzeń. Populizm nie jest ani prawicowy, ani lewicowy. Jest jedną z najstarszych i najskuteczniejszych metod manipulacji, której celem jest zdobycie i utrzymanie władzy. Żeby przygotować tę truciznę, trzeba kilku zawsze tych samych składników – poczucie krzywdy, wspomnienie dawnej świetności i koniecznie ktoś „obcy".

Ludzkość przetrwała jako gatunek dlatego, że potrafiła – mówiąc językiem Konrada Lorenza – „zrytualizować wewnątrzgatunkową agresję" (tym samym ograniczyć agresję rzeczywistą i „dosłowną"). Naiwnie jest sądzić, że się przekonamy. Ważne, żebyśmy potrafili żyć z tym, co nas różni. Dobrze znany w Polsce Amos Oz (pisarz, izraelski żołnierz i… działacz pokojowy) sformułował kiedyś doktrynę ruchu pokojowego – napisał, że między zwaśnionymi stronami trzeba nieść pokój, a nie miłość (*make peace not love*). Różnimy się w Polsce bardzo – zostaniemy pewnie przy swoim, ale powinniśmy przynajmniej słyszeć się nawzajem i nie „spychać do morza". Jesteśmy braćmi, siostrami bez względu na różnice… (sformułowanie o braciach i siostrach zapożyczam z listu pożegnalnego Piotra Szczęsnego, który dokonał aktu samospalenia i jemu też dedykuję to, co piszę). To czasem trudne. Konflikt podzielił nas okrutnie. Wdarł się do naszych rodzin. Radykalnie umniejszył radość rodzinnych świąt

w wielu polskich domach. Możemy ich albo unikać, albo wspólnie milczeć na „ten sam temat". Musimy coś z tym zrobić, bo tu dotykamy być może najstraszniejszej przestrogi, jaka powinna nas przebudzić. Swego czasu pisał o niej ks. Tischner – autor małej książeczki, która miała olbrzymi wpływ na piszącego te słowa i tysiące innych ludzi, czyli *Etyki solidarności*. Otóż, przywołuje on znaną nam wszystkim biblijną historię Kaina i Abla. Często nie zwracamy uwagi na to, że mowa o braciach. Ta historia – historia zabójstwa – pokazuje, jak niewiele dzieli braterstwo od bratobójstwa. Pokazuje, jak bracia (!) potrafią się nienawidzić i czynić sobie krzywdę. Pokazuje też, że przyczyną zabójstwa nie jest wcale walka o władzę, o pieniądze, ale zazdrość i potrzeba… uznania. To zresztą także historia bliźniaków Ezawa i Jakuba, i wielu innych. Te historie to wezwanie do opamiętania się – zanim będzie za późno. Czy już jest za późno?

Drabina solidarności – co możemy zrobić?

Codzienna lektura porannej prasy przekonuje nas, że problemy, przed jakimi stoimy jako ludzkość (niekoniecznie jako indywidualne osoby) często mają monstrualny i złożony charakter. Ich natura i ogrom działają jak zachęta do rezygnacji, swoistej abdykacji i jeszcze większej koncentracji na sobie. To rodzaj ucieczki, schowania się w sobie, to podróż w kierunku przeciwnym – niejako „od" a nie „do" solidarności. Taka reakcja może być zresztą zrozumiała. W ciągu ostatnich lat dotarło do nas, że historia wcale się nie skończyła… Mamy jako Polska (sukces Solidarności) pewne zasługi w tym, że taki „optymistyczny" pogląd pojawił się 30 lat temu. Te proroctwa się nie spełniły… Okazało się, że czas nie pracuje na naszą korzyść. Nie wystarczy już czekać, żeby globalnie uznano liberalne demokracje za „nieuchronne". Jest zgoła przeciwnie – pojawiły się alternatywne modele. Europa, USA i przyjęty w nich model liberalnej demokracji traci przewagi zarówno w dziedzinie ekonomii, innowacji czy siły, jak i coraz częściej – moralny mandat do jej używania dla zapewnienia szczególnie rozumianego ładu globalnego. Następują gwałtowne przemiany geopolityczne. Coś się kończy, a nowe jeszcze

się nie pojawiło. Na tej nowej geopolitycznej mapie nie przesuwamy się z centrum na peryferie. Jedno jest jednak pewne: historia się nie kończy, a raczej przyśpiesza i, co gorsza, pojawiają się obawy, że wpadnie w swoisty korkociąg – a to znaczy, że będzie powtarzać się tylko „gorzej". Nie, historia się nie skończyła, pojawiły się natomiast obawy, że może fundamentalnie grozi nam „koniec czasów". W ciągu stosunkowo krótkiego okresu, w którym całkiem naiwnie uznawaliśmy „asymptotyczny postęp" jako oczywisty i oczekiwany, dotarliśmy do momentu, w którym pojawia się myślenie zgoła apokaliptyczne (lęk, beznadzieja, histeria). Ten rodzaj złego przeczucia ma wpływ na nasze zachowania i jak zawsze w tego rodzaju przypadkach może rodzić skrajnie przeciwstawne reakcje – od kompletnego zamknięcia się w sobie i koncentracji wyłącznie na sobie (izolacji, autarkii, wręcz hedonizmu), po rzucenie się w aktywność na rzecz innych, swoiste „nawrócenie", a nawet ewangelizowanie innych. Oczywiście na ogół nasze reakcje wypadają gdzieś „pomiędzy", a w katalogu możliwych reakcji są też zapewne odruchy solidarności.

Powyższe rozważania były prowadzone w perspektywie personalistycznej, w perspektywie indywidualnych wyborów i osobistej odpowiedzialności. Jeśli przyjmiemy, że solidarność jest szczególną formą korzystania z osobistej wolności, inne rozwiązanie nie jest właściwie możliwe. Nasze zaniechania dotyczące solidarności, tak jak postanowienie zmiany (poprawy), mają znaczenie na osobistym (molekularnym) poziomie (choć wcale nie muszą się tam kończyć). Solidarność jest w pewnym sensie stopniowalna. Warto zacząć od czegoś małego. Najważniejsze – ów pierwszy krok – to nieobojętność. To jednak tylko początek. Solidarność to jednak więcej niż intencja i gotowość (potencjalność), to forma działania (aktualność).

Żyjemy w czasach, kiedy bardzo dużo naszych działań to forma spektaklu. Wielu może uznać, że gestem solidarności jest kliknięcie w Internecie, zmiana tła zdjęcia profilowego, czy choćby wzruszenie i współczucie, jakie odczuwamy oglądając np. filmy czy kampanie opisujące problemy, a czasem tragedie innych. Często jednak te sytuacje niestety nie prowadzą nigdzie dalej – są czymś w rodzaju działań zastępczych. Nie są gestami solidarności, ale raczej jej atrapami. Przyswajamy je jak szczególny element naszej emocjonalnej diety. Nasze wzruszenie czy poruszenie to

stanowczo za mało. Nie potrwa dłużej niż czas do kolejnego wzruszenia, a każde kolejne musi być silniejsze od poprzedniego, żeby zwrócić naszą uwagę. Często nasz próg emocji jest rozkalibrowany i nie uruchamiają go „zwykłe" sprawy wokół nas. Czasem jesteśmy tak „zatroskani", ale też sparaliżowani ogromem problemów świata, że nie zauważamy tych, które są obok nas i z którymi moglibyśmy się skutecznie mierzyć.

Sposoby praktykowania solidarności mogą być różne. Z pewnością nikt nie ma aż tak mało, żeby nie mógł wesprzeć innych, szczególnie wziąwszy pod uwagę fakt, że solidarność rozumiana jako odruch moralny nie jest mierzona zasobami materialnymi. Owszem, wyrazem solidarności może być np. przekazywanie pieniędzy, ale to wymaga spełnienia niejako dodatkowych warunków. W porównaniu z innymi krajami w Polsce skala filantropii rozumianej finansowo jest bardzo nikła – zarówno jeśli chodzi o osoby indywidualne, jak i firmy. Jest tu sporo do zrobienia. Warto wybrać sobie jakiś cel i możliwie regularnie wspierać go. Naprawdę jest z czego wybierać, a od strony technicznej jest to łatwiejsze niż kiedykolwiek. Mało osób korzysta z tej możliwości i to mimo tego, że istnieją w Polsce szczodre zachęty do filantropii. Paradoksalnie, sytuację skomplikowało wprowadzenie odpisu 1% PIT. Został całkiem niesłusznie uznany za filantropię, choć w istocie nie ma z nią nic wspólnego. Kilkanaście milionów osób wypełniając co roku PIT, może poczuć się „spełnionymi" w swych filantropijnych zobowiązaniach, a co za tym idzie – niejako zwolnionych z innych form zaangażowania. Szkoda. Pewną pociechą może być fakt, że w autentycznej solidarności najmniej chodzi o pieniądze. One są niejako zastępcze. Często nie są rozwiązaniem, ale raczej problemem. Bardzo wielu deficytów solidarności nie da się uzupełnić pieniędzmi (np. problem samotności, poczucia zbędności itd.). W tym zresztą kontekście warto zwrócić uwagę na fakt, że często całkiem opacznie używamy pojęcia filantropii (oznacza ono w oryginalnym znaczeniu umiłowanie człowieka), a to jednak nie to samo, co przekazywanie pieniędzy. Łatwo przywołać przykłady, w których właśnie przekazanie pieniędzy jest w istocie antyfilantropią (mizantropią). Dzieje się tak wtedy, kiedy przekazanie pieniędzy jest formą swoistego wykupu i pozbycia się problemu. Solidarność to często w pewnym sensie mniej, bo to nie pieniądze (np. czas poświęcany

innym osobom), ale czasami to znacznie więcej, bo waluta, jaką jest czas i uwaga jest znacznie cenniejsza – każdy z nas ma jej w zasadzie tyle samo. Dotyczy to w szczególności sytuacji solidarności praktykowanej osobiście i bezpośrednio. Często opiera się ona o pożyteczne mikronawyki – o solidarność codzienną, a w każdym razie regularną. Dobrym przykładem może być krwiodawstwo (niestety liczba krwiodawców w Polsce spada). Takie mikronawyki mogą też dotyczyć całkiem codziennych kwestii i towarzyszących im wyborów. To może dotyczyć np. modelu konsumpcji, segregowania śmieci, odpowiedzialnych zakupów itd. Coraz częściej opowiadamy się za wartościami „głosując pieniędzmi". To jeden z najsilniejszych instrumentów.

W Polsce dominuje model solidarności i dobroczynności odświętnej. Wciągają nas akcje, czasem jednorazowe kampanie, sytuacje dramatyczne i nieprzewidywalne. Jesteśmy bez przerwy „atakowani" różnego rodzaju apelami i prośbami o pomoc. Tak wiele spraw rywalizuje o naszą uwagę, że tu także zaczął działać specyficzny… rynek.

Wychodząc poza indywidualne działania i szukając szans na większy wpływ naszych działań solidarnościowych, popatrzmy na rolę, jaką mogą odgrywać organizacje pozarządowe. Wiele z nich powstało dokładnie z taką intencją. Są dobrowolne, więc spełniają kryteria autentycznej solidarności. Są ich w Polsce tysiące. Zanim założymy własną (nie jest to łatwe), warto poznać te, które już istnieją. Od dawna borykają się one z jednym podstawowym problemem – no właśnie – brakiem osób gotowych do bezinteresownego zaangażowania. To brzmi jak zaproszenie dla poszukiwaczy okazji do solidarności. Wiele z organizacji cierpi na brak wolontariuszy (statystyki zaangażowania w wolontariat wyglądają w Polsce żałośnie). Intencją tego tekstu nie jest dostarczanie praktycznych porad – wystarczy powiedzieć, że w tej dziedzinie przez ostatnie 30 lat powstało szereg instytucji, których celem jest tworzenie warunków do zaangażowania dla każdego, kto ma takie intencje. Dogodnym punktem startowym jest portal www.ngo.pl.

To nie koniec wspinaczki na drabinie solidarności. Jest jeszcze jeden element – organizm, instytucja, która jest w zasięgu nas wszystkich. Chodzi o miasto. Tak – miasto. Miasta mają wyjątkowe znaczenie. Tworzą

widnokrąg naszego codziennego życia. Są dość duże i silne, mają wpływ na wielu ludzi. Sposób ich urządzenia może być mniej lub bardziej solidarny. Ostatnio miasta zwykło się oznaczać różnymi przymiotnikami, np. SMART. Zupełnie mi to nie imponuje… Znacznie ważniejszym walorem jest otwartość czy solidarność. Miasta mogą być solidarne (tak jak mogą nimi nie być). Mogą dobrze troszczyć się o swoich mieszkańców – nie zostawiać nikogo „w tyle". Mogą pielęgnować otwartość i troskę o potrzebujących. Mogą opuszczać mosty, a nie budować mury. Mogą widzieć różnorodność jako źródło siły i bezpieczeństwa, a nie słabości. Mogą włączać mieszkańców w zarządzanie. Mogą dawać im sprawczość. Mogą naprawdę wiele… a wpływ na to, jakie są nie przekracza naszych możliwości. Miasta są naszym „punktem podparcia" w zmienianiu świata na lepsze. Takie miasto tworzył ŚP. PAWEŁ ADAMOWICZ. O takim marzył.

Miasta mają absolutnie kluczowe znaczenie dla sposobu urządzenia współczesnego świata. Ich znaczenie będzie wzrastać. Nie wiem, czy rzeczywiście burmistrzowie będą „rządzić światem", ale gdyby tak miało być – znałem przynajmniej jednego, który dobrze by się do tego nadawał…

Cezary Obracht-Prondzyński

Solidarność terytorialna i międzypokoleniowa: test dla demokracji i wyzwanie rozwojowe

Przyzwyczailiśmy się do myślenia o solidarności w wymiarze osobowym – jako pewnym typie relacji między jednostkami czy grupami społecznymi. Mówimy o solidarności międzypokoleniowej, o ważnej – a dziś w Polsce bardzo słabo obecnej – solidarności między różnymi grupami zawodowymi, czy też o tym, jak istotne jest okazywanie solidarności z ofiarami reżimów, wojen, kataklizmów naturalnych itd. Solidarność w takim wypadku staje się sprawdzianem naszej wrażliwości, empatii, ale też obywatelskiej postawy, a niekiedy wręcz człowieczeństwa.

Dziś być może coraz ważniejsza staje się jeszcze jedna relacja – solidarność terytorialna. Dotyka ona przede wszystkim stosunków między centrum a peryferiami. Za te pierwsze uważa się we współczesnym świecie głównie wielkie metropolie. Te drugie to wszystko to, co poza nimi. Rzecz jest jednak o wiele bardziej złożona i wielostopniowa, co musi rzutować na nasze postawy, poglądy, aktywność. Da się sformułować kilka stwierdzeń, z których część jest oczywista, część być może banalna, a niektóre paradoksalne.

Mówiąc o terytorialności, musimy uwzględniać różną skalę przestrzenną, zaczynając od otoczenia najbliższego. Ograniczając się tylko do realiów Polski, dość łatwo można zauważyć, że nawet w wymiarze powiatowym widać istniejące centra, od których odstają peryferie, czyli daleko położone gminy, miejscowości, przysiółki. Jedną z trwałych cech relacji centrum-peryferie jest ucieczka ludzi z obszarów mniej atrakcyjnych. I widzimy to także w wielu miejscach Polski powiatowej. Miasteczka

jeszcze się trzymają, są lokalnymi biegunami wzrostu, ale wsie, zwłaszcza te źle skomunikowane, po prostu się wyludniają i starzeją.

Podobny proces widać także w wielu regionach, gdzie główne ośrodki rosną „kosztem" prowincji. Przekłada się to na efekt w skali ogólnopolskiej – metropolie i obszary wokół nich dynamizują się, podczas gdy peryferie nader często popadają w stagnację.

To wszystko nie kończy jednak dyskusji o problemie. Bo przecież wiemy, jak mocno zróżnicowana jest Europa i jak trudno „wskoczyć" do centrum rozwojowego regionom, które przez setki lat miały status peryferyjny. Jednocześnie dyskutujemy o procesie peryferyzacji całej Europy w globalnym wyścigu ku lepszej przyszłości. Nie mówiąc już o trudnym i być może nierozwiązywalnym problemie relacji między „bogatą Północną" i biednym globalnym Południem.

Uwzględniając powyższe, można powiedzieć, że każde centrum jest peryferyjne – zależy to tylko od kontekstu i perspektywy. Niekiedy w obrębie samej metropolii, najbliżej jej rdzenia, istnieją obszary i środowiska skrajnie zmarginalizowane i zapomniane. Współczesne realia głównych ośrodków światowych dają aż nazbyt wiele przykładów.

Drugie więc twierdzenie mówi, że kluczowy dla naszej przyszłości będzie nie tylko (a może nawet nie tyle) rozwój ośrodków i regionów centralnych, lecz także (przede wszystkim?) to, co stanie się z peryferiami. I nie dotyczy to wyłącznie funkcjonowania gospodarki, czy nawet przekształceń społecznych (migracje, demografia, nierówności społeczne itd.). Być może najistotniejsze będą sprawy klimatu.

Jednak pytanie o peryferie i ich przyszłość zderza się natychmiast z kwestiami demograficznymi i w ten sposób problematyczność solidarności terytorialnej krzyżuje się z dylematem solidarności międzypokoleniowej. Wszystkie badania i dane statystyczne pokazują, że Europa i Polska starzeją się w tempie, o którym jeszcze jedno, dwa pokolenia wstecz nawet byśmy nie pomyśleli. Rzecz jednak w tym, że owo starzenie i towarzyszące mu zmiany nie następują równomiernie. Są one głęboko zróżnicowane przestrzennie, przy czym widać to w zasadzie w każdej skali – od małej gminy aż po wymiar kontynentalny. Starzeją się również metropolie, co jest bardzo wyraźne w Polsce, ale

także nierównomiernie. Generalnie jednak ich sytuacja jest znacząco lepsza niż peryferii.

Dlatego też – bardzo mocno upraszczając i trywializując – można dylemat, o którym tu mowa przedstawić następująco: dochodzi do coraz silniejszego napięcia między (ciągle) młodymi metropoliami (prężnymi demograficznie, bo zasilanymi ludźmi napływającymi z peryferii), w których żyje się lepiej, a w każdym razie dostatniej, a „starzejącymi się" peryferiami, w których jakość życia systematycznie się pogarsza (przynajmniej relatywnie w stosunku do metropolii; znany jest paradoks, który określa się mianem: rozwój w warunkach rosnącego zacofania, czyli my na peryferiach także się rozwijamy, ale metropolie znacząco szybciej – więc dystans rośnie).

Skutki mogą być dla obszarów peryferyjnych dramatyczne. Znowu upraszczając, można wskazać, że w realiach Polski odpływ młodych ludzi do metropolii (tych krajowych, ale bardzo często także tych zagranicznych) skutkuje pozostaniem na miejscu starzejącej się populacji. To zaś oznacza, że kurczy się, brzydko mówiąc, baza podatkowa, co przekłada się na finanse samorządów, które są zobowiązane i zmuszone do tego, aby rozbudowywać świadczenia i usługi społeczne. To z kolei pochłania środki inwestycyjne, rozwojowe, a skoro nie ma szansy na intensywniejszy rozwój, to młodzi nie widzą dla siebie szansy. I wyjeżdżają w poszukiwaniu dobrego miejsca do życia. Błędne koło się zamyka.

Choć jest to duże uproszczenie, to jednak w rzeczywistości takie procesy możemy zaobserwować w bardzo wielu miejscach w Polsce. Ale ich dynamika dopiero zaczyna rosnąć. Tak naprawdę skutki demograficznego tornado są jeszcze przed nami i objawią się z całą mocą, gdy (już wkrótce) pokolenia powojennego wyżu zaczną odchodzić na emeryturę, a następnie starzeć się i coraz bardziej niedołężnieć. Kto będzie się nimi opiekował, skoro młodych na miejscu nie będzie (a u nas dotychczas opieka senioralna jest póki co głównie na barkach rodzin)? Samorządy? Tylko skąd wezmą na to środki? Więc może państwo? Ale czy ktokolwiek o tym realnie myśli i przygotowuje się do tego infrastrukturalnie i kadrowo?

Załóżmy jednak, że świadomość tego problemu stanie się bardziej powszechna i zaczną z niej wynikać realnie podejmowane działania, np.

różnego rodzaju transfery finansowe zaczną w jeszcze szerszym zakresie trafiać do gmin, powiatów i być może województw, które w szczególny sposób zostaną dotknięte demograficzną zapaścią. Pojawią się jednak od razu dwa kluczowe problemy ściśle związane z solidarnością terytorialną i międzypokoleniową. Pierwszy będzie polegał (być może) na silnym oporze przeciwko transferowaniu przez państwo środków z regionów bogatszych do uboższych. To już się w Polsce dzieje, ale szczególnie w innych krajach europejskich. Zaczyna to być jedną z bardziej wyrazistych osi sporu politycznego, nie tylko w Hiszpanii (Katalonia i Baskowie protestują przeciwko „grabieniu" ich i dofinansowywaniu np. ubogiej Estremadury), czy też we Włoszech, gdzie kluczowa dziś siła polityczna (Liga) wyrosła na buncie przeciwko wiecznemu wspieraniu „biednego Południa". Widać to było także w Wielkiej Brytanii w czasie dyskusji brexitowych (Londyn przeciwko Anglii, zwłaszcza uboższym obszarom „poprzemysłowym"), ale przykładów można podawać więcej. Szczególnym zaś przypadkiem są Niemcy i tereny byłej NRD, dokąd trafiły niespotykane nigdzie indziej środki rozwojowe, które wpłynęły na ogromną poprawę jakości i poziomu życia przy zachowaniu silnego poczucia, jeśli nie krzywdy, to na pewno braku satysfakcji, że „nie żyjemy jak na Zachodzie".

Dodatkowym kontekstem jest i to, że w większości krajów „ubogich jest więcej", co oznacza, że sfrustrowana swoją sytuacją prowincja może zostać zmobilizowana i w konsekwencji, przy użyciu mechanizmu demokratycznego, skutecznie przegłosować „tych bogatszych", oczekując, że następnie siły polityczne, które poparła, przy wykorzystaniu aparatu państwowego, doprowadzą do „korekty bogactwa". Czyli mówiąc wprost – dokonają odpowiednich transferów finansowych do regionów słabszych, np. realizując spektakularne inwestycje.

Nie trzeba teoretyzować, wystarczy przywołać memy krążące po kolejnych wygranych przez PiS wyborach – wskazujące na to, która część Polski pracuje, a która konsumuje (i kto w niej odniósł sukces). Oczywiście, odnosząc się do rzeczywistych wymiarów zróżnicowania przestrzennego, łatwo można wykazać, że nie ma prostych zależności. Jednak nie chodzi przecież o subtelne i pogłębione analizy makroekonomiczne, ale raczej o grę skojarzeń, odwoływanie się do stereotypów, często uprzedzeń typu:

północ i zachód pracuje, rząd je „czesze" i transferuje środki na wschód. Albo inny wariant: metropolie dają dochody, które są przez rząd zabierane i transferowane „na prowincję", która następnie wybiera ten rząd, aby nadal zabierał jednym, a dawał drugim. Takie „kalki" są chętnie wykorzystywane w debacie publicznej i służą politycznej mobilizacji. W istocie jednak dotykają bardzo poważnego problemu, czyli właśnie solidarności terytorialnej, przy czym nie zawsze jest to kwestia samych transferów w postaci pomocy rozwojowej, ile raczej zaufania do państwa, że robi to efektywnie i jest w swoim działaniu sprawiedliwe.

Ale jest też drugi wymiar, który dotyka solidarności międzypokoleniowej. Zmiana demograficzna oznacza, że pojawiają się (lub za chwilę się pojawią) społeczeństwa, w których pozycję dominującą (statystycznie) będą miały osoby starsze. A dzisiaj (na pewno zaś jutro) nie są to osoby pasywne, wycofane, które nie potrafią zdefiniować własnych interesów grupowych. Wręcz przeciwnie, seniorzy stają się coraz istotniejszą grupą elektoratu, która ma swoje interesy i potrafi się zmobilizować do ich ochrony. Politycy nie mogą tego lekceważyć, co musi przełożyć się na decyzje dotyczące polityki rozwojowej. Upraszczając i posługując się być może niesprawiedliwym stereotypem, znowu można powiedzieć, że politycy i urzędnicy, odpowiedzialni za realizację programów rozwojowych, w sytuacji permanentnego niedostatku środków stają przed dylematem: tworzyć żłobki (szerzej – infrastrukturę dla młodych), czy raczej domy pogodnej starości (szerzej – infrastrukturę dla seniorów)? Oczywiście najlepsza odpowiedź brzmi: i jedno, i drugie. Ale trzeba pamiętać o sytuacji opisanej powyżej: baza podatkowa się kurczy i dochody rzadko dają taki luksus, aby nie trzeba było dokonywać wyborów. Młodych jest coraz mniej i rzadziej chodzą na wybory. Więc ryzyko braku wsparcia dla nich jest politycznie mniejsze. Seniorów zaś lekceważyć nie można. Jeśli jednak położymy nacisk na senioralną politykę, to młodzi… zagłosują nogami. Przeniosą się tam, gdzie warunki są bardziej przyjazne, a rosnąca mobilność tylko temu sprzyja. Jeśli tak zrobią, to rynek pracy przeżyje kolejny szok. Skąd więc środki na politykę senioralną? Jeśli jednak wybierzemy „opcję na młodych", to nadal nie mamy gwarancji, że zostaną, bo przecież „światła metropolii" przyciągają, a młodzi szukają zmiany.

Ryzyko jest poważne, bo seniorzy na pewno zgłoszą się z pretensjami o brak należnej uwagi dla ich potrzeb.

Z pewnością realna polityka rozwojowa ma do czynienia z sytuacjami znacznie bardziej złożonymi i niejednoznacznymi, a takie upraszczające opisy mogą być nawet irytujące. Jednak wyostrzenie pewnych opozycji pozwala zwrócić uwagę na fakt, że dwa typy solidarności – terytorialnej i międzypokoleniowej – we współczesnych realiach demograficznych bardzo silnie się łączą. Można nawet dodać do nich jeszcze jeden typ – solidarność klimatyczną. Młodzi protestują przeciwko „zabijaniu planety", ale czy mogą mieć pretensje do ubogiego emeryta, że woli palić węglem (lub czymkolwiek innym), skoro inaczej nie jest w stanie ogrzać mieszkania? Seniorzy z kolei mogą odpowiedzieć: wy młodzi zużywacie wielokrotnie więcej zasobów (np. wody) czy energii niż my, nie mówiąc już o konsumpcji różnego rodzaju dóbr, więc stanowicie na pewno większe obciążenie dla środowiska. I znowu – wcale nie jest to wydumana sytuacja rodem z przysłowiowego „dyskursu akademickiego". Takie spory już dzisiaj toczą się w społecznościach lokalnych i dotyczą zarówno aspektu pokoleniowego, jak i przestrzennego (np. w Krakowie często można usłyszeć opinię, że miasto skutecznie walczy ze smogiem; cóż stąd, skoro otaczające miejscowości nie przykładają się i „eksportują" smog do „krakowskiej niecki").

W kontekście powyższych dylematów być może kluczowym pytaniem staje się rola państwa – lub nieco szerzej: rola władzy publicznej. Czy i jakim instrumentarium może ona dysponować, aby efektywnie realizować politykę równoważenia wymiaru pokoleniowego (demografii) ze zróżnicowaniem przestrzennym? Na ile też nie ulega ona (populistycznej) pokusie łatwego dokonywania „oczywistego rozdzielania dóbr" (im się należy, bo los lub geografia ich skrzywdziła)? To bardzo praktyczne pytania o to, czy warto inwestować środki publiczne (np. w drogi) tam, gdzie, przysłowiowo, „nic nie ma"? Jaka jest efektywność tak wydatkowanych środków i czy jest etyczne, aby je „marnować", podczas gdy np. zainwestowane w metropoliach dałyby znacząco wyższą stopę zwrotu? No tak, ale czy ludzie mieszkający, znowu przysłowiowo – w „czarnych dziurach", mają zostać pominięci i pozbawieni impulsów rozwojowych

pochodzących z zewnątrz? Być może będą one stanowiły czynnik przesądzający o tym, że młodzi aktywni ludzie jednak na miejscu zostaną?

Tyle tylko, że tego typu dylematy należy konfrontować z oczywistym faktem, że biegunami rozwoju współczesnego świata będą metropolie. Wśród kilku trendów kluczowych dla przyszłości właśnie gwałtowną urbanizację i będącą jej „szczytem" metropolizację wymienia się na jednym z pierwszych miejsc. Ale proces metropolizacji i aglomeryzacji przyspiesza. Powstają potężne megalopolis, liczące po kilkadziesiąt milionów mieszkańców, które coraz mocniej wpływają na sytuację świata, mierzą się z jego problemami („gdyby burmistrzowie rządzili"), ale też generują nowe. Solidarność terytorialna każe więc postawić pytanie: czy tak być może, że metropolie zbierają „zysk", ale problemami, które generują (np. ekologiczne, związane z zasobami, energią, wodą, usługami publicznymi) dzielą się z innymi lub wprost na nich je przerzucają?

Jednocześnie metropolie jako światowe centra coraz bardziej się różnicują. Co więcej, mapa „centralności" nie jest dana raz na zawsze. Centra światowe „wędrują" i powoduje to ogromne turbulencje oraz generuje nowe wyzwania. Wiemy już, że europejskie centra straciły globalne znaczenie po II wojnie światowej na rzecz Ameryki. Przyzwyczajamy się do tego, że teraz światowe centra zawędrowały do Azji. Ale zaraz będzie nas czekał niemały szok, gdy okaże się, że w kolejce stoi Afryka. Jaki jednak będzie (już się staje) model metropolitalności „poza-zachodniej"? Czy będzie ona bardziej powściągliwa w korzystaniu z zasobów niż poprzednicy z Europy czy Ameryki? Można wątpić, bo nadal „styl zachodni" jest aspiracyjny. Tyle tylko, że na pewno nie starczy nam dóbr, zwłaszcza naturalnych, na obdzielenie wielomilionowych rzesz nowych mieszkańców „centrum świata" w równiej proporcji w stosunku do dawniejszych. Co więc zrobimy? Oni się powściągną czy my się podzielimy? Na razie nie widać szansy ani na jedno, ani na drugie. A potrzebne są obydwa.

Świat staje się wielocentryczny, a doświadczenia historyczne podpowiadają nam, że to nie jest szczególnie sprzyjająca sytuacja, zwłaszcza gdy zaczyna brakować odpowiedzialnych przywódców. I w tym kontekście pojawia się bardzo istotny wyznacznik, postulat, konieczność: bycie centrum

wymaga kompetencji i wyobraźni oraz niesie ogromną odpowiedzialność. Domaga się terytorialnej solidarności w różnych jej skalach – od lokalnej, po wymiar globalny. Ta odpowiedzialność spoczywa na barkach liderów. Dobrze jest mieć dobrego lidera. Tylko trudno o takich.

Jest to tak ważne, bowiem właściwie wszędzie na świecie widzimy bunt prowincji. Od USA, przez Brazylię, liczne kraje europejskie (choćby Francję), Turcję, ostatnio Rosję, aż po Chiny i inne kraje Azji Południowo-Wschodniej. Przybiera on różne formy i różnie się przejawia. Ale tło jest to samo i podobne cele! Bo oto od skali ściśle lokalnej po wymiar globalny peryferie pytają: dlaczego jesteśmy wyłączeni z korzyści z rozwoju? Stawiają pytania o sprawiedliwy i zrównoważony rozwój, o podział dóbr i jego kryteria, o rosnące zróżnicowanie dochodów, majątków, ale też o dostęp do dóbr coraz bardziej deficytowych (wody, czystego powietrza, energii, edukacji, opieki zdrowotnej, transportu). Żądają podmiotowego traktowania i przede wszystkim bycia słyszalnym. Dopominają się o możliwość uczestnictwa i prawo do sprawstwa. Walczą o możliwość wpływania na bieg spraw – przynajmniej tych dotyczących ich samych. Peryferie chcą dyskutować o godności i solidarności, nawet jeśli wydaje się, że ich poruszenie przybiera destrukcyjny charakter. Trzeba umieć „zajrzeć za fasadę" – słów, gestów, czynów, akcji itd. – i dojrzeć prawdziwe motywacje. Bo oto peryferie na pierwszym planie stawiają kwestie jakości relacji oraz pytają o spójność społeczną i sposoby przeciwdziałania „rozchodzeniu się światów".

Kwestia solidarności terytorialnej nie jest dziś zagadnieniem teoretycznym – przysłowiowymi akademickimi dywagacjami (choć bez solidnej porcji wiedzy niczego sensownego nie da się zrobić). To jest jak najbardziej praktyczne wyzwanie społeczne, kulturowe, ekonomiczne i wreszcie polityczne. Gdy bowiem prowincjusze (zwłaszcza ci młodzi, mający duże aspiracje, które są zablokowane) nie znajdują możliwości artykułowania swych potrzeb i nie zyskują satysfakcjonujących odpowiedzi w ramach modelu demokratycznego, rośnie w nich skłonność, aby z niego zrezygnować. Szukają innych ofert… A one są – na rynku idei oraz w arsenale narzędzi politycznych jest aż nazbyt wiele ofert i ludzi skłonnych do ich realizacji, a wówczas robi się bardzo nieprzyjemnie.

Nie można jednak iść na łatwiznę i potępiać „grup peryferyjnych" za to, że wybierają rozwiązania niedemokratyczne. Po pierwsze, niczego to nie rozwiązuje, a tylko utwierdza w nich przekonanie, że faktycznie przez „tych z centrum" są uznawani za gorszych. I tym bardziej trwają przy rozwiązaniach politycznych, które niekiedy są dla nich samych bardzo szkodliwe. Po drugie, czyni to nas w gruncie rzeczy bezradnymi względem kluczowych wyzwań rozwojowych, bo żeby sobie z nimi poradzić, trzeba zmobilizować wszystkie zasoby. Inaczej mówiąc, bez peryferii nie uda się nam rozwiązać ani problemów klimatycznych, ani demograficznych, ani ekonomicznych, o politycznych już nie wspominając. Tak samo można powiedzieć: bez młodych i bez udzielenia im prawa do decydowania o przyszłości będzie ona trudna do wyobrażenia, zwłaszcza jeśli nie nauczymy młodych odpowiedzialności za siebie i innych!

Stąd konieczność słuchania głosów płynących z prowincji – tych nam bliskich i tych globalnych, pamiętając, że i my jesteśmy peryferiami, które domagają się zauważenia i uznania.

Problem bowiem w tym, że mamy do czynienia z pogłębiającymi się pęknięciami. Powtórzę: od wymiaru globalnego, po mikroświaty społeczne oraz między poszczególnymi pokoleniami. A także z rosnącą złożonością świata społecznego, co powoduje, że tu nie ma i nie będzie prostych odpowiedzi, jednoznacznych dyrektyw i natychmiastowych efektów.

Pęknięcia te – widoczne także w naszych regionach i w skali całej Polski – stawiają przed nami poważne pytania o skalę, przyczyny oraz skutki wycofania i wykluczenia społecznego, o balans między pasywnością i aktywnością społeczną, o powody niskiego stopnia uobywatelnienia (zwłaszcza wśród młodych), o efekty dysproporcji ekonomicznych i izolacji przestrzennej związanej z brakiem transportu publicznego, o to, co przyniosą nam zmiany klimatyczne i jak różnie uderzą one w poszczególne regiony, czy też grupy społeczne.

Przykłady można mnożyć. Wyzwań jest wiele i wiążą się one choćby z tym, że wcale nie zmniejszają się dysproporcje pomiędzy regionami w Polsce, a w niektórych wymiarach wręcz rosną (zmiany demograficzne będą to jeszcze wyostrzać). Różne jest też oddziaływanie metropolii na ich najbliższe otoczenie. Nie brakuje sytuacji, gdy one nie tylko „eksportują"

bądź „delegują" do peryferii koszty swojego rozwoju, ale jeszcze dodatkowo „wysysają" prowincję z zasobów rozwojowych (od dóbr naturalnych, po młodych ludzi). Także w skali Polski widzimy więc, że metropolie nie chcą dzielić się korzyściami, natomiast chętnie dzielą się kosztami rozwoju. Tyle tylko, że prowincje coraz częściej nie zgadzają się na taki model, szukając odpowiedzi na zaistniałą sytuację. Przyglądając się sytuacji w różnych zakątkach świata, widać, że tymi odpowiedziami są: migracje, protesty i bunty, populizm, ale też terroryzm i wojny. Zdecydowanie lepiej byłoby jednak, gdyby odpowiedzi wypływały z obywatelskiej i politycznej aktywności, samoorganizacji i ekonomicznej mobilizacji, polegały na szukaniu alternatywnych modeli rozwoju, determinacji w ochronie zasobów itd.

Solidarność terytorialna i międzypokoleniowa muszą być wzmacniane i budowane niejako „z dwóch końców" jednocześnie. Jednym z nich jest odpowiednia polityka publiczna. I to, co oczywiste – od wymiaru lokalnego, po globalny. Nie można być przy tym naiwnym i sądzić, że wszędzie będzie się żyło tak samo, bo to niemożliwe (a i ludzie nie chcieliby żyć wedle jednej normy i standardu). Liczą się jednak – zwłaszcza w przypadku młodych ludzi – szanse życiowe, jakość usług publicznych, dostęp do podstawowych dóbr, szacunek dla różnych stylów życia (na co młodzi są szczególnie wyczuleni) itd. W tym sensie starania o rozwijanie solidarności terytorialnej są nie tylko wyzwaniem i normą pragmatyczną dotyczącą decyzji politycznych, finansowych, prawnych, inwestycji itd., ale także normą etyczną dotykającą uznania podmiotowości, szacunku dla odmienności, prawa do realizacji własnego systemu wartości, ochrony przed zewnętrznymi uzurpacjami i narzucaniem stylów życia.

Znalezienie odpowiedniego balansu między zachowaniem dawnych wartości a prawem do rozwoju, między tradycją a innowacją, między możliwościami a aspiracjami jest niezwykle trudne. Stale w realiach życia społecznego granice są negocjowane, ale w wielu miejscach pojawia się protest, bowiem to, co niektórzy określają „negocjacją", inni odbierają jako „narzucanie", które podważa ich tożsamość. Można ten dylemat przedstawić jeszcze inaczej – w środowiskach peryferyjnych często pojawia się pytanie, jak zrobić, abyśmy mogli żyć równie dobrze, dostatnio

i beztrosko jak w centrach świata, ale jednocześnie nie zatracając swojej specyfiki i nie upodabniając się do tych, na których się wzorujemy i którym zazdrościmy?

Tyle tylko, że takie wyobrażenie o centrach świata bywa – zwłaszcza dzisiaj – z gruntu fałszywe. Na peryferiach marzy się o beztroskim życiu w „centrum", które wcale beztroskie nie jest. Tak oto wzmacnianie solidarności terytorialnej zderza się z nieuchwytną, ale kluczową sferą wyobrażeń i sądów, jednocześnie uprzedzeń i stereotypów oraz wzajemnych żalów i podziwu. Wystarczy przeanalizować polską debatę publiczną, aby przekonać się, jak silnie te wątki są w niej obecne. Co zresztą sprawia, że umykają nam podstawowe kwestie – łatwiej wszak epitetować się wzajemnie niż zmierzyć z realnym problemem pogłębiających się dysproporcji w jakości życia (tak w wymiarze terytorialnym, jak i międzypokoleniowym).

Polityka publiczna jest więc niezbędna do tego, aby móc wzmacniać solidarność terytorialną i pokoleniową, zwłaszcza w obliczu wyzwań klimatycznych. Tego się nie da zrobić wyłącznie przy pomocy „regulatora rynkowego" czy oddolnej samoorganizacji. Ale jednocześnie ta samoorganizacja jest właśnie „drugim końcem" – niezbędnym dla wzmacniania spójności terytorialnej. Problemem jednak jest to, że w realiach Polski – a opieram się tutaj na własnym doświadczeniu, obserwacjach oraz badaniach – trzeba naprawdę bardzo dużej determinacji, aby być aktywnym społecznie! Instytucje (a wiemy, co się z nimi dzieje aktualnie), ich procedury, ale też „mentalne podstawy", czyli funkcjonujący w nich ludzie, nader często wcale nie ułatwiają aktywizowania obywateli, a wręcz zachęcają do wycofania (zarządzając strachem, generując niepewność, tworząc niejasne przepisy, nie przestrzegając procedur itd. itd.).

Przed każdym z nas, kto jest zaangażowany w sprawy publiczne, stoi więc wyzwanie i zadanie obniżania barier aktywności, bo bez niej trudno będzie mówić o wyrównywaniu dysproporcji terytorialnych. Niektórzy mają nadzieję, że to się uda poprzez politykę centralizacji – na zasadzie: „rząd o nas nie zapomni, Warszawa nam pomoże". Takie pokusy rodzą się także po stronie tych, którzy władzę sprawują. Tyle tylko, że historyczne doświadczenie oraz obserwacja realiów współczesnego świata każą nam

być wielce sceptycznymi. Centralizm nie tylko nie likwiduje dysproporcji, ale wręcz je pogłębia, zwłaszcza tam, gdzie nie mamy do czynienia z silnymi i niezależnymi strukturami państwowymi zdolnymi do realizacji długofalowych polityk rozwoju. W polskich realiach od razu skazani jesteśmy na uznaniowość i arbitralność politycznych decyzji, będących efektem kalkulacji i środowiskowych przetargów. Nie daje to szansy na wzmocnienie terytorialnej solidarności. A wręcz przeciwnie – generuje wielu niezadowolonych i sfrustrowanych, co prowadzi do niechęci, a niekiedy wręcz wrogości względem państwa. To bardzo nierozsądna ścieżka rozwoju.

Jedno jest więc pewne: myśląc o solidarności terytorialnej, o relacji między centrami a peryferiami, o roli metropolii i prowincji, musimy przemyśleć i przemodelować scenariusze oraz mechanizmy rozwoju. Toczy się dziś – w cieniu medialnych przekazów, nagłaśniających głównie negatywne zjawiska – bardzo ważna i gorąca dyskusja nad tym, jaki ma być model rozwoju, tak w wymiarze globalnym, jak i w Europie, w Polsce, czy też w naszych regionach. Kluczowe znaczenie mają przy tym zmiany technologiczne, których skali i skutków nawet nie jesteśmy w stanie sobie obecnie wyobrazić. Do tego dochodzą również trendy demograficzne, a zwłaszcza wyzwania klimatyczne.

Można w tym kontekście ulec pokusie i powiedzieć: ok., ale my tutaj sobie cicho siedzimy i nas to wszystko nie dotyczy. Niestety lub „stety" – nikt nas nie zwolni z obowiązku myślenia globalnego i działania lokalnego. Czy chcemy czy nie, jesteśmy zarazem peryferiami i centrum. Aspirujemy też do odgrywania coraz większej roli ekonomicznej, społecznej, kulturowej i politycznej. To zaś oznacza, że musimy brać odpowiedzialność. Być może też na tym polega kluczowy mechanizm solidarności terytorialnej, międzypokoleniowej, klimatycznej i wszelkiej innej: trzeba brać odpowiedzialność nie tylko za najbliższe otoczenie, ale także za regiony i ludzi bardzo od nas odległych. Nie tylko za dzisiaj, ale też za przyszłość, bo młode pokolenie z wyrzutem już teraz mówi nam: kradniecie nam nasze życie. Nie da się więc solidarności terytorialnej oddzielić od tej międzypokoleniowej czy solidarności między grupami zawodowymi.

Aby tak się stało, powinniśmy realistycznie podchodzić do naszych rosnących możliwości, uczyć się coraz lepiej korzystać z dostępnych narzędzi i zasobów, ale przede wszystkim świadomie wybierać scenariusze rozwoju, kształtując wokół siebie zdrową sferę publiczną. To zaś powinno opierać się na kluczowych wartościach: wolności, równości, obywatelskości, demokracji, podmiotowości i godności. Wszystkie one spotykają się z solidarnością – oby jak najczęściej w naszych codziennych praktykach.

Jerzy Hausner, Hubert Izdebski

Prawo do jakości życia i rozwoju

Wprowadzenie

Nasze rozważania na temat prawa do jakości życia i rozwoju chcemy umieścić w nurcie ekonomii wartości, który w Polsce jest pobudzany przez ruch Open Eyes Economy. Fundamentem ekonomii wartości (Hausner 2019) jest rozróżnienie wartości egzystencjalnych i instrumentalnych.

Wartości egzystencjalne są źródłem społecznego dobra (*bonum commune, common weal*) i w nim się urzeczywistniają. Tego dobra nie można zawłaszczyć. Istnieje w społecznej przestrzeni, bo jest wspólnotowe z natury, składając się na kapitał społeczny (Schultz 2016). Przyjmuje różne formy. Jedną z nich jest zaufanie – rozumiane jako uogólniana ufność pokładana w innych, ufność w to, że ludzie są generalnie dobrzy i warto się na nich otworzyć, że spotykając innych i nawiązując z nimi określone relacje, zyskujemy różne możliwości działania i rozwoju (Hardin 2009). Dobra nie można magazynować i przechowywać. Nie ma ono materialnego nośnika – jego nośnikiem są ludzkie relacje.

Wartości instrumentalne są źródłem dóbr (*goods*). W nich się urzeczywistniają. Dobra nie muszą mieć czysto materialnej natury, ale potrzebują materialnego nośnika. Przez to mogą być – jako zasoby – gromadzone, magazynowane i zawłaszczane. Organizowanie ludzkiej działalności służy temu, aby efektywnie wytwarzać różne dobra. Temu służą organizacyjne struktury i ich funkcje.

Dobro ma charakter egzystencjalny, a dobra mają charakter instrumentalny, co nie znaczy, że dobra nie służą wytwarzaniu wartości egzystencjalnych. Wartości egzystencjalne generują dobro, które jest ich artykulacją. Natomiast wartości instrumentalne służą wytwarzaniu dóbr, które są ich nośnikiem.

Brak tego rozróżnienia powoduje m.in. to, że wartości są uznawane za obiekty, którym ludzie w określonym kontekście, czasie i przestrzeni nadają znaczenie i ważność. W żadnej mierze nie dotyczy to wartości egzystencjalnych. Ich nie da się uprzedmiotowić. Są podmiotowe i relacyjne.

Jeśli nie chcemy dopuścić do tego, aby wartości instrumentalne rugowały wartości egzystencjalne, to na struktury i funkcje muszą być narzucone aksjonormatywne (instytucjonalne) ograniczenia. Składową takich ograniczeń muszą być prawa jednostek i zbiorowości, w tym – co dla nas istotne – „prawo do jakości życia i rozwoju".

Ewolucja prawniczego podejścia do „prawa do rozwoju"

Współczesny dyskurs o prawach człowieka czy – w terminologii europejskiej – prawach podstawowych, cechuje pewna wewnętrzna sprzeczność, o ile nie schizofrenia.

Z jednej strony, podkreśla się skutki dokonanej lub przynajmniej dokonującej się „rewolucji praw" (*revolution of rights*), która powoduje, że prawa człowieka – prawa podstawowe, traktowane jako integralny, a zarazem rozwojowy kompleks – stanowią punkt wyjścia oceny funkcjonujących ustrojów państwowych i postulatów lepszego zorganizowania społeczeństw i państw. Z drugiej jednak strony, zauważa się zjawisko proliferacji czy inflacji praw, których nie tylko identyfikuje się coraz więcej, ale które przypisuje się do kolejnych generacji charakteryzujących się coraz mniejszą konkretnością zaliczanych do nich praw i coraz większą trudnością w stworzeniu prawnych środków ich dochodzenia. Przy ustalonym, zdawałoby się, przyjęciu występowania

trzech generacji praw człowieka, coraz częściej wymienia się już cztery ich generacje[1].

Identyfikacja – a może raczej postulowanie dopisania do katalogu – nowych praw na ogół następuje najpierw w doktrynie, następnie w różnych dokumentach „miękkiego prawa" (*soft law*), i to z reguły prawa międzynarodowego, a dopiero na końcu dochodzi do ich zadeklarowania w aktach „twardego prawa" międzynarodowego oraz w konstytucjach i ustawodawstwie niektórych państw.

Wśród nowych praw, na ogół zaliczanych do trzeciej generacji i uznanych na poziomie „miękkiego" prawa międzynarodowego, znajduje się prawo do rozwoju (*right to development*, *droit au développement*, *derecho al desarrollo*, *Recht auf Entwicklung*). Do obiegu doktrynalnego wprowadził je, czy – przyjmując naturalnoprawny charakter praw podstawowych, lub przynajmniej związek tych praw z prawem naturalnym poprzez uznanie za źródło praw przyrodzonej i niezbywalnej godności każdego człowieka[2] – zidentyfikował Kéba M'Baye, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego Senegalu, w wykładzie, który wygłosił w Międzynarodowym Instytucie Praw Człowieka w Strasburgu w 1972 roku (Plath 1977, s. 598).

To, że uczynił to przedstawiciel subsaharyjskiej Afryki, i generalnie Trzeciego Świata, nie było dziełem przypadku, bowiem w owym czasie, gdy w wyniku dekolonizacji Trzeci Świat uzyskał większość w organach i organizacjach systemu ONZ, szeroko głoszona była „ideologia rozwoju", wskazująca na obowiązki państw rozwiniętych w stosunku do państw Trzeciego Świata, stopniowo nazywanych zgodnie z zasadami poprawności politycznej państwami rozwijającymi się (Virally 1972, s. 531). Prawo do rozwoju stanowiło jeden z przejawów i aspektów tej ideologii, w ramach której wysuwano postulaty wypracowania nowego porządku ekonomicznego. Do dzisiaj prawo to w dużej mierze łączy się z „trzecioświatowym"

1 Trzy generacje mają, zgodnie ze stanowiskiem twórcy idei generacji praw człowieka Karla Vašáka, odpowiadać trzem hasłom rewolucji francuskiej 1789 roku: wolności, równości i braterstwu (obecnie wyrażanemu raczej jako solidarność). Por. Brzozowski (2018, s. 29-31); Plis (2014, s. 42 i nast.).

2 Por. art. 30 Konstytucji RP.

(czy obecnie bardziej opartym na przeciwstawianiu biednego Południa bogatej Północy) rozumieniem rozwoju, utrwalonym także w nazwach odpowiednich agend Narodów Zjednoczonych (w szczególności Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju – *United Nations Development Programme*, UNDP) oraz przyjętym dla „międzynarodowego prawa rozwoju" (Cassan, Mercure i Bekhechi 2019)[3].

Należy zaznaczyć, że „trzecioświatowy" wydźwięk prawa do rozwoju nie wynika wprost z definicji tego prawa sformułowanej w podstawowym, z jego punktu widzenia, dokumencie „miękkiego" prawa międzynarodowego, tj. w Deklaracji Prawa do Rozwoju, przyjętej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ (uchwała 41/128) w dniu 4 grudnia 1986 roku (zob. www.ohchr.org), za którą nie głosował jednak przedstawiciel USA, a od głosu wstrzymał się m.in. przedstawiciel Wielkiej Brytanii: „niezbywalne prawo człowieka, na mocy którego każda osoba ludzka i wszystkie ludy mają podstawę do uczestniczenia w rozwoju ekonomicznym, społecznym, kulturalnym i politycznym, przyczyniania się do rozwoju i korzystania z rozwoju, w którym mogą być w pełni realizowane wszystkie prawa człowieka i podstawowe wolności" (art. 1 ust. 1). Definicja ta została uzupełniona o wskazanie, że realizacja prawa do rozwoju polega na zapewnieniu przez państwa m.in. równości wszystkich w zakresie dostępu do podstawowych zasobów, edukacji, świadczeń zdrowotnych, żywności, mieszkania, zatrudnienia i uczciwego podziału dochodu (art. 8 ust. 1) oraz o uznanie za ważny czynnik rozwoju obywatelskiej partycypacji we wszystkich sferach (art. 8 ust. 2). W preambule Deklaracji Prawa do Rozwoju znajdują się ważkie sformułowania: „osoba ludzka stanowi centralny punkt procesu rozwoju, wskutek czego polityka rozwoju powinna uczynić istotę ludzką głównym uczestnikiem i beneficjentem rozwoju", „stwarzanie warunków sprzyjających rozwojowi ludów i jednostek jest pierwszorzędnym obowiązkiem ich państw" oraz „prawo do rozwoju

3 Samo prawo do rozwoju jest przedmiotem bardzo obszernej literatury z różnych krajów (w nikłym jednak stopniu z Polski) – i tylko przykładowo można wymienić: Arts i Neth (2016, s. 221 i nast.); Garcia (2008); Kerdoun (2004, s. 73 i nast.); Nuscheler (2003, s. 305 i nast.); Özden (2006); Uvin (2007); Vandenhole (2003, s. 377 i nast.).

jest niezbywalnym prawem człowieka, a równość szans rozwoju stanowi prerogatywę zarówno narodów, jak i jednostek, które tworzą narody"; dwa pierwsze sformułowania zostały przy tym wprost powtórzone w tekście Deklaracji. Nieprzypadkowo jednak przywołana definicja prawa do rozwoju została połączona w jednym artykule Deklaracji z bardzo „trzecioświatową", pełną realizacją prawa ludów do samostanowienia i pełnej suwerenności nad ich naturalnym bogactwem i zasobami, a w tekście jest także mowa o promowaniu nowego porządku ekonomicznego (art. 3 ust. 3) i o potrzebie promowania szybszego rozwoju krajów rozwijających się (art. 4 ust. 2) oraz o konieczności wyeliminowania apartheidu i kolonializmu (art. 5).

Ze względu na genezę i utrzymujący się wydźwięk „trzecioświatowy" – tym bardziej, że nie udało się zaprowadzić „nowego porządku ekonomicznego" i tym samym zrealizować związanych z nim idei powiązania rozwoju z prawami człowieka (Angie 2013, s. 74 i n.)[4] – prawo do rozwoju nie wydaje się, przynajmniej w samodzielnym wydaniu, najlepszym określeniem indywidualnego i kolektywnego podstawowego prawa do funkcjonowania w ramach modelu gospodarki rynkowej, który jest społeczny i ma charakter relacyjny i rozwojowy (nie rozrostowy czy, w dzisiejszym rozumieniu, wzrostowy – istnieje zasadnicza różnica między *development* i *growth*); jest on przeciwstawny modelowi transakcyjnemu i oportunistycznemu. Potrzeba dopracowania i wdrożenia takiego modelu jest coraz częściej dostrzegana przez ekonomistów, jak również socjologów i politologów, łącząc się z rozwijaniem kategorii „jakości społecznej" (*social quality*), której wyróżnia się na ogół cztery wymiary: inkluzję społeczną, spójność społeczną, bezpieczeństwo społeczno-ekonomiczne i zapewnienie samokontroli społecznej (*social empowerment*) (Spicker 2014, s. 95 i nast.), jak również poszukiwaniem, co jest specjalnością UNDP, wskaźników „rozwoju ludzkiego" (Klasen 2018).

4 Zauważa się przy tym, że „stanowi paradoks wypowiedzi o rozwoju płynących z Południa to, że oznaczają one jednocześnie żądanie dokonania radykalnej zmiany w międzynarodowym porządku ekonomicznym i opór wobec zmiany w krajowym porządku politycznym" (Ibhavoh 2011, s. 78).

„Trzecioświatowa" konotacja określenia „prawo do rozwoju" powoduje – przy uznaniu uniwersalnego charakteru wielu zawartych w nim treści, w szczególności organicznego powiązania tego, co indywidualne, z tym, co zbiorowe – poszukiwanie określenia bardziej adekwatnego także do warunków rozwiniętej Północy, do której zalicza się także Polskę, skądinąd zastanawiająco odporną na „ideologię rozwoju". Jednym z kierunków poszukiwań jest dodawanie do „rozwoju" kwalifikatorów, np. pisanie o prawie do rozwoju nakierowanego na człowieka i zrównoważonego[5].

Inny kierunek stanowi poszukiwanie określenia oderwanego od pojęcia rozwoju. Coraz popularniejsze, zwłaszcza w kręgu frankofońskim, staje się z powrotem określenie „prawo do jakości życia" – z powrotem, bo było ono modne w latach 70. XX wieku (w 1974 roku powstało nawet Ministerstwo Jakości Życia i Środowiska), potem jednak odsuwano je na bok ze względu na nieostrość i subiektywizm (Steichen 2000, s. 362); należy przy tym zauważyć, że w mającej moc obowiązującą w V Republice preambule francuskiej konstytucji z 1946 roku znajduje się zarazem zapowiedź sformułowania prawa do rozwoju („naród zapewnia jednostce i rodzinie niezbędne warunki rozwoju"). Jak się wydaje, zarzuty nieostrości i subiektywizmu dotyczyły nie tyle prawa do jakości życia, ile kategorii „jakość życia" – lecz w odniesieniu do niej doszło do stosunkowo już zaawansowanej obiektywizacji (de Smedt 2013, s. 153 i nast.; Costa 2015, s. 2057 i nast.). Nastąpiło to przede wszystkim w związku z dwoma dokumentami, które ukazały się prawie w tym samym czasie: komunikatem Komisji z 20 sierpnia 2009 roku pod charakterystycznym tytułem *PKB i dalej niż PKB* (GDP 2009) wskazującym na potrzebę wprowadzenia nowych wskaźników do statystyki UE oraz ustaleniami raportu, powołanego w 2008 roku przez ówczesnego Prezydenta Republiki Francuskiej zespołu pod kierunkiem Josepha E. Stiglitza wspomaganego przez Amartya Sena

5 Jest to niedosłowne tłumaczenie określenia użytego przez Garcię (2008); należy mieć na uwadze to, że francuskim odpowiednikiem naszego rozwoju zrównoważonego (które to określenie ściśle językowo nie jest przy tym synonimem *sustainable development*) jest rozwój trwały.

i Jean-Paula Fitoussiego[6]. Skutkiem pierwszego dokumentu było istotne rozbudowanie statystyki unijnej o aspekty społeczno-ekonomiczne, drugi natomiast zapoczątkował dyskusję, której skutkiem było precyzowanie nowych wskaźników[7], a rodzajem podsumowania której stał się niedawny kolejny raport sporządzony pod kierunkiem Stiglitza, tym razem w ramach OECD (Stiglitz, Fitoussi i Durand 2018).

Francuski filozof definiuje prawo do jakości życia jako prawo każdego do życia, nie tyle na zasadzie indywidualistycznej samorealizacji, ile „w społeczeństwie, w którym panuje równość szans społecznych" (Conche 2003, s. 93); powołała się na niego francuska prawniczka zajmująca się prawem administracyjnym, dodając własną definicję przedmiotu omawianego prawa: „dobre warunki życia osobistego i społecznego" (Koubi 2017). Inna francuska akademicka prawniczka, specjalistka prawa prywatnego, zwróciła uwagę na ewolucję prawa do jakości życia – od prawa do życia i do integralności fizycznej (czyli prawa pierwszej generacji), a w konsekwencji prawa do szeroko rozumianej ochrony zdrowia (druga generacja), poprzez prawo do „zdrowego środowiska" (które, dodajmy, jest uważane za prawo trzeciej generacji), do prawa do życia w godności właściwej każdemu, a tym samym – w ramach realizacji zasady solidarności – do życia w odpowiednim dobrobycie czy dobrostanie (Steichen 2000, s. 363 i nast.)[8]. Ewolucja nie oznacza odrzucenia wcześniej ujmowanych aspektów, lecz ich rozszerzanie o nowe, takie jak – obok już wcześniej

6 *Report by the Commission on the Measurement of Economic Performance and Social Progress* – www.stiglitz-sen-fitoussi.fr/documents.

7 Z pierwszych reakcji na raport – por. Kroll (2011), Michalos (2011, s. 117 i nast.); Rojas (2011, s. 169 i nast.).

8 Termin „dobrostan", odrywający się od ekonomicznych konotacji „dobrobytu", może być o tyle lepszy, że znalazł zastosowanie w definicji zdrowia przyjętej przez Światową Organizację Zdrowia – jednak nie w oficjalnym tłumaczeniu tekstu Konstytucji WHO: „zdrowie jest stanem zupełnej pomyślności fizycznej, umysłowej i społecznej, a nie jedynie brakiem choroby lub ułomności" (Dz.U. z 1948 r., Nr 61, poz. 477), lecz w obecnych tłumaczeniach na język polski terminu: *well-being* (nie *welfare*), *bien-être*, *bienestar* i благополучие – por. Izdebski (2013, s. 27).

deklarowanego prawa do zatrudnienia – prawo do nauki, prawo do mieszkania, prawo dostępu do dóbr kultury, ale także nowe rozumienie prawa do ochrony życia prywatnego. Dodać trzeba też możliwość wywierania realnego wpływu na rozstrzygnięcia publiczne warunkujące osiąganie dobrostanu indywidualnego i zbiorowego – a więc funkcjonowanie instytucji demokracji deliberacyjnej i partycypacyjnej, odpowiadających standardom *good public governance* (Izdebski 2017a, s. 57, 118–119, 206–208).

W ten sposób prawo do jakości życia, rozumiane jako prawo do godnego życia, staje się rodzajem metaprawa, stanowiącego podstawę określania zakresu praw ekonomicznych, społecznych i kulturalnych – ale także politycznych. Należy mieć na uwadze, że było ono, przynajmniej początkowo, formułowane na ogół z pozycji ludzi biednych, stąd też zdarza się je określać jako prawo ludzi biednych. W takim rozumieniu trudno nie zauważyć, że prawo do jakości życia było deklarowane w różnych aspektach w różnego rodzaju dokumentach ze sfery myśli politycznej, społecznej i ekonomicznej, i to już od czasów starożytnych. Znalazło ono również częściowy, lecz bardzo istotny wyraz – poza konstytucjami, które określano lub same się określały jako socjalistyczne, ale zapowiedzi których okazały się niemożliwe do zrealizowania – w podstawowym z punktu widzenia kształtowania się integralnej koncepcji praw człowieka czy praw podstawowych dokumencie „miękkiego" prawa międzynarodowego, tj. Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 roku, wskazującej w preambule jako „najwznioślejszy cel ludzkości dążenie do zbudowania takiego świata, w którym ludzie korzystać będą z wolności słowa i przekonań oraz z wolności od strachu i nędzy". Art. 25 ust. 1 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka głosi zatem: „każdy człowiek ma prawo do stopy życiowej zapewniającej zdrowie i dobrobyt jego i rodziny, włączając w to wyżywienie, odzież, mieszkanie, opiekę lekarską i konieczne świadczenia socjalne oraz prawo do ubezpieczenia na wypadek bezrobocia, choroby, niezdolności do pracy, wdowieństwa, starości lub utraty środków do życia w inny sposób od niego niezależny".

W dokumencie „twardego" już prawa międzynarodowego, jakim jest Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych ONZ z 1966 roku, po nawiązaniu w preambule do powołanego fragmentu

Deklaracji z 1948 roku, rozwinięto treść art. 25 Deklaracji, ale też zredagowano go w sposób, który bardziej odpowiada tzw. normom programowym niż „twardej" deklaracji prawa: „Państwa-Strony niniejszego Paktu uznają prawo każdego do wystarczającego poziomu życiowego dla siebie samego i jego rodziny, włączając w to wystarczające wyżywienie, odzież i mieszkanie, oraz do stałego polepszania warunków bytowych. Państwa-Strony podejmą odpowiednie kroki w celu zapewnienia realizacji tego prawa, uznając w tym celu zasadnicze znaczenie współpracy międzynarodowej swobodnie podjętej". Dodano przy tym, istotny w 1966 roku, aspekt charakterystyczny dla „prawa biednych" – i to przede wszystkim prawa biednych Trzeciego Świata, mianowicie uznanie podstawowego prawa każdego do wolności od głodu i wskazanie kroków koniecznych do realizacji tego prawa (Dz.U. z 1977 r., Nr 38, poz. 169). Wolność od głodu jest warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym do godnego życia – a obecne europejskie rozumienie prawa do jakości życia pozostaje w ścisłym związku z kategorią życia godnego, odpowiadającego przyrodzonej, niezbywalnej i nienaruszalnej godności osobowej każdego człowieka.

„Twarda" Europejska Karta Społeczna z 1961 roku wśród celów i zasad, których warunki skutecznej realizacji sygnatariusze zobowiązali się tworzyć, wymienia to, że „wszyscy pracownicy mają prawo do sprawiedliwego wynagrodzenia, wystarczającego do zapewnienia im, jak i ich rodzinom, godziwego poziomu życia" (część I, pkt 4); precyzując kwestię wynagrodzeń (art. 4), wskazuje też inne prawa pracowników (np. prawo do zabezpieczenia społecznego) i każdego (np. do korzystania ze służb opieki społecznej) (Dz.U. z 1999 r., Nr 8, poz. 67). Dopiero jednak w zrewidowanej wersji Karty z 1996 roku (dodać trzeba, przez RP nieratyfikowanej) znalazło się prawo pracowników do poszanowania ich godności w pracy, prawo każdego do ochrony przed ubóstwem i marginalizacją społeczną oraz prawo każdego do mieszkania, a więc istotne aspekty prawa do godnego życia – dwa ostatnie mające jednak o wiele bardziej charakter norm programowych niż deklaracji praw.

Prawo do rozwoju, rozumiane nie tyle w tradycyjny sposób „trzecioświatowy", ile jako prawo do jakości życia, wydaje się znajdować w stadium kształtowania się dość podobnym do innego prawa trzeciej

generacji, mianowicie prawa do miasta (por. Izdebski 2017b, s. 165 i nast.; 2017c, s. 6 i nast.).

Prawa te mają podobny charakter: w pewnym sensie indywidualny, ale przede wszystkim zbiorowy – tyle że nie korporacyjny (prawami korporacyjnymi są prawa grupy, organizacji, a nie poszczególnych osób wchodzących w jej skład), lecz kolektywny *sensu stricto* (prawa kolektywne polegają na możliwości wspólnej z innymi, zbiorowej realizacji praw indywidualnych w zakresie i w sposób niedostępny dla poszczególnych podmiotów praw) (Jones 2016, pkt 4). Stosunkowo podobny jest sposób kształtowania się omawianych praw – sformułowanie i rozwijanie najpierw w doktrynie (tyle że prawo do rozwoju zostało po raz pierwszy sformułowane, jak była o tym mowa, w doktrynie prawniczej, podczas gdy prawo do miasta sformułował filozof i socjolog), a dopiero następnie przeniesienie do zasadniczo „miękkiego" prawa (tyle że prawo do miasta, inaczej niż prawo do rozwoju, zanim zostało zadeklarowane w aktach „miękkiego" prawa międzynarodowego, znalazło już sformułowanie w aktach państw Ameryki Łacińskiej: „twardego" prawa Brazylii i „miękkiego" prawa Meksyku); co więcej, w punkcie wyjścia tak samo były to rewindykacyjne prawa ludzi biednych. Podobna jest zasadnicza treść tych praw: prawo dostępu do szeroko rozumianych zasobów – dóbr oraz prawo do wykorzystywania potencjału twórczego podmiotów tego prawa dla ich rozwoju indywidualnego i zbiorowego.

Zwrócić przy tym trzeba uwagę na to, że w warunkach postępującej urbanizacji „obszary miejskie są podstawowymi producentami wiedzy i innowacji – hubami globalizującej się gospodarki światowej" (Morais, Miguéis i Camanho 2013, s. 188), jak zaznaczono to w raporcie przygotowanym w 2007 roku dla Komisji Europejskiej, czy też szerzej – generatorami wartości, a zarazem miejscami, gdzie w skoncentrowanej postaci występują problemy społeczne, a wobec tego, gdzie istnieje szczególna potrzeba zapewnienia spójności społecznej.

Realizowanie prawa do miasta – zarówno jako struktury materialnej (*urbs*), jak i struktury społecznej (*civitas*) – służyć powinno zapewnieniu spójności społecznej, czego nie uda się uczynić bez zapewnienia spójności przestrzennej, oczywiście ważnej dla całości obszaru kraju, ale tym

ważniejszej, z im większym miastem ma się do czynienia. Oznacza to poszukiwanie, także w związku z regionalną, kontynentalną i globalną konkurencją ośrodków miejskich, szczególnych obiektywnych i subiektywnych wskaźników jakości życia w miastach – i w tym zakresie można już mówić o znacznym zaawansowaniu porównywania jakości życia w miastach (tamże, passim). Z drugiej strony, twórca idei prawa do miasta – Henri Lefebvre – podjął, nieprzypadkowo odnosząc się głównie do miast, próbę stworzenia ogólnej teorii przestrzeni, łączącej ze sobą fizyczne, mentalne i społeczne aspekty przestrzeni; jego zdaniem, to te ostatnie w znacznej mierze warunkują obydwa pierwsze (Lefebvre 1991). Miasto jest rodzajem ogólnej przestrzeni, w której żyją jego mieszkańcy – podmioty prawa do miasta.

Prawo do miasta

W przypadku „prawa do jakości życia i rozwoju" mamy do czynienia w kategorią, która łączy wymiar jednostkowy z wymiarem zbiorowym. Można tego rodzaju prawo określić jako prawo kolektywne, czyli takie, którego realizacja w stosunku do jednostek zależy od działania wspólnego.

Przyjrzyjmy się z tego punktu widzenia „prawu do miasta". Jeśli chcemy analizować kategorię prawa do miasta, punktem wyjścia są trzy podstawowe pytania. Czyje prawo? Jaka ma być jego treść? Jaki ma mieć ono charakter? Udzielenie na nie odpowiedzi nie jest proste – wymaga otwartego dyskursu przedstawicieli różnych dyscyplin badawczych i różnych środowisk. Rzecz jasna prawo do miasta musi być formowane w kontekście innego rodzaju praw. Trzeba przyjąć, że różne prawa muszą nie tylko ze sobą korespondować, ale także nawzajem się ograniczać.

Dotychczasowa debata pozwoliła na sformułowanie kilku zasadniczych tez, które pomogą ukierunkować dalsze rozważania o prawie do miasta:

1. Prawo do miasta musi być rozumiane jako prawo czynne, a nie bierne.
2. Prawo do miasta jest fundamentem równoważenia różnych interesów i tym samym równoważenia różnych wymiarów i aspektów rozwoju miasta.
3. Prawo do miasta ma wyrażać współzależność – substancjalną (przedmiotową) i proceduralną (podmiotową).

4. Prawo do miasta nie może być prawem wykluczającym.
5. Prawo do miasta musi równoważyć aspekt pozytywny – „prawo za" oraz negatywny – „prawo przeciw". Chodzi o to, aby możliwe było zapobieganie społecznie niekorzystnym działaniom i rozwiązaniom, ale jednocześnie możliwa była kreatywna działalność i wykorzystywanie potencjału twórczego jednostek i grup społecznych.

Ostatnia teza, co istotne, odnosi się również do stworzenia mechanizmu łączącego pozornie trudne do pogodzenia kwestie: partykularne, gospodarcze cele poszczególnych podmiotów funkcjonujących w mieście oraz dbałość o wspólną przestrzeń i umiejętne (harmonijne) godzenie różnych interesów (oczekiwań) mieszkańców.

Choć prawo do miasta jest kategorią prawną, to jego urzeczywistnienie jest mocno społecznie warunkowane. Tym bardziej, że jego podmiotem są mieszkańcy miasta jako zbiorowość. I tylko gdy staje się ona rzeczywiście społecznością (*civitas*), to prawo się aktywizuje. Prawo do miasta, aby „działało", wymaga określonej społecznej czasoprzestrzeni. Prawo do miasta dużo bardziej odnosi się do tego, co mieszkańcy mogą i potrafią, niż do tego, co im wolno. Jego dźwignię stanowią miejskie imaginarium i aspiracje mieszkańców związane z aktywnym i twórczym – dobrym życiem.

Prawo do miasta łączy uprawnienia mieszkańców z ich samodzielną aktywnością w korzystaniu z nich. Bez tego drugiego te uprawnienia są martwe. W konsekwencji jest to prawo, które jest zarówno prawem zbiorowym, jak i indywidualnym – przypisane zbiorowości zasadza się na tym, że bez aktywnego korzystania z niego przez jednostki, nie może korzystać z niego zbiorowość. Rola jednostek w tym zakresie wzmacnia się jednak, jeżeli ich aktywność jest uwspólniana.

Uwspólnianie zasobów i zasoby wspólne

Fundamentalną kwestią w operacjonalizowaniu prawa do jakości życia i rozwoju jest to, czy jest możliwa jego realizacja bez uwspólniania zasobów (*commoning*) i generowania zasobów wspólnych (*commons*).

W ekonomii neoklasycznej (ekonomii zysku) zasadniczo przeciwstawiamy i odgraniczamy własność wspólną (publiczną) i prywatną oraz dobra publiczne i prywatne. W ekonomii wartości takie podejście nie jest uzasadnione. Zamiast podtrzymywania przeciwstawności wskazane jest poszukiwanie komplementarności. Im większe znaczenie dla rozwoju jednostki i społeczności mają dane dobra, tym bardziej ich indywidualnemu, prywatnemu wykorzystaniu musi towarzyszyć ich wspólnotowa pula. Bez takiej puli prędzej czy później znacząca część jednostek zostanie wyłączona z korzystania z tych dóbr, co będzie blokować jej indywidualny rozwój, ale także rozwój społeczności.

W tym kontekście inwestycje publiczne nie są alternatywą dla inwestycji prywatnych, ale ich niezbędnym warunkiem i uzupełnieniem. Są potrzebne (jak w przypadku kultury, nauki, edukacji, zdrowia czy infrastruktury komunalnej) po to, aby utrzymywać ogólną dostępność zasobów niezbędnych do działania i rozwoju jednostek oraz formowanych przez nie organizacji. Można uznać, że w każdym społeczeństwie konieczny jest odpowiedni poziom inwestycji publicznych, bez których utrzymanie i podnoszenie jakości życia obywateli nie jest możliwe. Jeśli nie osiągają tej niezbędnej skali, znacząca część potencjału rozwojowego ulega anihilacji.

Każdy uwspólniony zasób rozwojowy jest jednocześnie swego rodzaju rezerwą na wypadek kryzysu czy katastrofy. Stanowi zatem podstawę uruchomienia rewitalizacji. Zamiast rozgraniczania i zawłaszczania zasobów istotne staje się ich uwspólnianie. Nie ma tak wielkiego znaczenia, kto nimi dysponuje, jak to, czy mogą one być włączone do wspólnego procesu wytwórczego. Nie muszą być koniecznie uwspólnotowione – ważne, aby były uwspólnione.

Nie negując znaczenia kwestii struktury własnościowej nowoczesnej gospodarki, pozytywnego rozwiązania upatrujemy nie w samej prawnej formie własności, lecz w nadawaniu każdej formie własności określonej społecznie treści – własność jest nie tylko prawem, ale także zobowiązaniem. To w praktyce oznacza nadawanie każdej formie własności społecznego wymiaru. Społeczna funkcja własności jest coraz częściej, w ślad za art. 17 ust. 2 Konstytucji RFN („własność zobowiązuje; korzystanie

z własności powinno zarazem służyć dobru ogółu"), wyrażana we współczesnych konstytucjach, w szczególności europejskich.

Konieczność ograniczenia prywatyzacji przestrzeni działalności gospodarczej, w tym określonych zasobów, jest stosunkowo łatwa do zrozumienia w odniesieniu do przestrzeni publicznej. Co nie znaczy, że w innych przypadkach można to zagadnienie pominąć. Można sobie wyobrazić prywatną firmę wodociągową, ale nie sprywatyzowanie zasobów wody. Woda bowiem nie jest wyłącznie do użytku osobistego. I nie wolno jej tylko do takiego użytku przypisać. Jak bowiem w takim przypadku byłyby zasilane w wodę miejskie publiczne obszary zielone czy jak byłyby gaszone większe pożary? Jeśli woda pozostaje zasobem wspólnym i jest częściowo wspólnotowo użytkowana, to w rezultacie wzrasta jej wartość (nie cena) jako dobra indywidualnego. Co dałoby utrzymywanie higieny osobistej przy braku takiej higieny w skali zbiorowej? Wyłączenie kogokolwiek z dostępu do wody stanowi w konsekwencji zagrożenie dla wszystkich mieszkańców. Tym samym, im bardziej komercjalizujemy gospodarowanie wodą, tym bardziej konieczne staje się zachowanie publicznego (wspólnotowego) charakteru części tej działalności. Aby efektywnie monetyzować taką działalność, jej istotny zakres musi być z pełnej monetyzacji wyłączony. Są zatem potrzebne różne schematy gospodarowania wodą: od czysto komercyjnych, poprzez mieszane, do niekomercyjnych. I takich schematów nie da się ustanowić raz na zawsze. Muszą być one dostosowywane do zmieniających się warunków, w tym zmian klimatu. Bez takiego ujęcia problemu trudno rozpoznać i kształtować związek pomiędzy gospodarowaniem a jakością życia mieszkańców miasta. Miarą cywilizacyjną nie może być ilość zużytych zasobów na głowę mieszkańca, w tym wody czy energii elektrycznej, ale związek między ich zużyciem a jakością życia.

Dialog i partycypacja obywatelska

Za kolejny warunek realizacji prawa do jakości życia i rozwoju uważamy dialog i partycypację obywatelską. Niektórzy mówią jednak wprost o manowcach partycypacji, przeciwstawiając ją profesjonalizacji zarządzania.

Nie wydaje się to uzasadnione, a stanowisko takie jest wyrażane przede wszystkim w ramach różnych odcieni obecnego kierunku zarządzania publicznego *good public governance* (Izdebski 2017a, 2017c). Partycypacja i profesjonalizacja mogą się uzupełniać, jeśli przyjmiemy następującą procedurę realizacji dużych przedsięwzięć oraz wdrażanie instytucjonalnych reform: 1) zdefiniowanie problemu; 2) opracowanie kierunkowej propozycji rozwiązania; 3) zasięgnięcie opinii społecznej; 4) przedstawienie szczegółowego projektu rozwiązania; 5) zasięgnięcie opinii społecznej; 6) modyfikacja rozwiązania; 7) podjęcie decyzji o wdrożeniu rozwiązania; 8) wprowadzanie rozwiązania; 9) monitoring profesjonalny i obywatelski.

W tym ujęciu partycypacja jest traktowana jako konsultacja społeczna, czyli najprostsza jej forma. Jednak w przypadku działania władz miejskich o regulacyjnym charakterze, a taki ma interwencja w zakresie zagospodarowania przestrzennego, można uznać prostą (konsultacyjną) formę partycypacji za wystarczającą. Tym bardziej, że istnieje możliwość sądowego rozstrzygnięcia ewentualnych sporów między władzą miejską a obywatelem.

Zaawansowane formy partycypacji wymagają spełnienia dodatkowych warunków. Tylko wówczas będą one przydatne. Precyzując te warunki, należy przyjąć kilka fundamentalnych tez: 1) partycypacja jest fikcją bez upodmiotowienia; 2) chodzi o upodmiotowienie zbiorowości, a nie tylko jednostek; 3) realna partycypacja zakłada respektowanie prawa jednostek do jakości życia i rozwoju; 4) musi się to dokonywać przez świadome wykorzystywanie ich potencjału twórczego.

W praktyce oznacza to m.in. przekazanie mieszkańcom-obywatelom w zarządzanie wielu publicznych obiektów, takich jak biblioteki, domy kultury, przedszkola i inne nieruchomości, w których można prowadzić korzystną wspólnotowo działalność, np. niekomercyjne targi. Tego rodzaju obiektów nie należy prywatyzować, ale je uwspólnotawiać, nadając im publiczny, obywatelski charakter. W ten sposób jest generowana pewna pula zasobów do wspólnego wykorzystania.

Co ważne, potrzebne jest także określone zasilanie obywatelskich inicjatyw w środki finansowe, aby nie wymuszać komercjalizacji przekazywanych w zarząd obiektów. Tu widzimy szczególne miejsce dla budżetu

obywatelskiego. To jednak musi dokonywać się w taki sposób, aby z jednej strony nie zwalniać aktywistów z ponoszenia ryzyka i przyjmowania odpowiedzialności, a z drugiej – nie narzucać im „biurokratycznego gorsetu", żądając przygotowania skomplikowanych wniosków i niezliczonych sprawozdań. Ważniejsza niż kontrola biurokratyczna jest w tym wypadku kontrola społeczna, która jest możliwa w warunkach zachowania przejrzystości obywatelskiego zarządu.

Partycypacja wynika z dialogu obywatelskiego, a nie odwrotnie. Jeśli obywatele nie mają możliwości efektywnego wyrażania i konfrontowania swoich opinii, nie będą gotowi uczestniczyć w podejmowaniu decyzji i przyjmowaniu współodpowiedzialności. Warunkiem uruchomienia dialogu obywatelskiego jest występowanie różnych form przestrzeni publicznej, która dzięki niemu staje się nie tylko przestrzenią współobecności, ale także formowania się wspólnotowej celowości. Przestrzeń publiczna jest zatem kluczowym zasobem rozwojowym.

Jeśli tak postrzegamy dialog obywatelski, to trudno wyobrazić sobie bez niego społecznie osadzoną politykę rozwoju. To ona otwiera ścieżkę dojścia do partycypacji rozumianej jako współzarządzanie. Polityczno-publiczną funkcją współzarządzania jest nie tylko rozwiązywanie określonych problemów społecznych, ale także definiowanie oraz ustanawianie reguł zarządzania publicznego i prowadzenia polityki rozwoju, wiążących zarówno władze publiczne, jak i obywateli. Tym samym dialog obywatelski wytwarza wiele wspólnotowych dóbr, niezwykle przydatnych w zarządzaniu publicznym. Są nimi m.in.: 1) informacja i wiedza; 2) zaufanie do określonych aktorów społecznych; 3) zdolność ich współdziałania; 4) zbiorowa refleksja i strategiczna wyobraźnia oraz 5) zdolność korygowania polityki publicznej.

Kluczowe znaczenie ma to, aby dialogu obywatelskiego nie sprowadzać do załatwiania pojedynczych spraw. Jeśli ma on przysłużyć się rozwojowi, to nie można rezygnować z rozwojowej refleksji i perspektywy. „Do czego dążymy?" – to podstawowe pytanie i punkt wyjścia, od tego trzeba zaczynać dialog. To oczywiście nie blokuje możliwości załatwiania konkretnych spraw. Powoduje jednak, że bieżące sprawy nie przesłaniają szerszej i dłuższej perspektywy. Wspólnota nie oznacza jedynie współrządzenia, ale również współgospodarzenie, współwytwarzanie i współdziałanie.

Dialogu obywatelskiego nie należy instytucjonalnie usztywniać. Powinna go charakteryzować „zmienna geometria" – rozumiana jako otwartość na włączanie innych i nowych aktorów, ich punktów widzenia i perspektyw poznawczych. Wyłączenie aktywnych i zorganizowanych aktorów z dialogu skutkuje ograniczeniem zdolności rozwojowych. W konsekwencji to wyłączenie zawsze kosztuje więcej niż społeczne włączenie.

Wykluczenie jest świadectwem uprzedmiotowienia i instrumentalizacji wykluczonych aktorów, a to eliminuje możliwość współwytwarzania wartości i w efekcie osłabia zdolność wykorzystania potencjału rozwojowego. Społeczne wykluczenie idzie w parze z ekonomiczną nierównością i przestrzenną stratyfikacją. To zjawisko jest symptomatyczne dla wielkich współczesnych miast. Jego przezwyciężanie wymaga rozbudowanego systemu usług publicznych, którego uruchomienie jest trudne, uciążliwe i kosztowne. Dlatego rozsądniejsze jest niedopuszczanie do społecznego wykluczenia na masową skalę niż przeciwdziałanie mu za pomocą wydatków i świadczeń socjalnych (Metropolitan 2015, s. 94–95).

Współwytwarzanie wartości jest możliwe tylko w następstwie upodmiotowienia aktorów społecznych. Nie dokonuje się to automatycznie, lecz jest rezultatem złożonego procesu. Można wyróżnić co najmniej kilka jego faz: 1) dostrzeżenie innych aktorów, co prowadzi do uznania ich współobecności w przestrzeni społecznej; 2) podjęcie rozmowy, dialogu, co prowadzi do współgłosu; 3) podjęcie wspólnych projektów, co prowadzi do współdziałania; 4) rozwija się wówczas partnerstwo, które jest współwytwarzaniem wartości; 5) a to wywołuje potrzebę współdzielenia korzyści wynikających z partnerstwa, tym samym prowadząc do jego instytucjonalizacji i formowania porządku normatywnego. W efekcie jest wytwarzana dodatkowa pula zasobów do wspólnego wykorzystania.

Kultura i rozwój

Władysław Tatarkiewicz (1978) zaproponował rozróżnienie pojęć „cywilizacja" i „kultura". Pisze na ten temat tak: „Niech cywilizacja oznacza to wszystko, co ludzkość stworzyła, dodała do natury dla ułatwienia

i ulepszenia życia, i co wielu ludziom jest wspólne, a kultura – te przeżycia i czynności poszczególnych ludzi, którzy wydali cywilizację i z cywilizacji korzystają. Cywilizacja czyni, że świat dzisiejszy jest różny od pierwotnego, a kultura, że ludzie dzisiejsi są od pierwotnych różni" (tamże, s. 76). I dalej: „…cywilizacja oznacza formację obiektywną (…) należącą do zewnętrznego świata. Natomiast kulturę, przeciwnie, rozumiemy jak stan subiektywny, psychiczny, wewnętrzny, indywidualny" (tamże, s. 79).

Fundamentalne znaczenie ma dostrzeżenie, że cywilizacja jest zasadniczo przestrzenią ograniczoną i względnie zamkniętą, zarówno pod względem czasu, jak i obszaru, ma zatem swoje rozpoznawalne, choć przenikalne granice i działa trochę za sprawą określania tych granic, również w swoim obrębie. Wiąże się to wyraźnie z kategorią własności i konkretnym uregulowaniem wiązki praw własności odnoszących się do zasobów i aktywów materialnych (*tangible assets*).

Inaczej jest z kulturą, rozumianą jako całokształt intelektualnych wytworów społeczeństwa i warunków, w których funkcjonuje (*intangible assets*). Zasadniczo jest ona przestrzenią otwartą, której granice stale przesuwają wyobraźnia i kreatywność. Nie jest to przestrzeń czasowo i obszarowo ustrukturyzowana. A przez to jest w zasadzie nieskończenie pojemna – mogą się w niej pojawiać coraz to nowe wytwory ludzkiej myśli, odmienne perspektywy poznawcze, które mogą się w tej przestrzeni stykać i przenikać. Dzięki temu przestrzeń kultury staje się przestrzenią dyskursywną, toczy się w niej nieustający spór i dialog. Nie ma sztywnych granic, są one płynne, ale są, kultura bowiem może się dziać tylko dzięki określonej materialnej, cywilizacyjnej podbudowie, infrastrukturze. Bez niej zanika. Cywilizacja umożliwia kulturę i jej rozwój, ale też materialnie ją ogranicza. Kultura zaś warunkuje społeczne funkcjonowanie cywilizacji i jej rozwój, daje jej społeczne uzasadnienie i umocowanie, zarazem ją ukierunkowuje. Obie – współoddziałując – określają ład społeczny, poziom jego hieratyczności oraz sztywność i podatność na zmianę.

O ile rozwój cywilizacji tworzy nowe środowisko działania, o tyle rozwój kultury oznacza poszerzanie przestrzeni ludzkiego działania, także na obszary, w których nie ma fizycznej infrastruktury. Zasoby, którymi posługujemy się w działaniu, są pochodną zarówno cywilizacji, jak i kultury.

Ich rozpoznanie oraz korzystanie z nich zależy i od tego, co materialne, i od tego, co intelektualne.

Nie przeciwstawiamy cywilizacji i kultury, jesteśmy przekonani, że muszą ze sobą współistnieć i współdziałać. Pewne formy tej współzależności dobrze służą rozwojowi, inne nie. Jednak bez współzależności tego, co materialne, i tego, co intelektualne, rozwoju być nie może. Tatarkiewicz (1978, s. 80) w cytowanym powyżej eseju podkreśla jednak, że w niektórych okresach cywilizacja zostaje opanowana przez technikę, a wtedy i tylko wtedy, kultura jest zagrożona przez cywilizację.

Jürgen Habermas zastanawiał się, jak zapewnić jedność świata życia przy rosnącej różnorodności jego sfer ważności. Jego odpowiedzią na to wielkie wyzwanie współczesności (ponowoczesności) jest aksjologicznie twórcza i aktywna społecznie jednostka. To wizja romantyczna i pociągająca, ale czy wystarczająco realistyczna, możliwa do urzeczywistnienia, i co ważniejsze – faktycznie prowadząca do społecznego uspójnienia różnych zbiorowości, ich uwspólnotowienia i ukonstytuowania podmiotowości społecznej?

Jeśli szukamy w kulturze możliwości upodmiotowienia jednostek, to musimy jednak dostrzec, że kultura nie tylko je wyzwala, lecz także je społecznie przypisuje i wiąże. Takie więzi umożliwiają jednostkom działanie, ale też je ograniczają, a bywa, że krępują. Jeśli zatem chcemy uruchomić społecznie wyzwalającą energię kultury, to powinniśmy zabiegać o:

- spowodowanie, aby kultura, będąc głównie obszarem działań jednostek i indywidualnej kreatywności, stawała się także przestrzenią komunikacji zbiorowej, dyskursu, współpracy i społecznych innowacji,
- dopuszczenie wielości perspektyw poznawczych i języków komunikacji społecznej,
- dialogiczność debaty społecznej – chodzi m.in. o posługiwanie się w debacie pojęciami otwartymi i włączającymi, a eliminowanie z niej pojęć zamykających i blokujących; przykładem niech będzie pojęcie „dziedzictwo narodowe", które wyparło u nas w pewnym momencie znacznie szersze „dziedzictwo kulturowe",
- przeciwstawianie się hegemonii językowej i kulturowej, a zatem wszelkiej hegemonii (przy czym współcześnie dominującą formą hegemonii kultu-

rowej jest massmedializacja społeczeństw), dobieranie i używanie języka nie po to, aby konserwować i odtwarzać idee i konstrukty myślowe, ale aby przede wszystkim redefiniować je w kontekście współczesnych wyzwań,
- stawianie naszej przeszłości wciąż nowych pytań, zrodzonych z tego, co jest obecnie, aby odszukiwać różne ścieżki prowadzące w przyszłość,
- uznawanie kultury za pole aksjologicznego dyskursu,
- domaganie się od uczestników publicznego dyskursu jawnego deklarowania swojej aksjologiczności i otwarcia jej na intelektualne konfrontowanie z odmiennymi aksjologiami.

W kulturze zamkniętej – wsobnej i samoreferencyjnej – zakorzeniają się głównie idee ją domykające. To ją autonomizuje i uspójnia, ale w konsekwencji kultura kostnieje. Przestaje być źródłem zasilającym nowe perspektywy poznawcze. Krępuje twórczą myśl i wolność artystyczną. Skazuje społeczność na bezalternatywność, co zawsze z czasem jest rozwojowo szkodliwe. Kultura przestaje działać jak wiral, przez co rozumiemy niematerialną spiralę, społeczny mechanizm dyskursywnej komunikacji pobudzający wyobraźnię, modyfikujący narzędzia poznawcze, służący formowaniu nowych perspektyw poznawczych i generujący wiedzę społeczną.

Szukanie w obszarze kultury ścieżki wyjścia z kryzysu, ścieżki prowadzącej do otwierania nowych możliwości rozwojowych, zależy od funkcjonowania nowoczesnej przestrzeni publicznej, rozumianej jako terytorium formowania obywatelskiej wspólnoty i podejmowania działań dla dobra wspólnego (pożytku zbiorowego).

Podkreślając znaczenie przestrzeni publicznej, chcemy zasygnalizować konieczność rozróżnienia co najmniej trzech jej wymiarów: 1) materialnego (fizycznego) – organizacyjno-technicznej infrastruktury dyskursu i współdziałania obywateli; 2) instytucjonalnego – zespołu wartości, norm i reguł, którymi kierują się obywatele, działając w przestrzeni publicznej; 3) komunikacyjnego – zespołu rozmaitych środków i form komunikowania się obywateli i prowadzenia dialogu; część tego wymiaru przestrzeni publicznej stanowi przestrzeń wirtualna, w której dzięki technologiom informacyjnym stało się możliwe szybkie i masowe komunikowanie się na odległość.

Wiążemy szanse realizacji „prawa do jakości życia i rozwoju" z powyżej zarysowanym rozumieniem i podejściem do kultury. Uznając to za słuszne, należałoby prowadzić politykę kulturalną (na wszystkich poziomach organizacji terytorialnej państwa), kierując się następującymi zasadami:

1. Fundamentem właściwych relacji między kulturą i rynkiem jest edukacja.
2. Dla wyrównywania szans podstawowe znaczenie ma zapewnienie dostępu do kapitału kulturowego, szczególnie przez rozwijanie różnorodnych kompetencji kulturowych.
3. Prawo dostępu do kultury i uczestnictwa w niej powinno być uznane za fundamentalne prawo jednostki.
4. Kreatywność rozwija się za sprawą rozbudzenia kulturowych potrzeb.
5. Kształtowanie potrzeb i kompetencji kulturowych prowadzi do pobudzania rozwoju.
6. Dla wyjścia z rozwojowego dryfu praktycznie najważniejsze jest wzmacnianie enklaw kreatywności.
7. Konieczne jest faktyczne dopuszczenie różnorodności form organizacyjno-prawnych prowadzenia działalności kulturalnej i rywalizacji między nimi.
8. Kultura nie może zostać sprywatyzowana i skomercjalizowana, jej zasadnicza część musi stanowić „własność wspólnotową", wspólny i uwspólniający zasób, *creative commons*, ale szeroko rozumiane.
9. Gospodarka sieci wymaga komunikacji społecznej i kompetencji kulturowych.
10. Kultura nie jest tylko podglebiem i kontekstem rozwoju, lecz jego kluczowym mechanizmem i wymiarem.

Podsumowanie

Dostęp jednostek i grup społecznych do ważnych dla ich rozwoju zasobów jest fundamentem nie tylko postępu, ale także demokratycznego porządku. Amartya Sen w swych niezwykle ważnych pracach podkreślał po wielokroć, że klęski głodu nie zdarzają się w państwach demokratycznych, natomiast nadal są plagą w autorytarnych reżimach. To samo można odnieść do innych kluczowych dla życia i rozwoju zasobów (np. wody; zasadne jest twierdzenie, że rzeki mogą podmywać i umacniać systemy

polityczne), bowiem rywalizacja polityczna przebiega także na polu zabiegania o dostęp do zasobów. Dostęp jednostek i grup do kluczowych zasobów powinien zostać uznany za prawo – prawo do rozwoju. W tym kontekście trzeba sytuować prawo do miasta, interpretowane jako prawo dostępu do zasobów oraz do wykorzystywania potencjału twórczego mieszkańców w rozwoju miasta. Nierespektowanie praw mieszkańców ogranicza możliwość zaspokajania przez nich potrzeb.

Z tej perspektywy jakość życia jawi się nie tylko jako kategoria celowa, ale także jako kategoria pośrednicząca, napędzająca koło rozwoju. W tym zakresie kwestia opłacalności (stać nas – nie stać nas) musi być rozpatrywana w odniesieniu do szeroko rozumianej rozwojowej okrężności. Czyli „nie stać nas" prowadzi do tego, że w przyszłości będzie nas stać na jeszcze mniej. „Warto" i „opłaca się" to nie to samo. To, co warto, i to, co się opłaca, może się uzupełniać, ale może się też negować i wykluczać. Co nie podważa tezy, że każda publiczna inwestycja powinna być gospodarnie realizowana i skutecznie przyczyniać się do wytworzenia odpowiedniej puli zasobów i dóbr.

Współczesna gospodarka to bardziej gospodarka usług niż produkcji. Istotne jest i to, że w coraz większym stopniu są to usługi intelektualne, nie zaś materialne. W konsekwencji coraz więcej ważnych dla rozwoju dóbr będzie miało mieszany charakter; nie będą czystymi dobrami prywatnymi ani czystymi dobrami publicznymi. Będą tworzone prywatnie z myślą o ich spieniężeniu, ale z ich konsumpcji z różnych powodów nie da się i nie powinno się wyłączać tych, którzy nie są w stanie za nie zapłacić rynkowej ceny. Taką potrzebę widzi się w dokumentach Unii Europejskiej, gdzie są takie pojęcia, jak „usługi świadczone w ogólnym interesie gospodarczym", „usługi publiczne" i „usługa powszechna".

Kwestia ta wiąże się szczególnie z problemem praw własności intelektualnej. Własności intelektualnej nie można chronić tak jak własności materialnej. Zapewniając jej ekskluzywność, doprowadzono by do prywatyzacji kultury i wiedzy, co zahamowałoby rozwój, blokując ludzką kreatywność i innowacyjność.

Energia i aktywność rodzą się w otwartej przestrzeni, która musi mieć swoją infrastrukturę, ale formują ją społeczne interakcje. Zachodzą one,

jeśli aktorzy społeczni obdarzają się wzajemnym zaufaniem i uznaniem, jeśli przejawiają pewien poziom solidarności i dążą do uwspólnionych celów. Prawo do jakości życia i rozwoju ma być tego gwarantem.

Bibliografia

Angie A. (2013). *Whose Utopia? Human Rights, Development, and the Third World*, „Qui Parle", 22(1).

Arts K., Neth A. (2016). *The Right of Development in International Law: New Momentum Thirty Years Down the Line?*, „Netherlands International Law Review", 63(3).

Brzozowski W. (2018). *Generacje praw człowieka,* (w:) W. Brzozowski, A. Krzywoń, M. Wiącek, *Prawa człowieka*, Wolters Kluwer: Warszawa.

Cassan H., Mercure P.F., Bekhechi M.A. (2019). *Droit international du dêveloppement*, Pedone: Paris.

Deklaracja Prawa do Rozwoju, Zgromadzenie Ogólne ONZ (uchwała 41/128) (4.12.1986).

Conche M. (2003). *Le droit à la qualité de vie et ses limites*, (w:) M. Conche, Le fondement de la morale, Presses Universitaires de France: Paris.

Costa D.S.J. (2015). *Reflective, causal, and composite indicators of quality of life: A conceptual or an empirical distinction?*, „Quality of Life Research", 24(9).

de Smedt M. (2013). *Measuring Subjective Issues of Well-Being and Quality of Life in the European Statistical System*, „Social Indicators Research", 114(1).

Garcia G. (2008). *El derecho al desarrollo y los derechos* humanos, www.2015ymas.org/centro-de-documentacion/publicaciones/2012/1315/el-derecho-al-desarrollo-y-los-derechos-humanos.

Hardin R. (2009). *Zaufanie*, Wydawnictwo Sic!: Warszawa.

GDP (2009). *GDP and beyond. Measuring Progress in a changing world* (2009), European Commission, www.eea.europa.eu/policy-documents/com-2009-433-final-gdp.

Hausner J., Kudłacz M. (2017). *Miasto-Idea – jak zapewnić rozwojową okrężność*, (w:) Open Eyes Book 2, Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej: Kraków.

Hausner J. (2019). *W kierunku ekonomii wartości. Społeczna czasoprzestrzeń działalności gospodarczej*, Wydawnictwo Nieoczywiste: Warszawa.
Ibhavoh B. (2011). *The Right to Development: The Politics and Polemics of Power and Resistance*, „Human Rights Quarterly", 33(1).
Izdebski H. (2017a). *Doktryny polityczno-prawne. Fundamenty współczesnych państw*, wyd. 4, Wolters Kluwer Polska: Warszawa.
Izdebski H. (2017b). *Prawo do miasta*, (w:) Open Eyes Book 2, Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej: Kraków.
Izdebski, H. (2017c). *Od administracji publicznej do public governance*. „Zarządzanie Publiczne/Public Governance", 1(1).
Izdebski H. (2013). *Prawo medyczne, prawo zdrowia publicznego, prawo ochrony zdrowia, prawo publiczne ochrony zdrowia*, (w:) M. Dercz (red.), H. Izdebski, T. Rek, *Prawo publiczne ochrony zdrowia*, Wolters Kluwer Polska: Warszawa.
Jones P. (2016). *Group Rights*, (w:) *Stanford Encyclopedia of Philosophy*, https://plato.stanford.edu/entries/rights-group.
Kerdoun A. (2004). *Le droit au développement en tant que droit de l'homme: portêe et limites*, „Revue Québécoise de Droit International", 17(1).
Klasen S. (2018). *Human Development Indices and Indicators: A Critical Evaluation*, UNDP: New York.
Koubi G. (2017). *Citoyenneté et qualité de vie… en milieu urbain* – https://koubi.fr/spip.php?article1030.
Kroll Ch. (2011). *Measuring Progress and Well-Being. Achievements and Challenges of a New Global Movement*, Friedrich Ebert Stiftung: Berlin.
Lefebvre H. (1991). *The Production of Space*, Blackwell Publishing: Oxford.
Metropolitan (2015). *The Metropolitan Century. Understanding Urbanisation and Its Consequences*, OECD Publishing: Paris.
Michalos A.C. (2011). *What Did Stiglitz, Sen and Fitoussi Get Rights and What Did They Get Wrong*, „Social Indicators Research", 102(1).
Morais P., Miguéis V.L., Camanho A.S. (2013). *Quality of Life Experienced by Human Capital: An Assessment of European Cities*, „Social Indicators Research", 110(1).
Nuscheler N. (2003). *"Recht auf Entwicklung": Ein "universelles Menschenrecht ohne universelle Geltung*, (w:) S. v. Schorlemer (red.), Praxishandbuch UNO. Die Vereinten Nationen im Lichte globaler Herausforderungen, Springer: Berlin-Heildelberg.

Özden M. (2006). *Le Droit au développement. Etat des débats tenus à l'ONU sur "la mise en oeuvre" de la Déclaration historique adoptée à ce propos par l'Assemblée générale des Nations Unies*, le 4 décembre 1986, Genève.

Plath Ch. (1977). *Kéba M'Bayes Arbeitspapier über das Recht auf Entwicklung*, (w:) Quellen zur Geschichte der Menschenrechte, 2018, www.geschichte-menschenrechte.de/schluesseltexte/recht-auf-entwicklung.

Plis J. (2014). *Wprowadzenie do problematyki koncepcji praw człowieka trzeciej generacji Karela Vasaka*, „Ius et Administratio", 1.

Report by the Commission on the Measurement of Economic Performance and Social Progress – www.stiglitz-sen-fitoussi.fr/documents.

Rojas M. (2011). *The Measurement of Economic Performance and Social Progress. Report and Quality of Life: Moving Forward*, „Social Indicators Research", 102(1).

Schultz Th.W. (2016). *Ekonomia kapitału ludzkiego*, Wydawnictwo Nieoczywiste: Warszawa.

Spicker P. (2014). *Cohesion, Exclusion and Social Quality*, „The International Journal of Social Quality", 4(1).

Steichen P. (2000). *Evolution du droit à la qualité de la vie. De la protection de la santé à la promotion du bien-être*, „Revue Juridique de l'Environnement", 3.

Stiglitz J.E., Fitoussi J-P., Durand M. (2018). *Beyond GDP. Measuring what counts for economic and social performance*, OECD: Paris.

Tatarkiewicz W. (1978). *Parerga*, PWN: Warszawa.

Uvin P. (2007). *From Right to Development to the Rights-Based Approach: How 'Human Rights' Entered Development*, „Development in Practice", 17(4/5).

Vandenhole W. (2003). *The human right to development as a paradox*, „Verfassung und Recht in Übersee – Law and Politics in Africa, Asia and Latin America", 36(3).

Virally M. (1972). *L'Organisation mondiale*, Colin: Paris.

Współczesna gospodarka rynkowa jest w dominującej mierze transakcyjna i oportunistyczna: jest do skrajności wyrachowana i do skrajności wyzbyta empatii. Brakuje w niej odpowiedzialności i solidarności. Te nie rozwiną się, jeśli nie dokonamy przejścia do innego modelu gospodarki rynkowej – relacyjnego i prorozwojowego.

Rynek „wyzwalający się" z wartości narzuca tę samą logikę innym obszarom życia społecznego. To oznacza, że jeśli „nie opłaca się" bazować na wartościach w działalności gospodarczej, to tego samego (w imię „opłacalności") żąda się także od aktorów obecnych w polu kultury, edukacji itd. Wówczas jedynym uzasadnieniem aktywności społecznej jest efektywność mierzona skalą korzyści finansowych. To zaś unieważnia mnóstwo innych fundamentalnych dla ludzi odniesień, takich jak np. poczucie, że jest się potrzebnym, że coś ma sens, że kogoś wspieramy.

Wielkim problemem współczesności staje się „pogodzenie" gospodarki rynkowej, solidarności społecznej, kultury obywatelskiej i cyfrowej rewolucji. To cztery wierzchołki „kwadratury przyszłości". Da się ją rozwiązać poprzez urzeczywistnienie koncepcji „solidarnego rozwoju".

MIASTO GOSPODARZ

GDAŃSK